

Marcin Wolski

**BAŚNIE DLA
BEZSENNYCH**

„Baśnie dla bezsennych” pojawiły się na antenie Programu Pierwszego Polskiego Radia jesienią 1989, jako kontynuacja moich słuchowisk z czasów „60 minut na godzinę”. Myślałem wówczas, że w Wolnej Polsce zrezygnuję z działalności satyrycznej, ergo one właśnie staną się główną formą mojej radiowej aktywności. Ale rychło Trzecia Najjaśniejsza okazała się Trzecią Najśmieszniejszą, słuchowiska zdominował magazyn ZSYP, po dziesięciu latach zresztą je wchłonął, a ja przeżyłem paroletni epizod telewizyjny pod nazwą „Polskie Zoo”.

Baśni tych, najczęściej z tradycyjną baśnią ani nawet „Antybaśnią”, niemających nic wspólnego, powstało przez przeszło 10 lat ponad 300, niektóre seriale stały się powieściami — np. „Śmieciarz” przeistoczył się w „Video pana Boga”, „Willa Transcendencja” w „Według św. Malachiasza”, zaś „Alterland” czy „Pies w studni” zaczęły nowe życie książkowe, często dalekie od radiowych pierwocin.

Jeśli idzie o słuchowiska „singlowe” większość spoczywa w radiowych archiwach, czekając na literackie przeistoczenie. Parę ukazało się w zbiorze „Baśnie dla bezsennych” wydanym w 1993, dziś po lekkich korektach weszły do tej części „Shortów”. Gwoli prawdy znalazły się tu także opowiadania oparte o słuchowiska dużo wcześniejsze: „Budka nr 7” i wydana jedynie na kasecie dźwiękowej „Jedna z lepiej przeprowadzonych akcji”.

OMDLLENIE

Hilary Grabiec przeklinał drogę na skróty. Przeklinał soczyście, po proletariacku, jak zwykli przeklinać budowniczkowie wielkich budów, wrzucając dla podkreślenia internacjonalistycznego charakteru tych klątw, wielkoruskie „*job twoju mat'!*” Żar lał się z nieba, które kolorem upodobniło się do łąnow dojrzewających zbóż. A jednocześnie było naelektryzowane wielką energią, duszną i parną.

Oczywiście drogę tę pokazał mu wróg klasowy. Cała podróż była od początku najeżona trudnościami. Na stacji dowiedział się, że z miasteczka nie przyślą podwozy i żeby próbował zabrać się okazją. Później ciężarówka pełna rozśpiewanej młodzieży zetempowskiej podwiozła go wprawdzie, za co zrewanżował się gratisową pogadanką o Korei, szelkach Trumana i bezeceństwach „marszałka zdrajców” — Tity, ale czy młodzieży nie przypadła w smak gawęda, czy też kierowca, człek wystarczająco dorosły, żeby pamiętać okres przedwojenny, miał inne poglądy polityczne, dość, że wysadzono go na rozstaju, twierdząc, że do miasteczka jest ledwie pół kilometra z hakiem. Uszedł te pół kilometra i jeszcze ze dwa haki, a dookoła widział tylko pola fałdzone, małe grzebyki lasów, przysiadłe jak gąsienice na wzniesieniach. Przy krzyżu natknął się na babę. Baba, jak to baba. Na widok mężczyzny w garniturze z teczką poczęła ostentacyjnie zawiązywać sznurowadło u trzewika, żeby nawet najbardziej dociekliwy ateista nie mógł nic zarzucić jej pozycji klęczącej.

— Czy dobrze idę, towarzysko? — rzucił Hilary z oszczędnym uśmiechem, aby nie zdradzać swych ubytków zębowych. Później żałował słowa „towaryszko”. Mógł przecież zagaić naturalnym „dzień dobry” albo nawet prowokacyjnym „pochwalony”, na co miał dyspensę z komitetu.

Kobiecina wskazała mu dość gorliwie skróconą drogę: „Miedzą, miedzą, bez mostek, kole laska, potem ino smentarzyk i już miasteczko”. Dopiero po przemaszerowaniu następnego kilometra zorientował się, że padł ofiarą dezinformacji.

Miał rację genialny Józef Stalin — wróg czaił się wszędzie. Nawet wśród ludzi prostych, predysponowanych do roli surowca, z którego w marksistowskim tyglu miał wytopić się Nowy Człowiek.

— Ile jeszcze walki przed nami? — westchnął Grabiec. Otarł pot skraplający się na łysinie i mocniej ścisnął rączkę teczeki wypełnionej najświeższymi broszurami agitacyjnymi.

Pegeerowskie pole wydawało się nie mieć końca. Próżno szukał jakiegoś punktu orientacyjnego. Przez moment zachwiało się jego niezłomne poparcie dla idei kolektywizacji.

A potem dostrzegł drzewo. Wielkie, baobabiaste, usytuowane na niewielkim wzniesieniu, o konarach poskręcanych jak członki bohaterów barokowych rzeźb sakralnych (których zdecydowanie nie lubił).

— Stamtąd się rozejrzę. A może nawet odpocznę w cieniu? Jak każdy mieszczuch rodem z łódzkiego podwórka, Grabiec nie lubił plenerów. Kojarzyły się z paniczną ucieczką w 39 roku, potem z bezkresnymi rubieżami Kraju Rad, gdzie zanosło go aż do Karagandy. Miał zresztą szczęście w nieszczęściu. Wiek i stan zdrowia uniemożliwiły mu służbę wojskową, a rodzinne umiejętności (pochodził z wielodzietnej rodziny krawca Grabenmanna) pozwoliły znaleźć pracę w szwalni mundurów. A potem, już po powrocie do kraju, jakiś kuzyn, Wiśniewski, Kwaśniewski czy Nowak (miał wielu kuzynów i duże trudności z zapamiętaniem ich nowych nazwisk) wyciągnął go z odcinka „kroju i szycia” i przeniósł na odcinek pracy ideologicznej. Grabiec miał tylko małą maturę i niejakie trudności z wypowiedzianiem się na piśmie, toteż po krótkim redagowaniu gazety (później skrytykowanej za odchylenia prawicowo–nacjonalistyczne) skierowano go w teren. Bo gadał świetnie. Jego kuzyn (Wiśniewski albo Kwiatkowski), który wpadł raz na szkolenie prowadzone przez Grabca i wysłuchał jego popisowego referatu pt. „Boga nie ma”, stwierdził żartobliwie, że gdyby Bóg to usłyszał, to sam straciłby wiarę w siebie.

Hilary nie lubił takich żartów i gdyby nie fakt, że mówił to jego kuzyn (Kwiatkowski a może Nowak) udałby się z doniesieniem do odpowiedniego Departamentu do spraw Anekdotalnych, zajmującego się rejestracją ochotników na budowę Białomor Kanału.

Grabiec uważał, że socjalistyczny system wartości musi być integralny. Zwątpienie w jeden z elementów: koncesja dla światopoglądowego relatywizmu lub choćby kolorowych skarpetek, stanowić mogło wyłom doprowadzający z czasem do pęknięcia całości.

— „Wątpliwości to kornik w ramie obrazu lepszego jutra — wyraził się kiedyś poetycko. — I dlatego ja ich nie mam”.

Drzewo było tuż, tuż. Ale i zmęczenie robiło swoje. Czuł pulsowanie w skroniach, przed oczyma przelatywały mu czerwone płaty. Niebo pociemniało. Czyżby zbierało się na burzę?

Naraz potknął się. Ból w piersiach uderzył go jak toporem, a niebo przekreśliła krwawa błyskawica.

„Boga nie ma!” — przemknęło mu w ostatnim przebłysku świadomości.

* * *

Najpierw uczył chłód, potem wilgoć. Żył. Uniósł głowę, oczekując kolejnego uderzenia bólu za mostkiem. Nic takiego nie nastąpiło. Podniósł się na kolana. Poszukał wzrokiem teczki. Leżała opodal. Sucha! Padać musiało krótko, a chmurka, która była tego powodem, już odpływała ku skrajowi nieba.

Popatrzył na zegarek marki „Smiena”. Było dopiero wpół do trzeciej. Zatem przeleżał w omdleniu zaledwie dwie godziny. W porządku, zdąży jeszcze na wykład. Tylko w którą stronę powinien iść?

W pobliżu rozległ się warkot przejeżdżającego samochodu. A zatem droga musiała biec całkiem niedaleko. Poderwał się żywo, jakby ubyło mu kilka wiosen. Miedza zdawała się szersza, a jednolity łąn zbóż ustąpił miejsca szachownicy małych poletek. Dotarł do wąskiego pasma świeżego asfaltu.

— Nareszcie ktoś zabrał się za te ponemieckie dróżki — pomyślał.

Przeskoczył rów i wtedy stało się coś najgorszego. Nadwerżony zamek teczki puścił i sypnęły się na jezdnię broszurki cenne, a niezastąpione: „Cyrk Trumenillo”, „Zapluty karzeł reakcji”, „Upiory Watykanu”, „Myśli Józefa Stalina w walce z pryszczycą”.

Pochyliwszy się, zaczął zbierać swe precjoza z gorliwością zeloty, więc nie zauważył ani nie usłyszał nadjeżdżającego samochodu. Pisk hamulców dotarł do Hilarego z opóźnieniem. Kątem oka zobaczył kierowcę walczącego z poślizgiem. Szczęśliwie, hamujące auto musnęło go tylko, odrzucając do rowu.

— Jezus Maria, czy myśmy go nie zabili? — zapiszczał głos kobiecy.

— Nie — chciał odpowiedzieć, ale kiedy otworzył oczy, gotów był zmienić zdanie.

Anioł miał długie blond włosy, spadające w splotach do połowy ramion, cerę bladą, a bladość jeszcze podkreślał karmin wymalowanych ust. Ubrany był w gielezko z nieznannej tkaniny i spódniczkę skórzaną, tak kusą, że stanowiącą jedynie szerszą wersję paska, nie ukrywającą nawet majtek, czarnych, półprzezroczystych, przywodzących na myśl akwarium dla grzeszników. Wyżej przez rozcięcie giezła widać było piersi zgoła nie anielskie, dojrzałe, ciężkie o szerokich sutkach koloru ciemnego piwa. Mnogość pierścieni i tajemniczy zegarek na ręku dopełniały całości zjawiska.

— Żyjesz, stary, nic ci nie nawaliło? — pytał Anioł, a umalowane usta odsłaniały ząbki nierówne i troszkę dziurawe.

Nim Hilary zdołał coś wyksztusić, obok Anioła pojawił się — niestety — również Diabeł. Hebanowa głowa i kręcone włosy wyrastały z jasnej bawełnianej koszulki.

— Możesz mówić? — pytała dziewczyna.

Hilary kiwnął głową. Co wyraźnie ucieszyło parę. Pomogli mu się podnieść. Diabeł mamrotał coś łamaną polszczyzno–angielszczyzną.

Wóz stał krzywo, cokolwiek w poprzek drogi. Miał odkryty dach i czerwoną, lśniącą karoserię. Grabiec nie znał tej marki, ale być może na drogi trafił już najnowszy model „pobiedy” z zakładów na Żeraniu.

— W porządku, dziadek jest z solidnego materiału! — zaśmiała się dziewczyna, widząc, że stanął na nogach.

Murzyn otworzył portfel. Grabiec zamachał rękami. To w końcu z własnej winy znalazł się na środku jezdni.

— Nic mi nie jest — dorzucił bez przekonania.

— Może moglibyśmy coś dla ciebie zrobić, wujaszku? — blondyna wyraźnie odczuwała potrzebę zadośćuczynienia.

— Szedłem w kierunku miasta, gdybyście państwo mogli mnie tam podrzucić?

— Szedł pan akurat w przeciwną stronę, ale oczywiście podrzucimy pana.

Idąc do gościnnie otwartego samochodu Hilary zachodził w głowę, kim może być owa dziwna para? Studenci? Murzyn był dość młody, więc może rzeczywiście pogłębiał marksistowską wiedzę na którejś z warszawskich uczelni. Czyżby był to postępowy syn kacyka z krajów walczących z kolonializmem?

Zanim ruszyli, Murzyn wyciągnął ze schowka płaską butelkę i zaproponował Hilaremu i Beatce (tak miała na imię blondyna) drinka.

— Z tonikiem czy colą? — zapytała anielica.

Wybrał tonik. Coca Colę znał od najgorszej strony i nie miał zamiaru pić owej cieczy z rozgniecionej stonki.

— A może to wszystko prowokacja? — zachodził w głowę, przechylając butelkę. — Może ktoś chce wypróbować moją odporność na pokusy imperializmu?

Alkohol, choć wrogi klasowo, miał przyjemny smak. Grabiec poprawił się obok teczki na tylnym siedzeniu. Ruszyli. Dziewczyna nie przestawała go taksować, rzucając spojrzenie to na garnitur, to na buty (jeszcze UNRRA), to na teczkę ze świńskiej skóry.

— Pan chyba nietutejszy? — zapytała w końcu.

— Pochodzę z Łodzi, ale ostatnio mieszkam w Stalinogrodzie*. Po wyrazie twarzy dziewczyny widać było, że nigdy nie słyszała tej nazwy i z niczym się jej nie kojarzyła.

Ruszyli. Motor pracował podejrzanie cicho, ale Hilary postanowił na wszelki wypadek nie zadawać żadnych pytań. Po drodze minęli parę samochodów, nieznanymi bliżej marek, i

maszyn rolniczych. Dziwne, a gadali w województwie, że w tutejszym PGR mają kłopoty z mechanizacją.

Widok miasteczka w dolinie, typowej osady na Ziemiach Odzyskanych, a może raczej dużej wsi z rynkiem, dwoma wieżami kościołów, jakąś fabryczką na boku, uspokoił Grabca.

— Dokąd konkretnie podrzucić? — zapytała Beata.

— Do świetlicy, róg Janka Krasickiego i Pawlika Morozowa. Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

— Świetlicy?

— Mam wygłosić pogadankę dla miejscowego społeczeństwa.

— Ach to będzie na pewno w Domu Kultury. Skinął głową.

— Tylko że Dom Kultury jest teraz zamknięty, dzielą go i prywatyzują. Chociaż może jeszcze jakaś salka działa.

Nie zrozumiał tej wypowiedzi.

Świadoma ahistoryczność. W istocie Katowice zostały Stalinogrodem rok później.

Wyjechali na rynek i Hilary zgłupiał. Znał takie senne ryneczki jak własną kieszeń, nieraz odwiedzał ich brudne knajpki, kontrolował podupadające warsztaty, sklepiki obrosłe kolejkami. Rejestrował obowiązkowe obeliski ku czci Armii Czerwonej na środku... Ale tu?

Bruk, owszem, był swojsko nierówny, fasady odrapane. Ale poza tym — wszędzie błyszcząca feeria reklam — Thompson, Pepsi Cola, Otake. Na wystawach piętrzyły się stosy owoców widywanych normalnie jedynie z okazji ważniejszych świąt. Sklep mięsny przypominał (co Hilary zdążył już zapomnieć), że kopytne składają się nie tylko z rogów, racic i mielonego, ale miewają niekiedy szynki i polędwice... Po pomniku wdzięczności straszyl już tylko cokół.

Ponad Domem Kultury (z wyrwanych liter pozostały tylko cienie na tynku) pysznił się neon „Disco”, a całą ślepią ścianę zajmowały malunki reklamujące filmy. I to nie „Opowieść o prawdziwym człowieku” czy „Młodą gwardię”, ale jakiegoś „Indianę Jonesa” i (wyglądające bardziej swojsko) „Polowanie na Czerwony Październik”.

Naraz wszystko stało się dla Hilarego jasne. W miasteczku kręcono film. Demaskatorski film o kapitalizmie. Stąd te zdumiewające auta zaparkowane wzdłuż placu, ci dziwnie poubierani ludzie...

Na ławeczce kilku obywateli w średnim wieku pokrzepiało się piwem. Wyglądali swojsko. Dosiadł się do nich. Popatrzyli z ukosa na przybysza, ale nic nie powiedzieli. Ba, nawet poczęstowali papierosami.

— Jak się nazywa ten film? — zapytał ośmielony. Starszy pijaczek popatrzył czujnie.

— O czym pan mówi? Powiódł ręką dookoła.

— Myślę o tych dekoracjach.

— Dobrze pan powiedział — odezwał się młodszy — pieprzone dekoracje! Wielki kapitalizm. A człowiekowi zasiłku już po tygodniu na browar nie starcza.

— A panowie...? — chciał zapytać „czy statyści”, ale przestraszył się, że może tym określeniem urazi proletariackich aktorów.

— Bezrobotni! Bezrobotni!

„Oczywiście, statyści do koszarnej sanackiej rzeczywistości”, pomyślał z ulgą. Wszystko się zgadzało. Nawet coraz liczniejszy tłum gromadzący się przed kościołem. W demaskatorskim obrazie nie mogło przecież zabraknąć opium dla mas. Zajrzał do dawnego Domu Kultury. Wszędzie straszyły kartki „nieczynne”. Nigdzie za to nie było zawiadomienia o jego pogadance. Jednak adres się zgadzał. Tak przynajmniej potwierdził starszek portier: róg Janka Krasickiego i Pawlika Morozowa. Tyle, że teraz tabliczki były inne: (niewątpliwie dla potrzeb filmu) biskupa Ignacego Krasickiego i Władysława Andersa.

— Moglibyście wskazać mi drogę do Komitetu? — zapytał zniecierpliwiony. Coś przecież musiało funkcjonować nawet podczas kręcenia filmu.

Portier wskazał budynek w głębi, z czerwonym napisem o dziwnym kroju liter. „Komitet Obywatelski Solidarność”. Prawdopodobnie chodziło o solidarność z uciemiężonymi narodami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Ale nie o to przecież chodziło Hilaremu.

— Myślę o Komitecie naszej Partii — uzupełnił.

— Której? — zapytał portier.

Grabca zdenerwowała ta rozmowa. Portier był kretyńcem. Już samo to dowodziło, że w miasteczku działo się źle. Portierzy w kraju demokracji ludowej powinni być ludźmi sprawdzonymi, jakże inaczej spełnialiby funkcje płatnych informatorów...

Obok zauważył czynną knajpę. Chyba nie kręcono w niej żadnego filmu. Zasiadł przy stoliku i zamówił setę z piwem.

— Należy się pięćdziesiąt tysięcy — rzekł kelner. Hilarego ogarnęła złość.

— Jak to, nie było u was wymiany pieniędzy? Teraz z kolei kelner zmienił się na twarzy.

— A wie pan coś na ten temat?! — aż przysiadł przy Grabcu. — Wszyscy mówią o denominacji, ale rząd dementuje. No, mów pan i pij, ja stawiam!

Zaraz jednak ktoś odwołał kelnera. Grabiec został sam. Zaczął rozglądać się po sali. Pod oknem jakichś dwóch facetów ostentacyjnie liczyło pieniądze. Mimo wieku Hilary miał wzrok bystry i dojrzał, że były to dolary. Całe paczki dolarów. (Może falsyfikaty potrzebne do filmu). W drugim kącie dwójka innych obywateli kłóciła się głośno.

— Jak ja ci cysternę spirytusu, to ty dajesz mi tylko dwie cysterny benzyny?!

Naturalnie uczyli się roli.

Jednak w sercu Hilarego powoli budził się strach. Coś tu działo się nie tak. Za dużo elementów nie pasowało. Nawet jak na anty — imperialistyczny film.

A potem kelner włączył pudło stojące w końcu sali. Grabiec początkowo wziął je za radio. Potem okazało się, że był w błędzie. Na niedużym ekranie pojawił się obraz.

O telewizji, owszem słyszał, ale miała to być pieśń odległej przyszłości. Wtem myśl straszna, nierealna załęgła mu się pod czaszką. A jeśli on tam, pod drzewem, przespał więcej czasu, niż mu się zdawało?

Na sąsiednim krześle leżała gazeta. Chwilę bił się z myślami. Potem sięgnął. Czuł się dokładnie jak wówczas, gdy jako sztubak podglądał ciotkę Ester w kąpielni. Wziął dziennik delikatnie, dwoma palcami. Nikt na niego nie patrzył. Potem jak filujący pokerzysta wolniutko odwrócił pismo. „Życie Warszawy”. Nazwa była znajoma. A data? 25 sierpnia

1991 roku. — O wszyscy klasycy Marksizmu! Przespałem prawie czterdzieści lat. Czterdzieści lat! Hilary nie wytrzymał, zerwał się, pobiegł do toalety. Przejrzał się w lustrze. Żadnej zmiany, ani jednej zmarszczki więcej, ani jednego siwego włosa wokół łysiny. Materialistyczny cud.

No tak. Teraz wszystko stawało się jasne. To nie był film. Po prostu minęło czterdzieści lat. Zbudowano komunizm i pojawił się upragniony dostatek dóbr. Sklepy, samochody. Tylko co znaczyły owe reklamy? Najwyraźniej padł imperializm. Znacjonalizowano te wszystkie Fordy, Coca Cole i Thompsony, a światły lud pracujący zachował dawne nazwy z szacunku dla tradycji.

Na twarzy Grabca wystąpiły ceglaste wypieki.

— Dożyłem! Dożyłem!

Przez chwilę zastanawiał się, czy mieli tę szansę jego kuzyni (Wiśniewscy, Kwiatkowscy, Nowakowie). A co ze Stalinem? Na pewno był nieśmiertelny jak jego idee. Tylko czemu nie widział nigdzie jego portretów?

Może ze skromności „Józefa Słoneczko”.

Tymczasem w telewizji zaczął się dziennik. Uświadomienie musiało być w narodzie duże, bo na sali ucichły rozmowy. Jako pierwsza pojawiła się korespondencja z Rzymu. Spotkanie z robotnikami...

— Na pewno Włochy mają już rząd komunistyczny — ucieszył się Grabiec. Ale nie. Rozmówcą proletariuszy był jakiś starszy mężczyzna w bieli.

Papież? W telewizji? Jak to możliwe.

— No tak — zganił się w duchu. — Dla celów turystycznych nie skasowali tej etnograficznej ciekawostki.

Potem odbyła się dyskusja na temat, czy Warszawską Fabrykę Samochodów na Żeraniu kupi koncern General Motors i agitator poczuł na plecach strumyczek potu. Naraz obraz zmienił się.

— Najświeższe wiadomości z Moskwy — nieomal zawołał spiker. Fala otuchy napłynęła do serca Grabca. Zobaczył Kreml i tłumy manifestujących ludzi. To go uspokoiło.

Wszystko w porządku, wszystko w porządku w ojczyźnie światowego komunizmu.

Tymczasem głos spikera zabrzmiał dziwnie wesoło.

— Prezydent Rosji, Borys Jelcyn, oficjalnie uznał niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii. Ukraina ogłosiła suwerenność. Mer Sankt Petersburga obiecuje szybką prywatyzację. Zachodni komentatorzy uznają, że nie ma już Związku Radzieckiego.

— Nie, nie! — ryknął Grabiec i ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem zaczął wstrząsać dygot. — To kłamstwo, obrzydliwa prowokacja...

— Albo się pan uspokoi, albo opuści nasz lokal! — zawołał jakiś tęgawy gość, który zjawił się wraz z kelnerem.

— Poskarżę się na was waszym zwierzchnikom — wyszeptał Hilary. — Co wy tu puszczacie?

— Jakim zwierzchnikom? — obruszył się tęgawy. — Jestem właścicielem tego lokalu.

— Właś-ci-cie-lem?

Wyprowadzono go na rynecek. W głowie mu szumiało. Mijający go policjant z orzełkiem w koronie na czapce popatrzył podejrzliwie na Hilarego. Grabiec uznał, że najlepiej zrobi, wtapiając się w tłum wychodzący z kościoła. Biły dzwony. Może to czyjś pogrzeb albo procesja?

Tłum niósł go, całkowicie ogłupiałego, jak potok niesie na swych falach ciśnięty korek. Po chwili zorientował się, że ciągle trzyma w ręku tamtą gazetę. Machinalnie schował ją do teczki. Później przeczyta. Zorientuje się, co jest grane.

Zatrzymano się na niedużym placyku obok budynku przypominającego szkołę.

— Co to będzie? — odważył się zapytać stojącego obok emeryta o drżących rękach i pobrużdżonej twarzy.

— Odslonięcie tablicy pamiątkowej. O, na tym murze! — odparł emeryt.

Grabiec zbliżył się do ściany. Białoczerwony sztandar skrywał górę tablicy. Było widać tylko trzy ostatnie nazwiska. W tym... „Hilary Grabiec 1909–1952. Cześć ich pamięci!”

Znów poczuł uderzenie gromu.

* * *

Pielęgniarka przypominała nieco Beatę, ale w odróżnieniu od niej miała szarą zmęczoną twarz.

— Nareszcie się obudziliście, obywatelu Grabiec — powiedziała.

— Gdzie ja jestem? — poruszył się nerwowo na łóżku.

— W naszym powiatowym szpitalu — odparł lekarz. — Straciliście przytomność na polu. Udar słoneczny. Szczęśliwie znalazł was przechodzący tamtędy nasz ksiądz (słowo „nasz” powiedział wyraźnie ciszej). Teraz jest już z wami dobrze. Za parę dni będziecie mogli wrócić do swojego Stalinogrodu.

— Stalino... ach tak. A którego dziś mamy?

— 26 sierpnia. Byliście nieprzytomni dołą.

— A... czy mógłbym to zobaczyć w kalendarzu? — bał się wprost zapytać o rok. Spełnili jego prośbę. Odetchnął. Stało jak byk: 1952!

— Czy gadałem coś przez sen? — zapytał na wszelki wypadek.

— Spaliście jak zabity — oznajmiła pielęgniarka i dodała: — bardzo się tu wszyscy o was martwili, i Komitet, i... — urwała, ale cała trójka wiedziała, co ma na myśli.

Grabiec przymknął oczy. A więc to był tylko sen. Jakiś upiorny antypartyjny sen. Ale przecież sny nie biorą się z niczego! Czyżby w swej najgłębszej podświadomości on, Hilary Grabiec, był wrogiem ustroju? Marzył o restytucji kapitalizmu, upadku obozu pokoju i socjalizmu?

Dwa dni myślał o swoim majaku. Analizował każdy szczegół snu. Przez wychodzące na rynecek okno konfrontował obraz, przypominając sobie z fotograficzną dokładnością każdy szczegół, każdy element. Tę procesję, tę telewizję. Jak równie precyzyjnie mógł wyśnić rynecek, który oglądał teraz pierwszy raz w życiu?

Idąc do toalety, podслуchał na korytarzu rozmowę dwóch kobiet...

— I wtedy, proszę pani — szeptała jedna drugiej — ta zakonnica powiedziała mi, że pół wieku nie minie, a zaczną się cuda. Polak zostanie papieżem, ruskie stąd odejdą, a rząd z Londynu przyjedzie oddać władzę wreszcie prawdziwemu w Warszawie.

— Cicho! O takich rzeczach nie wolno nawet myśleć. To niemożliwe. A zresztą my i tak tego nie dożyjemy.

— Co prawda, to prawda.

Następnego dnia zabrali go do miejscowej delegatury Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

— Przejmie was Warszawa — powiedział miejscowy podporucznik o smolistym wąsie. — To za duży kaliber dla nas. Ale prywatnie powiem, zaskoczyliście mnie Grabiec.

— Czym?

— Czym! — funkcjonariusz podniósł głos. — Tym! — Zamachał mu przed nosem egzemplarzem „Życia Warszawy” z 25 sierpnia 1991 roku.

— Skąd panowie to mają?

— My? Z twojej teczki, kanalio! Gadaj, skąd to masz? Przecież to mistrzowskie fałszerstwo. I do tego wykonane za granicą.

— Za granicą...?

— Nie ma u nas maszyn, które potrafią tak drukować — dodał drugi, starszy, wyraźnie nie miejscowy.

— Ale będą! — za późno ugryzł się w język.

— Będą? Co chcecie powiedzieć? No! Gadaj — starszy potrząsnął nim jak workiem kartofli. — Do jakiej siatki należysz?

— Ja nie należę... ja... — jękał się beznadziejnie, nieudolnie. — Ja tylko miałem sen.

— Sen? A cóż wam się śniło?

— Że jestem w 1991 roku... że... — Zaczął opowiadać. Zrazu zacinając się, nieskładnie, potem, gdy poddał się już narracji, coraz bardziej ekspresyjnie. Słuchali w milczeniu. Palili papierosy. Wreszcie starszy przerwał.

— Sen mówicie. Jak w takim razie wytłumaczycie, że gazeta, która się wam przyśniła została znaleziona w waszej teczce?

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić, chyba...

— Chyba? Co?...

— Chyba, że to wcale nie był sen. Do pokoju zajrzała jakaś kobieta.

— Towarzyszu majorze, Warszawa.

Starszy wstał i wyszedł. Młodszy został sam na sam z Grabcem. Patrzył bardzo uważnie na zatrzymanego.

— Więc mówisz, że widziałeś na własne oczy to, co piszą w twojej antypaństwowej fantazji.

Skinął głową.

— To jesteś durniem, że o tym mówisz. Bo to jest najbardziej niebezpieczna rzecz, o jakiej słyszałem. Dla wszystkich. Jeśli tam na górze dowiedzą się, jak ma wyglądać jutro, to wiesz co zrobią?...

Grabiec nie wiedział.

— Zrobią wszystko, aby uniemożliwić realizację tej wizji. Wszystko! I to dopiero będzie straszne.

* * *

Znów jechali znajomą drogą, tyle, że w przeciwnym kierunku. Ubecki gazik, major, porucznik i kierowca. Nie skuli nawet Grabcowi rąk. Zresztą, jak miałby uciec. I dokąd?

Droga była piaszczysta, pełna wybojów.

— Za czterdzieści lat będzie tu asfalt — pomyślał Hilary, walcząc z rosnącym parciem na pęcherz. W oddali zamajaczyło wielkie drzewo. Wyglądało dokładnie tak samo jak tamtego dnia. Też był skwar i nadciągała burzowa chmura...

— Chyba nie wytrzymam — wyjąkał nagle.

— Co?

— Muszę się załatwić.

Wysiedli. Nie spuszczała z niego oka.

— Mogę pod tym drzewem? — zaskomlał błagalnie.

Wzruszyli ramionami. Chmura była tuż, tuż.

— Czy cud może zdarzyć się dwa razy?

I nagle Hilary ku swemu zdumieniu pomyślał o Bogu. O tym groźnym Jahwe swego ojca. I tym drugim, jego synu...

— Jeśli jesteś, pomóż mi !

Za lasem przetoczył się grom.

— Rób to prędzej — warknął major. — Zaraz lunie.

— Chciałbym pod drzewem.

— Nie, tutaj. Ale już.

Hilary wiedział, że musi to zrobić. Czuł wręcz odliczane sekundy dzielące go od wyładowania. Myślał o tamtych czasach, o Beacie, wnuczce starej pielęgniarki, o telewizji... Nagle wyrwał się i skoczył w zboże.

— Łap go! — wrzasnął major, ale sam pośliznął się i upadł. Porucznik nie gonił uciekiniera. Odbezpieczył pistolet.

— Muszę — szepnął do siebie. Wystrzelił.

Kula trafiła Grabca między łopatki na ułamek sekundy wcześniej, zanim otoczyła go błękitna poświata.

Major dopadł trafionego. Hilary nie żył. Miał na twarzy dziwny spokój.

— Pójdiesz za to pod sąd, durniu! — wrzeszczał major. — Mógł nam powiedzieć bezcenne rzeczy...

— Uciekał. Mogło mu się udać. Straciłem głowę — tłumaczył porucznik.

Usłyszeli klakson. Wrócili do gazika. Śmiertelnie przerażony kierowca tłumaczył, że błyskawica musnęła gazik.

— Ale widzę, że nic się nie stało — zaśmiał się major. — Co panikujesz!

— Ale dowód rzeczowy, ta teczka... zniknęła.

* * *

Tłum tłoczył się gęsty, odświętny. Słysząc było już orkiestrę. Nadjeżdżali oficjele i duchowieństwo. Ukryty w jednym z dalszych rzędów emerytowany porucznik Służby Bezpieczeństwa, o drżących rękach i pomarszczonej twarzy oczekiwał na ceremonię odsłonięcia tablicy pamiątkowej. Nikt nie wiedział o jego dawnych zasługach (wylano go jeszcze w 52 roku). Staruszek często wracał pamięcią czterdzieści lat wstecz. Do tego dnia, jak ten ciepłego i parnego.

— Co to będzie? — zapytał go nagle jakiś facecik w niemodnym, starym garniturze, przepychający się do pierwszych rzędów.

— Odsłonięcie tablicy pamiątkowej — odparł machinalnie.

Dopiero kiedy zobaczył te przygarbione plecy, poczuł dziwny skurcz. Na chwilę przymknął oczy, ale kiedy je otworzył, zjawa zniknęła. Wydało mu się jedynie, że poczuł nagły podmuch gorąca... parę minut później opadła flaga z tablicy.

Polegli za Polskę ofiary zbrodni stalinowskich...

Dopiero kiedy tłum zaczął się rozchodzić, emerytowany ubek dostrzegł znajomy kształt leżący tuż pod samym murem. Zniszczoną teczkę ze świńskiej skóry z pękniętym zamkiem.

BUDKA NR 7

Tsunami przyszło nagle. Skłębiony wał wodny runął na plażę wyspy z rykiem i prędkością pędzącej lokomotywy. Zapewne, gdyby kataklizm zaskoczył nas nocą albo gdyby Meteorologiczna Służba Środkowego Pacyfiku działała mniej sprawnie, nie ocalałby nikt z parutysięcznej populacji wyspy Aloa.

Wielka fala zapoczątkowana została nieomal symultanicznymi wstrząsami w rejonie rowu Tonga i naszej, stosunkowo niedawno odkrytej głębi meranijskiej (dochodzącej do ośmiu tysięcy metrów, dotąd przypuszczano, że jest tu znacznie płycej). Ruchy tektoniczne w centralnej części Oceanu Spokojnego zdarzają się oczywiście rzadziej niż w rejonie Marianów, Aleutów czy Archipelagu Indonezyjskiego. Poza tym, gdy ich terenem są rozległe bezmiary wód, tylko z rzadka przebite punkcikami raf i pierścionkami atoli, spiętrzenia fal bywają mniejsze. Ale słabsza jest również świadomość zagrożenia mieszkańców.

Na szczęście na Aloa alarm potraktowano poważnie. W miarę upływających minut, chwytając jedynie podręczne i przypadkowe rzeczy, rzucono się ku terenom wyżej położonym. Dzięki Bogu wyspa jest pochodzenia wulkanicznego i stożek góry wystaje dobre kilkadziesiąt metrów ponad poziom wody. Strach pomyśleć o naszym losie, gdyby Aloa leżała na płaskim jak flądra atolu. A i tak nie mieliśmy pewności, czy przeżyjemy. Anna wraz z grupką kobiet skupionych wokół ojca Andrzeja zaczęła odmawiać modlitwy. Dochodziła jedenasta, kiedy ujrzelśmy walec wody rosnący na mieliznach na kształt lawiny. Hucząc przeraźliwie, runął na wybrzeże, niweczając w mgnieniu oka port, kościół i zabudowania miasteczka. Później cofnął się, jakby zawstydzony swoją niszczycielską działalnością. Następne uderzenia fal były słabsze, coraz słabsze.

Kiedy wreszcie odważyliśmy się zejść na dół, mogliśmy z bliska oglądać przerażający obraz dewastacji — połamane palmy, zniszczone zabudowania, ruinę portu. Z ulgą

stwierdziłem, że nasze domostwo, dzięki położeniu wysoko na stoku, ocalało. Jakaś zagubiona fala wdarła się tylko na parter, nie naruszając kamiennej konstrukcji budynku. Ku rozpaczy Anny żywioł wyrządził duże spustoszenia w kurnikach i w ogrodzie. W porównaniu jednak z innymi wyspiarzami mogliśmy uważać się za szczęśliwców.

Nie przeszkadzało to Annie, wzorem tubylczych kobiet, zawodzić i narzekać. Jej ostry głos, przypominający zgrzyt noża o szkło, rozdrażnił mnie tak, że szybko wymknąłem się z domu pod pretekstem pomocy dla ojca Andrzeja. Nasz proboszcz, misjonarz polskiego pochodzenia, rzeczywiście zasługiwał na wsparcie. Z kościółka pozostała jedynie część podmurówki i przewrócony, żelazny krzyż. Jednak kapłan nie poddawał się rozpaczy, tylko z innymi zbiegł na dół, ratować co się jeszcze da, szukać topielców z załóg kutrów wyrzuconych na brzeg oraz nieść pomoc potrzebującym.

Popołudnie i wieczór zszedł mi na naprawianiu szkód. Uruchomiłem agregat prądotwórczy, wyłapałem trochę rozpierzchniętego inwentarza, wysłuchałem w radiu wiadomości o wstępnym szacunku strat spowodowanych kataklizmem. Potem poszedłem spać. Od dawna sypiamy osobno. I to wcale nie dlatego, że dzisiaj moja żona tak mało przypomina czekoladową dziewczynę w wieńcu z hibiskusów, która powitała mnie, gdy schodziłem na ląd z wycieczkowego olbrzyma o nazwie „Magellan”. Czy pozazdrościłem wówczas Gauguinowi? A może pociągnął mnie romantyzm ulubionego autora mej młodości Stevensona? Impuls, kaprys?! Kiedy w wieku czterdziestu lat stwierdzamy, że co najmniej połowa życia już za nami, a tymczasem nie wymyśliliśmy prochu, nie odkryliśmy nowych lądów, a co gorsza, nie spotkaliśmy na swej drodze prawdziwej miłości — stajemy się podatni na różnego rodzaju nieodpowiedzialne wariactwa.

Kiedyś miałem wspaniałe plany, ogromne ambicje, podobno nawet talenty. I co z nich wyszło? Prowincjonalne belfrowanie, kilka odrzuconych scenariuszy, nigdy nie wydana powieść i krótkie, nudne małżeństwo, zakończone równie banalnym rozwodem. Co się robi w takim momencie? Miałem trochę odłożonych pieniędzy i postanowiłem wypuścić się „Magellanem” dookoła świata. Autopretekstu dostarczyła rekonwalescencja po niezbyt zresztą groźnej operacji. Popłynąłem. Sam! Pokład zaludniały staruchy, przy których biblijny Matuzalem mógłby uchodzić za młodzika. Wschody i zachody słońca okazały się dość podobne, kuchnia podła, partnerzy do brydża marni. Zaś baśniowe porty — Suez, Colombo, Singapur czy Hongkong zwiedzaliśmy zbyt krótko, aby naprawdę je poznać. W Aloa wypadała połowa drogi. Nie znalazłem w sobie siły na przebycie drugiej, przerwałem rejs, przebukowałem bilet na następny. Naturalnie, gdy zostałem z Anną na pierwszą noc — poznałem ją w tawernie, gdzie była kelnerką (urzekła mnie, bo nie chciała pieniędzy), nie

przypuszczałem, że zostanę tu na zawsze. Potem przyjąłem zastępstwo w miejscowej szkole, otworzyłem bibliotekę. Zapuściłem korzonki. Jak długo może trwać fascynacja? Mimo europejskiego imienia, moja żona stanowi mieszanekę ras — jest córką Chińczyka i Polinezyjki. Okazała się partnerką wierną, w seksie uległą. Dopiero lata miały pokazać, jak bardzo się różnimy i jaką przeszkodę we wzajemnym zrozumieniu może stanowić parę tysięcy lat odmiennej cywilizacji. Obcy jest mi wszelki rasizm, ale czasami patrzę na Annę jak na swego ulubionego czworonoga. Jesteśmy sobie bliscy, potrzebni, ale nigdy nie zdołamy się porozumieć.

Nie mamy dzieci. Lekarz uświadomił nas, że mieć nie będziemy... Jeszcze jedna rzecz, która kładzie się cieniem na nasz związek. Co konkretnie nas dzieli? Pozornie nic. Anna rzadko robi wymówki. Cierpi, gdy czytam zbyt długo książkę, gdy zasiedzę się do późna u ojca Andrzeja, czy wreszcie, kiedy zbyt długo nie wracam z samotnej włóczędzy po wyspie. W jej biernym oporze kryje się sprawdzona metoda. Niby na wszystko się zgadza, ale... Nigdy już nie wrócę do Europy. Anna nie chce. Już Honolulu i Auckland, jedyne dwa większe ośrodki, które odwiedzała, przeraziły ją swoją wielkowiejskością. Być może przypuszcza, że cywilizacja mogłaby zabrać mnie na zawsze. Nie potrafię zadawać jej bólu, więc nie forsuję swych pragnień. Jest, jak jest...

* * *

Potrzebowałem tego spaceru. Zerwałem się przed świtem (zauważyłem ostatnio, jak zmniejsza się moja potrzeba snu — zapowiedź starości?). Znam na wyspie każdą ścieżkę, nie jest to zresztą trudne. Tego ranka poszedłem nad morze, daleko poza osadę, jak najdalej od ludzi... W pewnym stopniu wędrówka zastępowała mi modlitwę. Wyzwalała mnie na krótko z przyziemności, zbliżała do absolutu.

— Czy to herezja? — spytałem raz ojca Andrzeja.

— Pana Boga nie interesują twoje słowa, lecz dusza. Podejrzewam, że jest mocno znudzony, gdy zalewa Go ocean modlitewnych sloganów...

Najszersze plaże znajdują się w południowej części wyspy. Czyste, bezludne, stwarzają nadrealne wrażenie. Dziś szerokie pasmo piasku wyglądało jak śmietnik. Wszędzie piętrzyły się gałęzie, szczątki desek, mierzwa wodorostów, tu i ówdzie połyskiwały szybko schnące kałuże wody i śnięte ryby. Do padliny zlatywały się mewy, a spod nóg uciekały ogromne kraby.

Szedłem powoli skrajem wody, gdy w pewnym momencie dostrzegłem na rumowisku sztucznych skał, stanowiących pozostałość falochronu wzniesionego przez Amerykanów podczas II wojny światowej, zaklinowany, ciemny kształt przypominający cielsko martwego walenia. Wskoczyłem do wody, przebrodziłem kilkadziesiąt metrów i wspiąłem się na pokryte glonami kamienie. Wznosiły się dokładnie w miejscu, w którym płycizna raptownie załamuje się, przechodząc w podwodne urwisko. Gdy byłem młodszy, z upodobaniem przychodziłem skakać i nurkować właśnie za starym falochronem.

Tymczasem rzekomy waleń okazał się budką telefoniczną, wykonaną z ciemnego metalu, bez drzwi, po których szczyrzyły się wyrwane zawiasy. Natomiast okien konstruktorzy najwyraźniej nie przewidzieli. Wewnątrz pachniało glonami, morską wodą, w rogu przycupnęła rozgwiazda. Nie było tarczy do wybierania numerów, ale na widelkach spoczywała masywna słuchawka. Odruchowo ją podniosłem.

— Słucham, jaki numer zamawiasz? — powiedział prawie natychmiast melodyjny głosik.

— To jest czynne? — wykrztusiłem zaskoczony.

— A dlaczego miałyby być nieczynne. Jaki numer zamawiasz?

Najwidoczniej właścicielka urokliwego głosu była telefonistką. Chyba jednak z Lahoe... Wszystkie panienki z Aloa doskonale znałem po głosie i lubiłem czasami (ku niezadowoleniu Anny) podroczyć się z nimi przez telefon. Zresztą większość miejscowych dziewcząt znałem jeszcze ze szkoły, gdzie od lat, jak wspominałem, prowadziłem w niepełnym wymiarze kurs literatury francuskiej.

— Czy prosi pan o jakieś połączenie? — powtórzył głos, bez najmniejszego śladu zniecierpliwienia.

— Nie, dziękuję.

— W takim razie do usłyszenia.

Rozległ się miły dla ucha sygnał i głosik się wyłączył. Odłożyłem słuchawkę z pewnym żalem. Potem obejrzałem budkę od wewnątrz i zewnątrz. Zauważyłem kabel grubości tęgiego palca, który wił się po skałach i nikał w morzu. Podziwiałem jego wytrzymałość. Sądząc po śladach na obudowie budki, żywioł musiał nieźle telepać telefonicznym pudełkiem. Skąd mogło ją tu przynieść? Z Aloa — wykluczone, wszystkie nasze budki miały standardowe kształty i nie przypominały tej znalezionej. Do Lahoe było ponad pięć kilometrów, a do sąsiedniej wyspy...

Podkusiło mnie, żeby wrócić. Telefonistka odezwała się prawie natychmiast.

— Czy mogłaby mnie pani poinformować, gdzie mieści się centrala?

— Oczywiście w Aloa! — odpowiedziała po ledwie dostrzegalnej pauzie.

— W takim razie powinniśmy się znać.

— Pracuję od niedawna.

Argumentacja nie trafiła mi do przekonania. Zresztą sędzę, że po wczorajszych zniszczeniach i powolności miejscowych majstrów, rekonstrukcja centrali powinna zająć co najmniej tydzień. Zapytałem więc:

— Jak poradziście sobie z uszkodzeniami?

— Jakimi uszkodzeniami?

Miałem dość tych odpowiedzi pytaniem na pytania. Właścicielka słodkiego głósiku najwyraźniej robiła mnie w konia. A może tylko chciała mnie w ten sposób poderwać?

— Proszę pani — zacząłem ostro — stoję pośrodku plaży...

Przerwała mi:

— Dlaczego zacząłeś używać tak dziwnych słów? Co znaczy plaża?

Idiotka czy tylko taką udaje?

— Plaża, plaża? — powtórzyła jeszcze raz. — Czy jesteś obcokrajowcem?

— W pewnym sensie. Ale co to ma do rzeczy? Skoro ty mówisz biegle po francusku, jak możesz nie znać najprostszego słowa pod słońcem?

— Pod słońcem? Co to jest słońce?

Gdyby nie to, że zdziwienie telefonistki brzmiało jak najbardziej autentycznie, cisnąłbym słuchawkę. Rozmówczyni chyba intuicyjnie wyczuła moją irytację.

— Proszę, nie odkładaj słuchawki. Dla mnie ta rozmowa też jest dziwna. Czekał, a może to jest budka nr 7?

— Nie wiem, nigdzie nie ma napisu.

— Głodnij ścianę?

— Co takiego?

Wymówiła parę dziwacznych słów, zanim zorientowałem się, że chodzi jej o dotknięcie. Rzeczywiście, pod opuszkami palców na pozornie gładkiej i pozbawionej napisów wykładzinie wymacałem siedem równych wgłębień.

— Tak to jest chyba budka nr 7 — potwierdziłem.

Przez chwilę panowała cisza, po czym srebrzysty głósik powiedział z niemalym wzruszeniem:

— O Boże!!! To znaczy, że mówisz z góry!

Przyznam się, zbaraniałem. Ale gdy dziewczyna powtórzyła jakby do siebie: „Muszę przerwać rozmowę, muszę przerwać rozmowę”, zaoponowałem:

— Po co przerywać. Przyznam, że rozmowa jest dziwna, ale w sumie sympatyczna. Założę się, że jest pani bardzo ładna?

— Nie wiem, co znaczy ładna? Jestem miękka. I nie mów do mnie „pani”, nazywam się Lucille. Jestem taka wzruszona. Nie słyszałem o nikim z żyjących, kto rozmawiałby z górą... Myśleliśmy po tym trzęsieniu dna, że siódmą budkę trzeba spisać na straty. Tylko niektórzy mówili, że kabel jest tak długi, że sięgał aż na powierzchnię.

— Proszę wyrażać się jaśniej! Kim pani jest... znaczy kim jesteś, Lucille?

— Muszę kończyć. Minęło dużo ponad sześćdziesiąt mgnień.

— Chwileczkę, co to są mgnienia?

— Miara czasu. Mgnienie odpowiada uderzeniu pulsu. Zadzwoń za dwie bytnice.

Gdy spytałem, co to jest bytnica, wyjaśniła, że sześćdziesiąt mgnień tworzy chwilnik, sześćdziesiąt chwilników przeciąg, a dwanaście przeciągów bytnice, czyli po naszymu pół doby. Wyłączyła się, pozostawiając mnie w bezgranicznym osłupieniu. Jeśli dobrze pojąłem, uczestniczyłem w rozmowie dwóch światów, a Lucille była telefonistką rezydującą gdzieś na dnie rowu meranijskiego.

Powtórne oględziny budki potwierdziły, o dziwo, słowa Lucille. Urządzenie zbudowano niezgodnie z ziemskimi normami, z nieznanymi mi surowców, stosując tajemnicze metody łączenia. Parokrotnie podnosiłem słuchawkę, ale nikt się nie zgłaszał. Wróciłem do domu. Anna, która przyzwyczajona była do moich samotnych eskapad, bez słowa podała kolację. Smażone banany z jajkiem. Potem poszliśmy spać. Osobno! Tak, jak to od pewnego czasu stało się regułą. Z tym, że po raz pierwszy od pięciu lat przyśniła mi się Joanna! Ale nie był to sen przykry. Joanna sprzed dwudziestu lat, taka, jaką zobaczyłem po raz pierwszy w uniwersyteckiej bibliotece... Perorowała swoim dobitnym, trochę przekornym głosem. Tylko dlaczego cały czas mówiłem do niej, Lucille?

* * *

Rzadko się zdarza, abym z równym podnieceniem przedzierał się przez zarośniętą ścieżkę. Plaża, telefon, Lucille ? Czy nie były to wyłącznie rekwizyty zwariowanego snu? Jednak budka telefoniczna w ciągu nocy nie znikła, może jedynie bardziej przechyliła się na lewy bok i głębiej ugrzęzła w rozpadlinie. To dobrze, nie zabierze jej byle mocniejsza fala przyływu.

Tym razem, po podniesieniu słuchawki odezwał się głos również nie pozbawiony uroku, jednak zdecydowanie męski. Przez moment pomyślałem, że jest to jedynie żart wymyślony

przez któregoś z moich uczniów. Mimo to postanowiłem rozmawiać, jakbym absolutnie wierzył we wszystko, co mi powiedzą.

— Budka nr 7? — zapytał nieznajomy, ledwie usłyszał mój głos. — Na pewno? Czy to pan rozmawiał z Lucille?

Lekko zirytowały mnie te pytania. Niemniej potwierdziłem.

— Jestem bratem Lucille, nazywam się Filip — padło w odpowiedzi. — Są pewne sprawy, o których może mówić tylko samiec z samcem... Od razu zacznę, że nie wszystko jest dziełem przypadku. Od dawna poszukiwaliśmy kontaktu z powierzchniakami. Możesz coś powiedzieć o sobie?

Przedstawiłem się i nie przesadzając w szczegółach, opowiedziałem o swoim pochodzeniu, pracy w Aloa, wreszcie o tsunami. Filipa szczególnie ucieszyło moje uniwersyteckie wykształcenie. Sam, jak twierdził, należał do ekspertów humanologii.

— Cieszę się, że możemy rozmawiać jak naukowcy. Mam do pana tysiące pytań dotyczących waszego bytowania: oddychania płucnego, możliwości życia w tak minimalnym ciśnieniu, wreszcie na temat recepcji wzrokowej... Chciałem również prosić o jedno: niech nasze wzajemne relacje pozostaną tajemnicą.

— Dlaczego?

Zamilkł na chwilę. Następnie powiedział coś wykrętnie, a potem włączyła się Lucille i gadaliśmy kilka minut o różnych, zgoła nienaukowych, sprawach. Jej głos — do diabła — jaki ona miała głos!...

Zamaskowałem budkę wodorostami i kawałkami skał. Zresztą, podczas przyływu i tak była niewidoczna. Poza tym mało kto z zajętych odbudową Aloa tubylców miał czas na plażowe spacerunki. Jeśli chodzi o mnie, przychodziłem tam codziennie. Rozmowy były krótkie, najwyżej dziesięciominutowe, prawie jednak zawsze naukowe dywagacje kończyły się oddaniem głosu Lucille. I to działało jak narkotyk.

* * *

Czy Anna domyśliła się mej fascynacji? Chodziła po domu jak zwykle milcząca, z dnia na dzień bardziej naburmuszona. Coraz częściej łapałem się na chwilach roztargnienia podczas prowadzonych lekcji. Ojciec Andrzej parokrotnie zaszedł do nas z wymówkami, twierdząc, że go zaniedbuję... Przedłużające się spacerunki wytłumaczyłem zaleceniami lekarza, który nakazał mi biegi na moje dolegliwości. Tyle, że ów jogging miał zawsze stałą trasę. I tę samą stację docelową — budkę zwierzeń. Wprawdzie rozmowy koncentrowały się głównie

na moich odpowiedziach, jednak w rewanżu dowiedziałem się co nieco o charakterze i dziejach Istot z Dna. Byłem łatwowierny, czy może nazbyt nieufny? Cóż, bardzo długo uważałem, że rozmowy z Dnem są zabawą i jeśli ją kontynuowałem, to głównie ze względu na rozkosz rozmowy z Lucille.

To prawda, budka nr 7 nie pochodziła z żadnej wyspy centralnego Pacyfiku, a nasz nauczyciel fizyki, któremu dałem do zbadania kawałek tworzywa, z jakiego została wykonana, nie potrafił ustalić ani jego składu, ani metody wytwarzania. Ale z drugiej strony, jak uwierzyć bez zastrzeżeń w Denniaków i ich opowieści?

Według ich własnych słów należeli do ssaków jak my, choć nie udało mi się ustalić ich powinowactwa z delfinami, krowami morskimi czy waleniami. Przypuszczam raczej, że była to wymarła gałąź istot, bliska fokom, wyróżniająca się nad wyraz rozwiniętym mózgiem, bytująca ongiś w przybrzeżnych wodach oraz nadmorskich pieczarach Pacyfidy, kontynentu rozpościerającego się na znacznych obszarach dzisiejszego Oceanu Spokojnego. Kiedy przed milionami lat kontynent zaczął się zapadać, część denniackich praprzodków nie zdołała wydostać się z jaskiń. Znakomita większość wyginęła, ocalała grupka mutantów, u których wykształciły się skrzela. Legendy mówią, że stało się to za sprawą bogów. W każdym razie mutanty te stanowiły tylko pierwszy etap ewolucji. Kontynent zapadał się w dalszym ciągu. W populacji następowała naturalna selekcja i przeżyły jedynie najbardziej przystosowane skrzelowce, zwłaszcza te, które potrafiły znieść rosnące w wyniku ciągłego opadania ciśnienie wody. Gdy po milionach lat udało się im opuścić jaskiniowe pułapki, Denniacy byli już przystosowani do poruszania się wyłącznie po dnie oceanicznych rowów. Wyzwolenie z jaskiń — zupełnie nowe warunki bytowe, stworzyły możliwość całkiem innego wykorzystania ich pojemnego mózgu. Już w czasach jaskiniowych płetwy przednie uzyskały nadzwyczajną chwytność. Stąd tylko krok dzielił ich od wynalezienia pierwszych narzędzi. Szczerłość fauny dennej powodowała konieczność zorganizowania produkcji żywności. Oswojono pewne gatunki krabów. Wyzyskiwano drapieżne ryby, które wysyłano niczym sokoły po pożywienie do wyższych stref wód. Wieczna ciemność spowodowała praktyczną redukcję wzroku, chociaż później nauczono się wykonywać aparaty pozwalające rozróżnić kontury przy sztucznym oświetleniu. Następne epoki przyniosły umiejętność produkcji syntetycznego pożywienia z organicznych szczątków docierających na dno Oceanu.

Podobnie jak u człowieka, walka o byt zdecydowała o intelektualnej ewolucji, natomiast monogamizm stał się podstawą rozwoju życia uczuciowego. Analogicznie jak w społeczeństwie ludzkim, gdy w miarę wzrostu populacji zaczęło robić się ciasno, na dnie rowów doszło do bratobójczych wojen. Doskonaliły one technikę i wreszcie doprowadziły do

wynalazku powłoki ciśnieniowej, umożliwiającej przemieszczanie się nawet na płyciznach czy szelfach. Wcześniej wypłynięcie żywej Istoty Dennej w te rejony musiałyby spowodować jej eksplozję na skutek różnicy ciśnień.

Postępy komunikacji i nadwyżki osobnicze doprowadziły do opanowania przez Denniaków większości głębi oceanicznych. Doszło również do paru wypraw na powierzchnię. Miało to miejsce około stu tysięcy lat przed naszą erą. Jednak badacze nie zaobserwowali istnienia istot inteligentnych ani na wodzie, ani na lądzie. Duże wahania temperatur i zmienne pory roku nie zachęcały do dalszych badań.

Tymczasem państwa denniackie, uformowane w dwa wrogie sojusze, rozpoczęły gwałtowną rywalizację. Nie przebierano w środkach. A jednym z nich miał być inteligentny krab wyhodowany przez denniackich genetyków. Krab-wojownik, praktycznie niezniszczalny skorupiak o dość rozwiniętym układzie nerwowym. Ponieważ równocześnie wyhodowały go obie federacje, walka pomiędzy nimi pozostała nierozegrana. Cywilizacje wyniszczały się wzajemnie, kultura stanęła w miejscu, a podróże na powierzchnię praktycznie ustały — surowców było dość na dnie i pod dnem oceanu. Kilkanaście tysięcy lat przed naszą erą Federacja Pacyfiku jako pierwsza weszła w posiadanie broni nuklearnej i użyła jej. Przyniosło to zagładę atlantyckiej konkurentki. Przy okazji przestał istnieć cały kontynent Atlantyda, na którym nie dostrzeżono nawet pierwocin cywilizacji ludzkiej.

Sukces nie przyniósł szczęścia zwycięskim Denniakom Pacyfiku. Ich dotychczasowa zwartość rozpadła się na wiele państw, nastąpiły dziesiątki starć lokalnych, kultura podupadła (na skutek wyniszczenia najaktywniejszych jednostek). Reszty dokonały inteligentne Kraby. Wkrótce po eksplozjach nuklearnych na Pacyfiku pojawił się szczep mutantów, prawie nieśmiertelnych i diabelsko inteligentnych. W ciągu zaledwie kilku pokoleń Kraby nie tylko wyemancypowały się spod władzy Denniaków, ale wnet narzuciły im swoją dominację. Nie zaskoczył mnie ten fakt. Także w historii ludzkości zdarzały się przypadki, gdy niewolnik zmieniał się w hegemon.

Dziś ssaki denne egzystowały jako poddani skorupiaków. Pracowały dla nich, zmuszone były składać ofiary z własnych dzieci. A ścisła kontrola miała na celu nie dopuścić do nawiązania kontaktu z ludźmi. Nigdy!

— Nigdy? Przecież rozmawiamy!

Połączenie urwało się nagle. Dopiero następnego dnia Filip wyznał, że po prostu przestraszył się. Nie, nie krabów. Te pozwalały żyć Denniakom w swoich gettach, wystarczała im kontrola pośrednia, przez sieć informatorów.

— To bardzo pojętne zostać informatorem — tłumaczył mój rozmówca. — Dzieci etatowych donosiciele nie uczestniczą w losowaniu ofiarników...

— W takim razie, dlaczego wszyscy nie zostają donosicielami — zapytałem.

— A godność? — odparł Filip.

Potem opowiedział mi o epoce ciemnoty. Po przejściu władzy przez Kraby rozpoczęła się planowa degeneracja Denników. Na ofiary zabierano najzdolniejszych, pozostawiając przy życiu głównie kretynów... Do całkowitego wyniszczenia gatunku nie doszło tylko dlatego, że pewna liczba inteligentnych istot była Krabom potrzebna. Krab mógł walczyć, zarządzać, nie nadawał się natomiast na rzemieślnika, konstruktora. Poza tym nawet wśród „opancerzonych skorupiaków” zdarzały się jednostki posiadające skrupuły moralne. Dość stwierdzić: — „sito antyewolucyjne” okazało się nieszczelne. A potem, w trwającej całe pokolenia konspiracji, rozpoczęło się powolne odradzanie Denników — tajne nauczanie, chronienie najwartościowszych jednostek, wyrabianie „wariackich papierów” geniuszom. Istoty Denne pojęły, że jeśli chcą przetrwać jako gatunek, nie mogą pozwolić sobie na egoizm, partykularne interesy. Sabotowano zdrajców i kolaborantów, choć unikano samosądów.

W rezultacie, przed około pięćdziesięciu laty — według ziemskiej rachuby (Filip podał mi wyliczenie w kilobytnicach) podjęto program „Kontakt”. Skonstruowano radio i wytknięto nad powierzchnię pierwszą antenę. Potem drogą analiz rozpracowano język ludzki. Ponieważ najsilniejszą odbieraną stacją było Papetee, stolica francuskiej Oceanii, pierwszą mową, jaką opanowali Denniacy był język Wiktora Hugo. Rychło francuski stał się językiem przysiężonych. Oczywiście doniesiono o tym Krabom. Odkryto i zniszczono maszt, zgładzono inicjatorów (zginął wtedy dziadek Filipa i Lucille)...

Od niepamiętnych czasów Kraby, bardziej od wstrząsów dna, bały się ssaczej solidarności. Istniały stare przepowiednie, o Dniu, kiedy Powierzchnia zjednoczy się z Dnem i skończy się Era Kraba. Stąd w ciemnych wiekach były wpajane Denniakom przez opancerzonych kuratorów rozmaite przesady. Jedne zaprzeczały w ogóle możliwość życia w warunkach słabych ciśnień, inne lokowały na powierzchni piekło dekompresji. A reportaże dźwiękowe o masakrach wielorybów i fok (zresztą prawdziwe) stanowiły podstawę antyludzkiej edukacji. Oczywiście skutek mógł być tylko przeciwny. Z wypowiedzi Lucille przebijała nadmierna idealizacja ludzi. Denniacy kochali nas a priori — uważali ludzi za istoty bez grzechu, dobre, humanitarne i mądre. Odrzucali wszelkie wiadomości o wojnach toczonych między ludźmi, a opadające na dno wraki składali na karb przypadkowych katastrof i nieszczęśliwych wypadków...

Kiedy słuchałem, jak mówią o nas pełni sympatii i zachwytu, częściej od dumy ogarniał mnie wstyd. Ale czy miałem prawo prostować? Pozbawiać ich nadziei?

Po pierwszej wpadce na długo przestano marzyć o kontakcie z ludźmi. Natomiast język francuski odpowiadający, jak się okazało, organom głosowym Denniaków, zdobył ugruntowaną pozycję. Stał się językiem elity, naukowców i naturalnie konspiratorów. Mowa pod wodą to w ogóle fenomen — ale Filip wytłumaczył mi szczegóły przekształceń ucha Denniaków, które sprawiły, że ich wrażliwość na dźwięk mimo różnicy ciśnień była zbliżona do naszej.

— A resztę — dorzuciła Lucille — sprawia modyfikator przy naszej słuchawce...

Trochę mnie zaboląła myśl, że uroczy głosik Denniaczki jest efektem modulacji elektronicznej. Od pierwszej rozmowy, czując jej ogromną wrażliwość i fascynując się jej duszą, instynktownie odrzucałem pytanie o wygląd. Wołałem się nie zastanawiać, czy ma skórę morsa, czy rogowy pancerz, czy rogową łuskę lub szyję jak plezjozaur? Zwłaszcza, że niepostrzeżenie, z dnia na dzień syreni głos w słuchawce stawał się coraz bardziej niezbędnym składnikiem mojej egzystencji. Nadawał jej sens... Nie mówię już o drugim aspekcie. Odkrycie świata, którego istnienia nikt z Ziemiaków nie podejrzewał, stawiało mnie w szeregu Kolumbów i Einsteinów, choć między Bogiem a prawdą nie miałem pojęcia, w jakiej formie mógłbym przekazać swe odkrycie światu? Filip prosił o ostrożność. O zachowanie tajemnicy.

— Dlaczego? — pytałem. — Nie przypuszczasz chyba, że nasze małe kraby mogą być w zмовie z waszymi...

— Nie o to chodzi! Oni są świetnie poinformowani o waszym świecie, dużo lepiej niż my....

W głosie mojego rozmówcy zabrzmiała gorzkość. Zresztą pojawiała się zawsze, gdy rozmowa schodziła na temat skorupiaków. Normalny żal gatunku, który był kiedyś wielki, a obecnie przychodzi mu żyć w upodleniu. Władza Krabów była bezlitosna, wszechmocna i niezmienna. Silniejsi od Denniaków, pokryci praktycznie niezniszczalnymi pancerzami dysponowali bronią, której posiadanie było niewolnikom zakazane.

A co się tyczy wiedzy o świecie? Od ponad pięćdziesięciu lat liczne krabie ekspedycje wylatywały z głębin w hermetycznych krążkach, przypominających złożone ze sobą talerze. Krążąc nad ziemią, skorupiaci zbierały informacje, kradły technologie... Czasami wysadzały na ląd swoje roboty, niewielkich wielkogłowych dwunogów, przypominających wyglądem ludzi, obdarzonych przeważnie jednym wizjerem. Filip nie potrafił (nie znał pojęcia kolorów) wytłumaczyć, dlaczego ludzie nazywali te roboty mianem Zielonych...

Idea porozumienia Ludzi i Denniaków nie zginęła jednak całkowicie. Nowe pokolenie konspiratorów czekało szansy. Dostarczyło jej trzęsienie dna. Podczas powszechnego chaosu wyciągnięto z ukrycia spreparowaną już dawniej budkę telefoniczną i wysłano ją na powierzchnię. Kabel ukryty tuż przy ścianie rowu meranijskiego pozostał jak dotąd nie odkryty...

— Czego oczekujecie sobie po tym kontakcie? — zapytałem wprost, chyba podczas naszej ósmej sesji telefonicznej.

Moment zakłopotania.

— Są różne zdania. Niektórzy się boją... — powiedział niewyraźnie.

— Czego u licha?

— Niektórzy mają wątpliwości, czy sojusz z ludźmi byłby możliwy.

— I słusznie.

— Jednak nie możemy dłużej czekać.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że otrzymalibyście wiadomość, że Kraby szykują inwazję na Ziemię. Czy waszą odpowiedzią nie byłoby zbombardowanie rowów oceanicznych i zniszczenie pospołu Krabów i Denniaków?

Nie potrafiłem odpowiedzieć, milczałem...

— Oczywiście to tylko taka hipoteza — Filip zaczął mówić szybko, jakby żałując poprzedniej wypowiedzi. — Żadna inwazja nie jest przygotowywana... Chwilowo!

Wyczułem nerwowość istoty, która chyba powiedziała zbyt wiele.

— Albo — do rozmowy włączyła się Lucille — gdybyśmy wysłali zamówienia na krabobójczą broń, wraz ze schematami. Czy wykonanoby nam ją na Ziemi, w tajemnicy, a potem opuszczono we wskazanym miejscu głębi...

— Nie mam pojęcia, musiałbym porozmawiać z przedstawicielami władz...

— Z nikim nie rozmawiaj — przerwał Filip. — Na razie poznajemy się dopiero. Dziś dość tego tematu. Obiecywałeś, że opowiesz nam trochę o waszym Bogu...

* * *

Może postąpiłem źle, zachowując całe odkrycie dla siebie. Ale czy w ogóle w tamtych dniach zachowywałem się rozsądnie? Chodziłem jak w transie. Przestałem rozmawiać z

Anną. Nie poznawałem ludzi. Żyłem od seansu do seansu. Dwa uczucia, fascynacja Denniakami i narkotyk w postaci głosu Lucille, oładnęły mną bez reszty. Ludzie z Aloa

ustępowali mi z drogi. Ten i ów, z pełnym wyrazem współczucia, kreślił na czole kółeczko.

Jednocześnie z dnia na dzień ogarniał mnie strach. Im więcej wiedziałem, tym częściej spoglądałem na niebo, szukając na nim metalicznych krążków. Na plażę biegałem drogą okrężną i jak Robinson szukałem na piasku śladów stóp, a raczej odnóży. Ale każdego ranka po przyplywie piasek był czysty, równy, dziewiczy...

Anna zaniepokojona zmianą w moim zachowaniu zaproponowała wizytę u doktora Charbonniera. Stary lekarz, nasz dobry znajomy, mieszkał dosłownie paręset metrów od naszego domu, w najwyższej części wyspy. Ale czy znakomity gawędziarz, który pół wieku spędził w podróżach, na safari i podmorskich łowach mógł być dobrym powiernikiem mej tajemnicy? Cechowała go przede wszystkim gadatliwość, a zarazem kąśliwe poczucie humoru. Gdyby mi uwierzył (w co wątpię), nazajutrz wiedziałaby o moich podwodnych kontaktach cała wyspa. A gdyby nie uwierzył? Pewnie kpinom nie byłoby końca.

— Nie mam ochoty na spotkanie z tym starym nudziarzem — odpowiedziałem Annie.

— Jak uważasz, kochany!

Od tsunami minęło pół miesiąca. Miasteczko podniosło się z ruin, zazieleniły się kwietniki, napłynęli turyści. Do mego bungalowu znowu doprowadzono światło i telefon.

Któregoś dnia opowiedziałem Lucille o świecie obrazów. Mówiłem o kolorach, o świetle słonecznym, usiłując przełożyć te wrażenia na szyfr zapachów, dotyku, smaku i dźwięku.

— Nie podobałabym się tobie — przerwała w pewnej chwili. — Wiesz, że ja mam...

— Nie chcę o tym słuchać!

— Ale kiedyś przecież się zobaczymy. Dzięki batyskafom zejdziesz na dno i chciałabym, żebyś...

— Nie mów nic.

Wiesz — powiedziała po dłuższej pauzie — bardzo chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

— Teraz jestem.

— Teraz tak, ale jutro?...

* * *

Tajemnica męczyła mnie coraz bardziej. Musiałem się nią z kimś podzielić. Anna nie wchodziła w grę. Wyglądała na coraz bardzo podenerwowaną. Patrzyła na mnie dziwnie. W nocy wykrzykiwała przez sen słowa, których nie mogłem zrozumieć. Pozostawał ojciec Andrzej. Odwiedziłem go wczesnym rankiem, kiedy w zakrystii rozbierał się po porannej mszy. Ucieszył się moim widokiem.

— Anna martwi się twoją chorobą, Pierre — powiedział, zapraszając mnie na śniadanie.

— Jeśli fascynację można nazwać chorobą, to jestem chory, ale...

— Od fascynacji krok do szaleństwa — zauważył, przyglądając mi się uważnie.

I wtedy mu powiedziałem. Wszystko. W półgodzinnym monologu wyrzuciłem z siebie całą prawdę o porannych spacerach, mówiłem o Lucille, Filipie, budce, Krabach i Denniakach. Mówiąc, nie patrzyłem na księdza. Bałem się niedowierzania w jego oczach.

Rzeczywiście, nie uwierzył mi. Kiedy skończyłem, uśmiechnął się ciepło, serdecznie.

— Masz wielki literacki talent, chłopcze. Nie mogę pojąć, dlaczego zerwałeś z pisaniem?

Jego niewiara rozwścieczyła mnie!

— Dobrze, a zatem przekonam ojca. Natychmiast!

Specjalnie się nie opierał. Wyciągnął z szopy stary rower i popedałował obok mnie. Biegając truchtem, rozkoszowałem się myślą o jego zdumieniu, gdy niewiarygodne okaże się faktem.

Plaża wyglądała normalnie. Wilgotny piasek po świeżym odpływie. Załamujące się fale, grzywy palm. Grzebień raf... Ale jedno się zmieniło. Nie było budki. Krzyknąłem i przebiegłem przez płyciznę. Przeskakiwałem ze skały na skałę. Ksiądz podkasał sutannę i brodził za mną.

— Może zabrał ją odpływ, albo osunęła się trochę niżej — podsunął spokojnie. Zrzuciłem ubranie i zanurkowałem. Dwa metry od falochronu zaczynało się urwisko i bezdenna głębia. Budki ani śladu. Kabla też! Wypląnąłem. Jeszcze raz przeszukałem miejsce mych rozmów. Woda zabrała nawet pudełka po papierosach, których każdorazowo wypalałem co najmniej paczkę.

Na twarzy ojca Andrzeja malowało się współczucie. Zapewne rozmyślał już o sposobie skierowania mnie na kurację psychiatryczną.

Jeszcze raz przypomniałem sobie ustawienie budki. Czy mogło zabrać ją morze? Wykluczone. Ostatnia noc była bezwietrzna, fale słabiutkie... Nagle zauważyłem podłużny kształt błyskający w wodzie. Kawałek metalowej rurki. Coś, co mogło posłużyć jako lewar. Anna? Nie widziałem jej tego ranka w obejściu... Anna?!!! Czuję, że ogarnia mnie szaleństwo. Moje wzburzenie dostrzegł ksiądz.

— Spokojnie synu, ty naprawdę... Przerwałem mu ostro.

— Nie zwariowałem, proszę księdza, I mogę to udowodnić. Mniej więcej tydzień temu kupiłem dyktafon. Nagrywałem na nim prawie wszystkie rozmowy z Lucille...

Niestety dyktafon zostawiłem w domu. Ale czy to był wielki problem?

— Niech ksiądz tu na mnie poczeka, na rowerze obrócę błyskawicznie. Pomknąłem znów przez rozległe pasmo piasku. Wracalem po naszych śladach. Swoich i roweru. Zagłębiłem się w laszek. Rozpacz walczyła we mnie z wściekłością.

— Jak ona mogła mi to zrobić! Kreyńska czekolada! Gdzie się teraz może podziewać!?

Raptownie uderzyła mnie zupełnie inna myśl. Tak nagła, że aż się zatrzymałem. Ślady!! Przecież, jeśli Anna zepchnęła budkę, na plaży winny pozostać ślady jej stóp i to w obie strony. Zawróciłem. Przenikał mnie całego podmuch strachu. Nagle bezchmurne niebo i podnoszące się coraz wyżej słońce wydało się dziwnie zimne, nieludzkie.

— Ojciec Andrzeju! — wołałem, wierząc naiwnie, że mój głos może rywalizować z szumem przyboju. — Ojciec Andrzeju!

Nie odpowiadał.

Wreszcie dostrzegłem czubek jego głowy wystający zza skały. Podjechałem bliżej. Poza głową nie zostało z niego wiele więcej... Woda obmywała górną połowę korpusu przeciętego czymś ostrym, olbrzymim. Nie znalazłem śladów walki. Tylko pozostawione na skraju wody buty i kapelusz wskazywały, że ksiądz pragnął uciekać, nie myśląc o garderobie. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne przerażenie. Ale kto mógł to zrobić? Śmierć nastąpiła nie dalej jak przed pięcioma minutami. Napastnik, czy raczej napastnicy, nie mogli się zbyt oddalić. Na piasku pozostały dziwne ślady. Nagle przestrzeń dzieląca mnie od zarośli wydała się olbrzymia. Wskoczyłem już na siodełko. Zakręciłem. Chrupnął zerwany łańcuch. Rzuciłem nieprzydatny welocyped. Puściłem się pędem.

Krab oczekiwał mnie na skraju zarośli. Był wielkości wołu, dziwnie szklisty i bezbarwny. W porównaniu do swych karłowatych kuzynów zdumiewał rozwiniętą mózgowczaszką, na której chitynowe przezroczyste płyty przykrywały ogromny mózg...

Nogi ugięły się pod mną. Byłem bezbronny i przerażony. Krab zdecydowanie ruszył mi na spotkanie. Jego śmiercionośne szczytce przypominały ramiona koparki.

Nagle gruchnął strzał. Kula odbiła się od pancerza, nie sprawiając skorupiakowi najmniejszej krzywdy. Jednak zatrzymał się, obejrzał, zawrócił. Teraz i ja dostrzegłem w tumanie kurzu pędzący jeep doktora Charbonniera, a w nim lekarza ze strzelbą. Obok siedziała Anna. Lekarz strzelił po raz drugi... trzeci... Jednak żadna z kul nie wyrządziła potworowi najmniejszej szkody. Tymczasem samochód wtoczył się na plażę, ominął szerokim łukiem kraba i najwyraźniej zmierzał w moją stronę.

Skorupiak przejrzał plan. Odwrócił się i ruszył w moją stronę z rącznością geparda. Anna siedziała za kierownicą. Tymczasem doktor podniósł z siedzenia ręczną wyrzutnię, wycelował... Harpun trafił dokładnie między płyty chitynowe pancerza i mózgowczaszkę. Krab

odczuł ten cios. Zatrzymał się. Szarpnął liną, która omal nie przewróciła wozu. Doktor kazał Annie zatrzymać pojazd, po czym razem z moją żoną wyskoczyli na piasek. Krab zawrócił. Przestałem go interesować. Teraz jego głównym celem był samochód i harpunnik. Jednak Charbonnier ku mojemu zdumieniu nie uciekał, tylko manipulował coś przy wozie. Krab był tuż, tuż. Majestatyczny, zręczny. Skoczył. Ale w tym samym momencie doktor cisnął zapalną. Zrozumiałem pomysł. Doświadczony podróżnik zawczasu przedziurawił zbiornik z benzyną. Masa paliwa i wyciekła na piasek. Krab już nie zdołał wyhamować. Oplatany; liną nagle znalazł się w środku ognistej kuli... Wydał niemalże ludzki wrzask. Płomienie ogarnęły odnóża stawonoga. Bestia bezsilnie turlała się po plaży, wlokąc za sobą samochód. Płonął piasek. Jeszcze sekunda, a detonował bak jeepa. Było po wszystkim.

— Anno!

Przytuliła się do mnie. Kochająca, ciepła, opiekuńcza.

— Skąd wzięliście się tutaj? Skąd przyszło wam do głowy wziąć ze sobą harpun, strzelby...

— Dzięki informacji, którą kazałeś przekazać.

— Ja kazałem?...

— Pół godziny temu zatelefonowała do mnie jakaś dziewczyna. Powiedziała, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Akurat przejeżdżał pan doktor...

— Na szczęście zobaczyłem tego Kraba przez lornetkę, jak wyłaził z morza. Inaczej nigdy nie uwierzyłbym w jego istnienie — wyjaśnił Charbonnier.

— Ale kto mógł dzwonić? Jaka dziewczyna?

— Powiedziała tylko, że ma na imię Lucille...

— Lucille? — wypuściłem z ramion żonę i popatrzyłem na dopalające się szczątki wozu i Kraba. — Lucille?

A więc znaleźli sposób na włączenie się do ziemskiej sieci telefonicznej. Mają kontakt. Będę mógł słuchać jej głosu, gdy tylko zechcę.

Odwrociłem głowę, żeby Anna nie zobaczyła zmiany na mojej twarzy. Charbonnier ruszył w stronę zwłok księdza. A ja pomyślałem, że koniec tej historii może być dopiero jej początkiem.

ETYKA ZAWODOWA

Ogromny jumbo-jet z dziecinną łatwością oderwał się od pasa startowego lotniska Heathrow, kierując swój garbaty dziób na zachód. Uśmiechnąłem się. Zawsze po starcie odczuwałem ulgę, że znowu się udało...

Niewielu rzeczy na tym świecie boję się, jednak loty samolotem do nich niewątpliwie należą. Może to jakiś atawistyczny lęk potomka Ikara? Ciągle nie mogę sobie z tym poradzić. Już samo wejście do lotniskowego terminalu powoduje nagły skok adrenaliny. Naturalnie potrafię to opanować, jednak nie rozumiem przyczyny obsesyjnej trwogi przed startem. Ciekawe, że nie odczuwam podobnego lęku podczas lądowania.

Zgasły napisy zakazujące palenia. Odpiąłem pas i szybko ruszyłem na pięterko, gdzie znajdował się barek. Prawdę powiedziawszy, alkohole interesowały mnie znacznie mniej niż rezydująca tam właścicielka wspaniałej pary nóg i blond grzywy (wpatrzyłem ją podczas wsiadania do samolotu).

Salonik spowijał dyskretny półmrok. Zamówiłem podwójną szkocką i usiadłem obok dziewczyny sączącej campari. Zdawała się mnie nie zauważać, wpatrzona w jakiś punkt nade mną.

— Bardzo przepraszam, ale wydaje mi się, że miałem już przyjemność spotkać panią...

Spojrzenie było czujne, taksujące, lecz nie pozbawione rozbawienia. Takim spojrzeniem kobiety zwykły obrzucać interesujących mężczyzn, którzy w niezbyt udolny sposób próbują nawiązać konwersację.

— Jeśli się nie mylę, w zeszłym roku na wyścigach w Ascot... — strzeliłem

— Nie bywam w Ascot — odpowiedziała blondynka. Głos miała niski, zapierający dech w równym stopniu, jak jej uroda. — To dobre dla snobów. Mogliśmy się jednak widzieć podczas prezentacji mojej kolekcji w Glasgow.

— Naturalnie, przypominam sobie, we wrześniu w Glasgow, panno...?

— W październiku — poprawiła. — Martha Aldridge.

Wyciągnęła do mnie rękę o nieprawdopodobnie szczupłych (co nie znaczy, chudych) palcach. Przedstawiłem się i ja:

— Graham Sowley.

— Sądząc po marynarce od Harrodsa zestawionej z džinsami, nie zajmuje się pan projektowaniem mody — powiedziała Martha.

Chyba się zaczerwiłem. Bąknąłem, że jestem tylko biznesmenem i modą interesuję się wyłącznie od przypadku do przypadku, jako dziełem sztuki, natomiast na co dzień nie zwracam na nią większej uwagi. Panna Aldridge podobnie jak ja udawała się do Chicago. Tym razem, jak twierdziła, nie miała zamiaru prezentować swojej najnowszej kolekcji, tylko przeprowadzić handlowy rekonesans, spotkać się z paroma ludźmi, wziąć udział w paru snobistycznych party.

— A mówiła pani, że gardzi snobizmem? — powiedziałem to tonem, jakbym przyłapał ją na najgorszym uczynku.

Roześmiała się.

— Czasem wymagają tego interesy. Powiedziałam przecież, że jadę w interesach.

— Zupełnie jak ja.

Oczywiście, nie mogłem tej pięknej dziewczynie powiedzieć prawdy. Spoglądając na burzę złocistych włosów i delikatnie rozchylone usta, zastanawiałem się, jaka byłaby jej reakcja, gdyby dowiedziała się, że ja, Graham Sowley, znany też jako Jimmy Moreno, Kurt Schumacher lub Dimitri Zacharenko — jestem jednym z najwybitniejszych i przy okazji najbardziej pracowitych zabójców do wynajęcia. W środowisku fachowców od mokrej roboty noszę australijski pseudonim Dingo.

* * *

Z wysokości dziewięćdziesiątego piętra wieżowca Illinois Tower rozpościerała się szeroka panorama rozświetlonej metropolii. Mężczyzna, który przedstawił się jako Hansen, siedział vis-à-vis mnie na hotelowej kanapce. Przypominał dużego szczura i najprawdopodobniej nim był. Zresztą, przeważnie tak wyglądają wyżsi rangą agenci tajnych służb, z upodobaniem udający niewinnych obywateli.

Klucz do apartamentu znalazłem w skrytce na lotnisku. Wszedłem do środka o 19.28. Hansen już czekał. Zapewnił, że mieszkanie jest czyste, nie ma podsłuchów, a niewinnie wyglądających szyb nie przebiłaby kula wystrzelona ze sztucera.

— Więc pan jest tym słynnym Dingo? — powiedział, wpatrując się we mnie małymi świdrującymi oczkami. — Najszlachetniejszy z zabójców. Niewolnik swych zasad.

— Prawdopodobnie wie pan o mnie wszystko — przerwałem ten potok komplementów. — Działam sam. Nie likwiduję dzieci, osób duchownych i przypadkowych zakładników. Służę wyłącznie prawu, w momentach, gdy okazuje się bezsilne lub zbyt ślamazarne. Przystępuję do pracy natychmiast po otrzymaniu zlecenia i potwierdzeniu wpływu połowy umówionej kwoty na konto wyznaczonego banku w Genewie.

— Wspaniała etyka zawodowa. Napije się pan? — Hansen otworzył barek.

— Najpierw porozmawiajmy, kto i kiedy?

— Tego chwilowo nie potrafię panu powiedzieć.

Poczułem naraz ogromną chęć kopnięcia go w brzuch, strzelenia mu w twarz z wielokalibrowego magnum lub przynajmniej sprawdzenia nim rzeczywistej wytrzymałości pancernych szyb. Zleceniodawca nie wydawał się przerażony taką perspektywą, może nie brał jej pod uwagę?

— Najpierw muszę w skrócie nakreślić sytuację, Dingo. Jest ona cholernie skomplikowana.

— Gdyby nie była skomplikowana, nie ściągnęlibyście mnie, tylko zadowoliliby was jakiś miejscowy patałach.

Hansen otworzył płaską, czarną teczkę.

— Zna go pan?

Z fotografii spoglądała na mnie uśmiechnięta twarz jednego z najznakomitszych amerykańskich senatorów. Niektórzy mówili już o nim jako o następnym prezydencie USA.

— Jego? — zapytałem lakonicznie.

Hansen pokręcił głową.

— Zapewne pan wie, co dzieje się teraz w Moskwie. Rozpad imperium, bałagan, walki nowo wyłaniających się frakcji. Ostatnio część tajnych dokumentów KGB dostała się w niepowołane ręce. Publikują je gazety, sprzedają sprywatyzowani generałowie. Mamy cynk z dobrego źródła, że za parę dni na łamach pewnego wysokonakładowego dziennika zostaną ujawnione akta operacji „Kukułka”. Czy wie pan, co w nich jest?

Pokręciłem przecząco głową. Jeśli nie miałem tam interesów, wolałem trzymać się z daleka od euroazjatyckiego kolosa i jego sprawek.

— „Kukułka” — tak, według owych przecieków, brzmiał kryptonim naszego senatora, od piętnastu lat pracującego dla radzieckiego — wywiadu.

— Cholera! — z wrażenia nalałem sobie pół szklanki whisky.

— Rozumie pan, co działałoby się u nas po ujawnieniu takiej informacji. Oskarżenie i aresztowanie „Kukułki” byłoby kompromitacją całego naszego establishmentu. Naturalnie można by uprzedzić bieg wydarzeń, próbować skłonić go do dymisji, publicznej ekspiacji. Niestety, nasi informatorzy z Moskwy donosili, że senator nawiązał już pewne kontakty z Pekinem. Z jego punktu widzenia byłoby to logiczne. Rosja przestaje się liczyć w geopolityce, bo nie ma czym płacić. A Pekin — to przyszłościowy patron. Wie pan, czym to

może grozić? Jako przewodniczący jednej z komisji senator ma dostęp do najnowszych planów strategicznych. Sam pan rozumie, że decyzja może być tylko jedna.

— Rozumiem. Ale skoro zaprzeczył pan, że to ja miałbym być jego egzekutorem, to nie bardzo rozumiem...

— Moi szefowie wybrali kogoś innego. Zgodził się. W najbliższych dniach, tu w Chicago, ma zrealizować kontrakt.

— I ja mam być dodatkowym zabezpieczeniem?

— Nie! Sytuacja niestety uległa dramatycznej zmianie. Proszę sobie wyobrazić, iż odezwał się jeden z emerytowanych szefów CIA i od niego dowiedzieliśmy się, że „Kukułka” to był nasz stary plan dezinformacyjny. Senator już od czasów studenckich udając współpracę z KGB, w istocie pracował dla Centrali w Langley, oddając bezcenne usługi Wolnemu Światu. Pięć lat temu, po rozpadzie ZSRR program zakończono, dokumenty uległy zniszczeniu.

— Czyli wszystko w porządku. Odwołajcie egzekutora.

— To nie takie proste. Okazuje się, że nie mamy sposobu odwołania wynajętego zabójcy. Od momentu wystawienia zlecenia brak z nim łączności. Odliczanie ruszyło i jeśli go nie powstrzymamy, zginie wielki amerykański patriota...

— Reasumując, mam wytropić i zabić kolegę po fachu?

— Sądzę, że nie sprawi to panu szczególnej przykrości. — Hansen wyszczerzył swoje szczurze ząbki. — Zabójca jest diametralnym przeciwieństwem pana: żadnej etyki, hamulców, głęboka konspiracja i duże pieniądze. Kontakt utrzymuje wyłącznie przez pośredników eliminowanych po zawarciu kontraktu. Mimo kilku zleceń nie wiemy nawet, czy mamy do czynienia z mężczyzną, czy kobietą.

— Do diabła, zaciekawia mnie pan, Hansen. Cóż to za typ?

— Orka. — Zaniemował pan?

Rzeczywiście zaniemowałem. Tymczasem Hansen wygrzebał z teczki nowe materiały.

— Na temat Orki praktycznie brak jakichkolwiek informacji. Jeśli nie liczyć dossier przypisywanych mu „robótek” i tych paru spraw, które załatwił dla nas.

Są dwa typy ludzi od mokrej roboty: arystokraci i wyrobnicy. Arystokraci to artyści, przyjmują jedynie niektóre zlecenia, dbają nie tylko o wykonanie zadania, ale i o styl. Często bardziej od pieniędzy cenią sobie opinię w środowisku, co po jakimś czasie wychodzi na jedno. Starają się też nie postępować głupio. Nie zabijają policjantów, bo to potrafi obrócić się przeciwko zawodowcowi. Oszczędzają postronnych obywateli. Nie zadają ofierze niepotrzebnych cierpień. Natomiast partacze idą na wszystko. Zabijanie to dla nich

przyjemność. Robią wiele huk, nie wahają się przed przyjęciem najbardziej brudnych ofert — tego samego dnia mogą działać dla dwóch stron.

Z tego, co mówił Hansen, Orka łączyła w sobie cechy obydwu typów. Nie cofała się przed żadnym łajdactwem. Jedyne, o co dbała naprawdę, to własne bezpieczeństwo. Żaden wywiad świata nie miał pewnych informacji o tym zabójcy, nie posiadał odcisków palców lub choćby domniemanego rysopisu.

— A jednak jestem przekonany, że powstrzymasz ten zamach, Dingo. Bo jeśli nie ty, to kto?

W normalnej sytuacji roześmiałbym się z komplementu szytego grubymi nićmi. Teraz byłem zbyt zajęty swoimi myślami.

— Przyjmiesz to zlecenie? Cena nie gra roli! — naciskał agent.

— A przy okazji spełnisz aż dwa dobre uczynki — ocalisz wielkiego człowieka i oczyścisz świat z kreatury.

— Tak, to rzeczywiście interesujące — powiedziałem powoli.

— A wolno wiedzieć, jak się skontaktowaliście z Orką?

— Ogłoszenie! Nasz agent w Paryżu dał w „Paris Match” anons: *„Potrzebny partner dla Orki. Hodowla prywatna. Warunki do uzgodnienia.”* Mieliśmy cynk, że w ten sposób można złapać kontakt.

— No i?

— Po trzech dniach odezwał się telefonicznie pośrednik z Bazylei. Potem nadszedł mail z Wiednia zawierający szczegóły poprzedniego zamachu. Szczegóły, które mógł znać tylko wykonawca. Załączył nawet drobne „portfolio” z ofiarą w tle. Wreszcie zatelefonowała jakaś kobieta. Podała numer faksu oraz klucz szyfrowy, według którego mieliśmy nadać treść zamówienia. Przekazała również numer konta banku w Genewie, na które mieliśmy przelać zaliczkę. Potem przyszło krótkie „zgoda” i kontakt się urwał.

— A pozostawione ślady?

— Nie było żadnych. Pośrednik zniknął. Zleceniodawczyni, którą udało się nam namierzyć — młoda emigrantka ze Wschodniej Europy — wypadła z pociągu na wysokości Lozanny. Orka przystąpiła do zadania, a my nie jesteśmy w stanie jej powstrzymać.

* * *

Kończąc rozmowę z Hansenem, zapragnąłem na chwilę oderwać się od tego wszystkiego. Odprężyć. A przede wszystkim — oddalić się od działającego na nerwy agenta.

Miałem przed sobą bezsenność noc. Czekano na mnie analizowanie wycinków dotyczących osiągnięć Orki i jej nieszablonowych metod działania. Druga teczka zawierała dane o tarczy strzelniczej, to znaczy o senatorze „Kukułce”: jego nawykach, reakcjach, pragmatyce ochrony osobistej, miałem też precyzyjny, wręcz minutowy program jego pobytu w Chicago.

— Pojadę zameldować się do mojego hotelu, a potem biorę się do roboty — rzekłem, wstając.

— Przecież zarezerwowaliśmy dla pana apartament w... — zaczął Hansen, ale mu przerwałem.

— Zamówiłem sobie z lotniska pokój w Sheraton Plaza.

— Tego nie było w umowie.

— Ma sporo zalet. Jest w centrum miasta, ma dobry dojazd i miłe towarzystwo.

Nie zamierzałem tłumaczyć Hansenowi, że głównym argumentem przemawiającym na rzecz Plazzy były zgrabne nogi Marthy Aldridge, która właśnie tam się zatrzymała. Nie miałem jednak szczęścia tego wieczoru. Nie zastałem pięknej projektantki mody ani w hotelowej restauracji, ani w żadnym z barów. Telefon w jej pokoju milczał. Klucz wisiał w recepcji. Pozostała mi praca. Zabrałem się do wertowania wycinków z prasy, odpisów protokołów, tajnych raportów. Ciekaw byłem, co urzędy federalne wiedzą o najemnym mordercy.

Niestety, na temat Orki nie zgromadzono zbyt wielu danych. Trzy duże sprawy, których realizacja przez Orkę nie budziła wątpliwości oraz osiem jej przypisywanych. A więc zabójstwo irlandzkiego terrorysty ukrywającego się w Szkocji. Zuchwałe i bezwzględne. Wraz z Patrykiem O'Rourke zgładziła również jego żonę, jedenastoletniego syna i dwójkę starszuchów, którzy udzielili im gościny. Druga sprawa — likwidacja ministra jednej z bananowych republik, bawiącego incognito w Europie. Śmierć poniosły jeszcze dwie postronne osoby, mimo że bomba była z gatunku „kieszonkowych”. Wreszcie otrucie szejka Ayuba Massaniego, szefa grupy fundamentalistów dorabiających handlem narkotykami. To były bez wątpienia akcje Orki. W żadnym z tych przypadków nie znaleziono ani świadków, ani współników, ani podejrzanych. Orka atakowała z dystansu, skutecznie i natychmiast zniknęła, nie pozwalając sobie na najmniejsze ryzyko. Ochroniarz szejka zginął tylko dlatego, że poprzedniego dnia przed zamachem mógł spotkać Orkę podczas, jak przypuszczano, rekonesansu.

Jeśli chodzi o sprawy przypisywane tajemniczemu zabójcy, to najbardziej spektakularna była katastrofa samolotu multimilionera Androutulosa Juniora. Maszyna roztrzaskała się o skalisty grzbiet wyspy Andros. Na podstawie przedśmiertelnych mająceń kochanki przyrodniego

brata Androutulosa, który zagarnął całą schedę po greckim miliarderze, za sprawcę wypadku uznano Orkę. Oczywiście nie było nawet śledztwa. Także przypuszczenia o udziale Orki w przyspieszeniu zgonu magnata prasowego Owensa opierały się głównie na opiniach fachowców od mokrej roboty. Owens zmarł, rzekomo wskutek wylewu, na pokładzie swojego jachtu. Ciało wpadło do wody i zostało wyłowione po dwóch dniach. Zwłoki nie zawierały rzecz jasna szybko rozkładającego się alkaloidu. Świadczenia lekarzy, u których magnat prasowy dzień wcześniej poddał się rutynowym badaniom, wykluczały jednak możliwości apopleksji. Założono, iż morderca przybył z morza, wykonał swoje zadanie i morzem odpłynął. Jak orka. Podobnie było we wszystkich ośmiu pozostałych przypadkach.

Doskonała, precyzyjna robota.

* * *

Pannę Aldridge spotkałem następnego dnia, podczas śniadania. Najwyraźniej należała do rannych ptaszków i wołała zejść do kawiarni, niż jeść w pokoju. Dość bezceremonialnie przysiadłem się do niej.

— Czy pan mnie śledzi, mister Sowley? — zapytała z udanym oburzeniem.

— Raczej los mi sprzyja, bo natrafiam na tych, których gorąco pragnąłem spotkać — roześmiałem się. — A poza tym proszę mi mówić, Graham.

Była śliczna. Dawno nie widziałem równie pięknej kobiety. Od czasu śmierci Katherine żadna kobieta nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Maud miała może bardziej zmysłowe usta (szelmowskie, zapamiętałem je doskonale z igraszek w wielkiej wannie w pensjonacie pod Monachium), ale to jednak nie ta klasa. Nagle wszystko przestało być ważne. Zapragnąłem mieć Marthę. Szybko i tylko dla siebie... Zastanawiałem się, jak jej to powiedzieć, by nie spłoszyć. Tymczasem prowadziliśmy lekką rozmowę właściwie o niczym. W pewnej chwili Martha spojrzała na zegarek.

— O jedenastej jestem umówiona. Potem mam ważny lunch.

— Może zjedlibyśmy razem kolację?

Uśmiechnęła się.

— Nie wiem, czy znasz obyczaje tego kontynentu, Graham?

— Zależy, o którym myślisz.

— Przyjęcie od mężczyzny zaproszenia na kolację oznacza, że jednocześnie akceptuję propozycję wspólnego spędzenia nocy.

— Tylko wtedy, gdy mężczyzna płaci za posiłek — uzupełniłem, może nazbyt pośpiesznie.

— Dlatego tym razem ja zapłacę — potrząsnęła burzą blond włosów i dodała, patrząc mi bezczelnie prosto w oczy. — Za nas oboje!

* * *

Nie można powiedzieć, że Hansen pozbawiony jest jakichkolwiek zalet. Posłusznie dostarczył wszystko, o co go prosiłem.

Dostałem zamówione komputerowe analizy: przepuszczono przez maszyny listy wszystkich podróżnych przybyłych w ostatnich dniach samolotami do Chicago, na podstawie rezerwacji nie wcześniejszej niż sprzed pięciu dni i nie późniejszej niż przedwczoraj. Priorytet mieli naturalnie przybysze zza oceanu. Z list odrzucono stałych mieszkańców miasta, ludzi przylatujących do Chicago wielokrotnie (w naszym fachu do tego rodzaju zadań używa się jednorazowego paszportu i takiej samej osobowości), dzieci i Azjatów. Zsumowano raporty detektywów hotelowych i meldunki z biur wynajmu samochodów. Oczywiście, było to szukanie igły w stogu siana. Nadto zarzucona sieć miała tak szerokie oka, że prześliznęłyby się nie tylko orka, ale i płetwal błękitny. Inna sprawa — zdaniem Hansena Orka nie miała pojęcia, że ktokolwiek na nią poluje, nie powinna więc podjąć dodatkowych środków ostrożności.

Osobiście uważałem, że naszą największą szansą mogło być wczucie się w psychikę zabójcy, w jego przyzwyczajenia i uprzedzenia.

— Prawie każdy z zawodowców opiera się na pewnych standardach. Niestety, Orka programowo jest nieszablonowa — mruczał Hansen.

— Sądzę jednak, że wybierze sytuację optymalną...

— Czyli czas po konwencji, kiedy będzie wiedziała, że „Kukułka” został już oficjalnie kandydatem w wyborach prezydenckich.

— Wręcz przeciwnie. Według sondaży opinii publicznej trzydzieści procent ma kontrkandydat ze stanu Maine. Może więc się zdarzyć, że „Kukułka” nie przejdzie. Wtedy „Orka” stanęłaby przed dylematem: czy warto zabijać kogoś, kto jest przegrany.

— Rzeczywiście — zgodził się agent.

— A z tego, co już wiemy o tym człowieku, to lubi zabijać. Cieszy się z tej roboty i nie zrezygnuje z emocji związanych z rozgrywką. Toteż uderzy albo przed konwencją, albo w jej trakcie.

Hansen popatrzył na mnie z podziwem.

— Nie wpadłbym na to. A takie założenie redukuje bardzo poważnie liczbę miejsc, w których można dokonać zamachu.

* * *

Cały dzień poprzedzający krytyczną dobę poświęciłem wizje lokalne. Najpierw odwiedziłem stanowe centrum kongresowe — ogromny biurowiec w kształcie wydrążonego ulla z krytymi windami i okrągłym patio poniżej poziomu ulicy. Tutaj zwyczajowo odbywały się konwencje.

Czy jednak było to wygodne miejsce dla zamachowca? Już teraz zauważyłem aktywność służb ochrony i wszechobecność kamer. Bomba nie wchodziła w grę, a atak bezpośredni nie dawał szansy odwrotu. Podobnie nienagannie działało zabezpieczenie obu hoteli, które senator miał odwiedzić. Zbliżony stopień trudności prezentowało lotnisko O'Hare. Michigan Avenue odrzuciłem: kandydat na prezydenta podróżował opancerzonym cadillakiem i miał asystę helikopterów, wykluczającą strzał z bazooki. W zasadzie należało skoncentrować się na dwóch punktach programu. Po pierwsze, na starym cmentarzu, gdzie w drodze z lotniska senator miał pomodlić się nad grobami przodków — tyle, że ten przystanek do końca nie był pewny. Po drugie, na długim Cyplu, między oceanarium a obserwatorium astronomicznym, gdzie przewidziano spotkanie z młodzieżą stanu Illinois. Teren z trzech stron otoczony morzem był niby trudny, a zarazem, dzięki łodziom patrolowym, łatwy do upilnowania. Senator miał tam otworzyć kwiatowe korso.

Po południu jeszcze raz spotkałem się z Hansenem. Agent zdradzał pewne podenerwowanie.

— Mam wszystko, o co pan prosił. Przepustkę, odznakę policji stanowej i federalnej, broń. Domyśla się pan, gdzie to nastąpi?

— Tak.

— Gdzie?

— Powiedziałem, że robotę odwalę sam. Awaryjnie w trzech wskazanych miejscach proszę o podstawienie trzech samochodów. Z kluczykami przyklejonymi taśmą pod lewym progiem. To na wypadek, gdybym musiał zmienić plan. I improwizować.

— Jest pan bardzo pewny siebie.

— Założyłem określony wariant i mam nadzieję, że się nie mylę. Chciałbym jeszcze pomówić o warunkach.

Hansen zmieszał się.

— Przecież honorarium zostało ustalone.

— Honorarium tak, ale ponieważ sprawa jest wyjątkowo trudna, chciałbym jeszcze...

— Do rokowań finansowych nie mam upoważnienia — wypalił agent.

— Nie chodzi mi o pieniądze. Podczas ostatniej bezsennej nocy powziąłem poważne postanowienie. Wycofuję się.

— Co takiego? — Hansen patrzył na mnie, jakbym nagle okazał się następcą carskiego tronu.

— Jeśli mi się uda, będzie to ostatnia robota Dinga. Mocny akord przedemerytalny. Dość mam prowokowania losu. Chcę osiąść gdzieś w spokoju, założyć rodzinę. Nosilem się z tym zamiarem od lat. Sądzę, że teraz będę mógł sobie na to pozwolić. Oczywiście, jeśli zapewnicie mi nowy życiorys, papiery, ochronę przed zbyt natarczywymi tropicielami.

— Byłaby to wielka strata dla sił niekonwencjonalnego wymiaru sprawiedliwości — stwierdził Hansen.

— Czy mogę liczyć na waszą pomoc? — naciskałem.

— Porozumiem się z szefami. Ale sądzą, że tak. Chociaż uważam, że dla takiego znakomitego fachowca myślenie o przejściu w stan spoczynku jest zdecydowanie przedwczesne.

— Chciałbym umrzeć we własnym łóżku obok młodej i możliwie pięknej żony, panie Hansen.

* * *

Zapach mleka i miodu z odrobiną piołunu... Martha pachniała jak nastolatka. Ale poza tym miała wszelkie cechy kobiety dojrzałej. Uprawiała miłość z kontrolowanym entuzjazmem. Chyba chciała czegoś więcej. Ja osiągnąłem wszystko. Była maksymalizacją moich marzeń. Spełnieniem chęci posiadania. Realizacją snu.

A potem leżeliśmy wśród ciszy i paliliśmy papierosy.

— Jesteś dobry, Graham. Powiem więcej — świetny. A tak przy okazji, jesteś żonaty?

— Jeszcze nie. A ty mężatka?

— Przelotnie. Ale jeśli chcesz mi złożyć jakieś propozycje, z góry uprzedzam, że nie mam zamiaru się z nikim wiązać.

Poczułem przykry skurcz zawodu.

— Ale nie przejmuj się, traktuję tak wszystkich mężczyzn.

Jeśli miało to być pocieszenie, wywarło dokładnie odwrotny skutek. Chyba zauważyła to, bo mnie pocałowała. Potem lekko ugryzła. Znow wziąłem ją w ramiona, mając wrażenie, że wbijam się w ciało luksusowego androida stworzonego do miłości...

Potem znow rozmawialiśmy. Zapaliłem nocną lampkę. Potargana i rozluźniona Martha przypominała dzikie zwierzątko. Znow odniosłem wrażenie, że znamy się dużo dłużej i lepiej, niż mogłoby się wydawać. Tylko ten koktajl w Glasgow? Przelotna rozmowa? Chyba wówczas mieliśmy się jeszcze raz spotkać, ale oboje utknęliśmy w korkach, które powstały podczas gigantycznej oblawy zabójców irlandzkiego terrorysty, który zginął tego dnia w mieście.

— A nie byłeś półtora roku temu w Egipcie? — zapytałem, bawiąc się jej koniuszkiem ucha. — Przysięgłbym, że spotkałem cię na statku płynącym do Abu Simbel. Tylko, przysięgłbym, że byłeś wtedy brunetką.

— Co pewien czas zmieniam upierzenie, jak każda szanująca się kobieta, mister Sowley.

— Mam nadzieję, że nie zmienisz go do jutrzejszego lunchu i uda mi się ciebie rozpoznać.

— Niestety, nie mogę ci obiecać, że zjemy razem lunch. Mam zaproszenie na korso kwiatowe na Northerly Island. Obowiązki towarzyskie.

— Znasz może senatora...? — tu rzuciłem nazwisko rodu od stu lat obecnego w historii USA.

— Mam nadzieję poznać go osobiście. Ale możemy przecież zobaczyć się wieczorem...

— Tu, w hotelu?

— Tak. Ale pod jednym warunkiem. Żadnych głupstw, zakochiwań. Jesteśmy dorosłymi, wolnymi ludźmi. Mamy swoje interesy i swoje rozrywki. Nasz flirt potraktujmy jak jedną z nich. A teraz chodź już do mnie.

Przygarnąłem ją, ale tym razem nie czułem już pożądania. Bardziej uczucie zawodu. Dlaczego, Martho, nie chcesz iść na całość?

Przed świtem opuściłem jej pokój. Spała jak dziecko. Ufna i bezbronna. Czy tak samo miała wyglądać u boku innych facetów, szukając nowych wrażeń, a może nanosząc nowe punkty na skali porównawczej? Z zawodowego nawyku przetrząsałem jej torebkę. Obejrzałem dokumenty, zanurzyłem się w świat babskich drobiażdżków. Wychodząc po gzymsie z apartamentu, odczuwałem bezbrzeżny smutek. Na tę drogę zdecydowałem się nie tyle w ramach porannej gimnastyki, ale nie chciałem, żeby ktoś z ludzi Hansena wiedział zbyt

wiele o mych związkach z panną Aldridge. Sądzę, że wieczorem, kiedy podążałem na spotkanie, udało mi się zmylić ich czujność.

Z agentem szczurkiem spotkałem się wpół do dziewiątej rano. Miał minę człowieka cierpiącego na niestrawność. Za godzinę senator o kryptonimie „Kukułka” miał wylądować na lotnisku O’Hare.

— Gdzie pan się podziewał przez całą noc, Dingo? Dlaczego uciekał pan moim ludziom?

— Z zawodowego nawyku, Hansen, dla treningu. A pan z jakiego powodu zamierzał mnie budzić po nocy?

— Sytuacja się skomplikowała. Dostaliśmy meldunek ze Szwajcarii od jednego z naszych najlepszych agentów.

— Gratuluję.

— Dzisiejszej nocy (w Europie było to popołudnie), jakaś kobieta złożyła zlecenie na pewien depozyt, który — jak podejrzewamy — należał do Orki. Pieniądze zabójcy przelano na inne, zakonspirowane konto na Kajmanach. Usiłujemy teraz ustalić jakie.

— Co z tą kobietą?

— Jakaś niemieckojęzyczna staruszka, mamy jej rysopis. Ale nasz człowiek dowiedział się o wizycie w banku z godzinnym opóźnieniem. Po staruszce na Bahnhofstrasse nie został nawet ślad.

Gwizdnałem przez zęby.

— Jak to interpretujecie?

Hansen podrapał się w głowę.

— Może Orka zorientowała się, że coś zagraża jej planom. Może się zabezpiecza.

— W jaki sposób mogłaby się zorientować?

— Badamy to. O naszej akcji, wliczając w to pana, wiedzą tylko cztery osoby. Trudno założyć jakiś przeciek.

— Mówi pan nielogicznie, Hansen. Jeśli byłby przeciek, to Orka, znając sytuację, zaniechałaby akcji i z pewnością skontaktowałaby się z wami.

— Sam pan podziela nasze opinie o schizoidalnej osobowości zabójcy, Dingo. W swoich myślach już zabił „Kukułkę”. Jest jak drapieżnik na tropie. Poczul zapach krwi i zapewne za nic nie zrezygnuje z zabawy.

Milczałem. Argumenty Hansena były nie do odparcia. Agent uśmiechnął się

— I jeszcze jedno, mister Sowley. Czy wie pan, że jest śledzony?

— Tak, wiem. Przez czterech pańskich nieudaczników. Zauważyłem ich bez trudu. Nie są to chyba najlepsi pracownicy waszej sekcji.

— Nie mówię o naszych praktykantach. Interesuje się panem ktoś jeszcze, wewnątrz hotelu.

— Zaciekawia mnie pan. Widziano tego kogoś?

— Nie. Ale na godzinę przed wspomnianymi manipulacjami bankowymi w Zurychu, ktoś z aparatu telefonicznego na pierwszym piętrze pańskiego hotelu połączył się ze Szwajcarią. To był zawodowiec, nie zostawił odcisków palców i mówił falsetem tak zniekształconym, że nasi fachowcy nie są w stanie nawet ustalić jego płci.

— I co powiedział?

— „Zebrać plony. Owoc spada. Bardzo ciężka orka”. Zacisnąłem usta. Rzeczywiście, sprawa wyglądała coraz ciekawiej.

Tymczasem Hansen usiłował dowiedzieć się czegoś o moich planach. Czy będę na lotnisku? Na cmentarzu, na korso? Nie miałem zamiaru ułatwiać mu zadania. Żywiłem nadzieję, że intuicja i tym razem mnie nie zawiedzie.

* * *

Udało mi się zaparkować wóz w pobliżu Muzeum Historii Naturalnej. Do przyjazdu senatora została mi ponad godzina. Jednym uchem nasłuchiwałem radiowej transmisji. Przerzucałem też materiały dostarczone przez Hansena. Listy pasażerów przybyłych przedwczoraj na O’Hare. Z moim własnym. Uśmiechnąłem się. Zresztą obok znalazłem Marthę Aldridge. Zamieszkała w Waszyngtonie. Chyba pomyłka? Moja Martha przedstawiła się jako Angielka, zamieszkała we francuskim Lyonie...

Dawno już nie przystępowałem do roboty z równą niechęcią. Niestety nie miałem wyboru. A jeśli nawet miałem, to nie był on zbyt ciekawy. Przechodząc na teren wystawy rozłożonej po dwóch stronach Solidarity Avenue, między pomnikami Kościuszki a Kopernika, przeszedłem przez pobieżną kontrolę osobistą. Wykrywacz metali ani pisnął. A niby dlaczego miał pisnąć. To, co było mi potrzebne, znajdowało się od pewnego czasu wewnątrz zamkniętej strefy, w donicy pięknej astromerii, przy której klęknąłem, zawiązując sznurowadło. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tłum gęstniał wzdłuż alei, na której miał pojawić się kandydat.

Marthę dostrzegłem w grupie aktorów i prezydentów telewizyjnych. Trudno było ją przeoczyć. Nad większością z nich górowała o pół głowy. Wiatr unosił jej włosy jak u

Botticellowskiej Wenus, wynurzającej się z kąpeli. Idąc równolegle do promenady, zapleczem kwietnych ekspozycji, zmierzałem w jej kierunku. Zainteresował się mną jakiś ochroniarz, ale machnąłem tylko plakietką otrzymaną od Hansena i zrezygnował. Dobięgly mnie brawa.

Senator wysiadł już z kuloodpornej limuzyny. Dostrzegłem go w prześwicie tłumu. Mimo sześćdziesiątki na karku trzymał się wyjątkowo młodzieńczo. Zapewne to, co mówiono o jego romansach, było zaledwie częścią prawdy. Szpakowaty, zdecydowany, przypominał nieco Carringtona z „Dynastii”. No, może w nieco lepszym wydaniu. Uosabiał amerykański mit o silnym człowieku sukcesu.

Dzieliło nas jeszcze kilkanaście metrów. Parokrotnie napotkałem argusowe oczka otaczających go goryli. Znajdowałem się prawie tuż za Marthą. Tłum bił brawo i skandował. Martha stała na palcach, krzyczała jak inni i wymachiwała torebką. Musiałem to zrobić.

Poczuła ukłucie. Odwróciła głowę. W jednej sekundzie dostrzegłem i zdziwienie, i sympatię, i ból, i przerażenie.

— Graham...?

Cofnąłem się o krok. Dobłą chwilę napierający tłum nie pozwolił jej upaść. Kiedy osunęła się na ziemię, padając twarzą w trawnik, byłem już w bezpiecznej odległości.

Usłyszałem czyjś okrzyk. Potem wrzawę. Po dobrej minucie nadjechała karetka. Nie śpiesząc się przekroczyłem kordon. Do centrum poszedłem pieszo. Kolejny wóz miałem zaparkowany w podziemnym parkingu trzy przecznice dalej. Wszystko toczyło się według planu. Zanim stwierdzą zgon Aldridge, zanim w szpitalu zorientują się, że nie było to zwyczajne zasłabnięcie w ścisku... nim wypatrzą ślad po ukłuciu...

— Doskonale się spisałeś, Dingo! Tylko włos dzielił nas od nieszczęścia — skomentował operację Hansen. Tuż przed twoim uderzeniem kamera uchwyciła zamach torebką. Wiesz co w niej było? Porcja plastiku ukryta w denku wystarczyła, żeby wysłać do nieba „Kukułkę” wraz z całą obstawą. Do kroćset, jak na to wpadłeś, chłopie?

Ściszyłem głos:

— Niech to zostanie moją tajemnicą. Zadanie wykonane, bilans korzystny — tylko dwóch fachowców od zabijania mniej. Orka w piekle, a ja na emeryturze...

— Nadal trwa pan w zamiarze wycofania się?

— Już się wycofałem. Hansen uśmiechnął się krzywo:

— A swoją drogą, ciekawa osóbką ta Aldridge. Jej amerykański paszport okazał się fałszywy. Ludziom przedstawiała się jako projektantka mody renomowanej firmy Martha Aldridge–Duvalier z Lyonu...

— Pod takim właśnie nazwiskiem poznałem ją w samolocie.

— Sęk w tym, że panna, a właściwie wdowa Aldridge–Duvalier jest korpulentną czterdziestolatką i w ciągu ostatniego tygodnia nie opuszczała Lyonu... Chyba naprawdę nigdy nie dowiemy się, kim była Orka.

Dojeżdżaliśmy już do lotniska O'Hare. Miałem wykupiony lot do Meksyku. A tam z nowymi dokumentami i furą pieniędzy mogłem zacząć naprawdę nowe życie. Szkoda, że bez Marthy. Kobiety naprawdę nie mają wyobraźni. Przecież można było wszystko załatwić inaczej.

— Ech, Martho! Gdybyś zechciała być moją na zawsze, gdybym oczyma wyobraźni nie widział cię już w ramionach następnego mężczyzny...

Każdy mógłby zginąć jako Orka. Najwyżej kosztowałoby mnie to trochę więcej zachodu. Że też wygrana musi mieć zawsze domieszkę gorzkości.

A wygrałem dużo. Skończyłem z coraz bardziej nużącym i niebezpiecznym fachem, mogłem rzucić oba moje zawodowe wcielenia, zarówno pocziwego Dingo, jak i moją drugą, gorszą wersję — Orkę. Pozbyłem się obu. Sprytnie, prawda? FBI zapewni mi ochronę. Echa dawnej działalności nie będą mi dokuczać. A rentier nie musi mieć żadnej etyki zawodowej ani dwóch. Ciekawe, co byś na ten temat powiedział, Hansen?

P.S. agenta federalnego Jima Hansena.

Jeszcze raz odwiedziłem Sowleya w hotelu, przywiozłem mu dokumenty drugiej a może trzydziestej tożsamości. Nie chciał, abym odwoził go na lotnisko. Zresztą zamówił już taksówkę. Jednak postanowiłem zaczekać, aż odjedzie. Na wszelki wypadek. Ze swego punktu obserwacyjnego widziałem, jak siedział w hotelowym barku i skrobał coś w notesie. A potem zobaczyłem recepcjonistę, który zbliżył się do Sowleya. Dialog (później go odtworzyłem na podstawie zeznań) brzmiał następująco:

— Mister Sowley, mam list od panny Marthy Aldridge, zostawiła go rano, ale prosiła, żebym wręczył go panu dopiero przed odjazdem.

— Od Marthy? — Sowley wyciągnął rękę. Naraz zapomniał o zawodowych nawykach, o czujności, i o tym, że nie uprzedzał Aldridge o zamiarze odjazdu. Zareagował jak zakochany facet, który otrzymał przesyłkę zza grobu. Może liczył, że jest tam propozycja wspólnego spędzenia wieczności.

I była. List był dość gruby, ale nawet ten fakt nie obudził jego czujności.

Kiedy Sowley rozerwał papier, nastąpiła detonacja. Żył jeszcze, kiedy do niego dobiegłem. W bełkocie słów powtarzało się imię Marthy i pytanie. Kim ona była, kim ona była?

Czyżby w przedśmiertnym szoku zapomniał, że była osławioną Orką. W każdym razie jej prawdziwych personaliów nie udało się wyjaśnić nigdy.

JEDNA Z LEPIEJ PRZEPROWADZONYCH AKCJI

ŚRODA 1.28

Raul Martinez spał. Spał ciężkim, pijackim snem człowieka, który chleje piąty dzień z rzędu. Cały jego organizm przesiąknięty był alkoholem na wskroś, a krew stanowiła jedynie rzadki roztwór hemoglobiny w etanolu. Snów nie miał. Koszmary nachodziły go później, zazwyczaj nad ranem. Podrywał się wówczas, daremnie szukając pod poduszką spluwy, którą zabrano mu, wywalając go z policji. Bo wywalono go wreszcie. Przed pięcioma dniami. Jego — asa Szkoły Policijnej. Jego — nadzieję Służby Metropolitalnej.

To było zaraz po tym, jak Luca Pini, sławny Luca Pini, sadystyczny zabójca młodych chłopców, powiesił się w karetkce więziennej. Przebywał wtedy pod opieką Martineza. Martinez go rozpracował, wytropił i ujął. Ale kiedy pozostała formalność — konwojowanie, zatrzymał się przy barze na piwo. Jedno piwo! Cóż dałoby zaprzeczenie, że nie ściągnęło go tam żadne piwo tylko awizowany przez radio telefon informatora, który miał rzekomo arcyważną wiadomość dla niego. A po wzięciu słuchawki przez Raula nikt się nie zgłosił. Centrala wyparła się jakiegokolwiek meldunku. Czy ktoś pomógł Piniemu? Niektórym ważniakom bardzo zależało, żeby ten nie zeznawał.

W samochodzie, w którym powiesił się bandyta, przebywał kierowca i sierżant Buddy. Obaj następnego dnia nie żyli — przypadkowe zderzenie ambulansu z ciężarówką. A Martinez został zawieszony.

Z picciem oczywiście kłopoty zaczęły się wcześniej. Może był za wrażliwy do tej roboty? Może nie mógł się pogodzić z ustawiczną fuszerką kolegów — partaczy i z korupcją „góry”. Może chodziło o to, że rzuciła go Joan. A może po prostu się z tym urodził. Bo choć wszyscy rodzą się trzeźwi, to w dużym odsetku umierają pijani.

W każdym razie pogrążony był w głębokiej nirwanie, kiedy ze snu wyrwał go przenikliwy dźwięk dzwonka, a potem tych dwóch weszło do środka i zajęło się Raulem.

1.29

Zgrzytnął mechanizm i elektryczny zawór zwolnił kratę. Legrand uniósł głowę. Jak każdy więzień nie lubił być budzony, nawet jeśli budzącym był sam dyrektor więzienia.

— O co chodzi? — wymamrotał niechętnie.

— Ubieraj się! — rzucił wysoki funkcjonariusz służby penitencjarnej. — Wychodzisz. Urlop. A może..? — w głosie zabrzmiało to trochę za mało jak na gwarancję, za dużo jak na obietnicę.

Pierre Legrand nie wierzył ani w jedno, ani w drugie. Uważał, że został wrobiony. Owszem, docisnął „Turka” trochę za mocno. Ale prokurator domagał się, żeby handlarz mówił. Tylko dlaczego twierdzono, że „Turek” to wyjątkowy twardziel? Drobnny docisk i już trup? Fakt, Legrand należał do ludzi silnych, nawet bardzo silnych. Ale tamten miał być przecież „twardzielem”!

„Nadużycie władzy”, „Sadysta w mundurze!” — rozpisywały się gazety, później wyciągnięto jeszcze parę drobiazgów i zamiast medalu czekał go ultranowoczesny zakład karny. Na całe lata.

W podwórzu dostrzegł prywatny samochód na prowincjonalnej rejestracji. Dyrektor pożegnał go bez podawania ręki. O co tu chodziło, do jasnej cholery?!

1.43

Detektyw hotelowy Mark Ronson wszedł do kasyna głównie po to, żeby przepłukać gardło. Nie brandy! Colą. Ronson należał do funkcjonariuszy niepijących w pracy. Zwłaszcza, gdy nie musiał. Owszem, w dawnych dobrych czasach pociągał z kumplami, później jednak, gdy ktoś wpadł na pomysł, aby z Wydziału Zabójstw przesunąć go do Przystępstw Podatkowych, do reszty stracił ochotę. Przerzucił się na jogurt i tenis. Zawdzięczał temu sportową sylwetkę, tak cenioną przez kobiety, niezależnie od wieku i stanu cywilnego. Śniadą cerę odziedziczył po jakimś rodzinnym mezaliansie. W „Podatkowym”

nudził się przeraźliwie, a gdy poderwał ostatnią podobną do człowieka urzędniczkę z archiwum, podziękował za służbę. Uczynił to tym chętniej, że w duchu solidaryzował się z tymi wszystkimi cwaniaczkami, którzy kantowali, nieraz bardzo pomysłowo, wielkich bezkarnych cwaniaków. Poza tym miał miękkie serce.

Tu w Sheratonie znalazł właściwe miejsce. Dobre towarzystwo, piękne kobiety, sporadyczne mordobicia.

Zastanawiał się, czy Platynowa zajrzy dziś do kasyna? Zauważył ją tam już dwukrotnie. Zachowywała się powściągliwie, grała o niewysokie stawki i nie zauważył, żeby opuszczała lokal z jakimkolwiek mężczyzną. Jej regularną twarz rozświetlała wewnętrzna inteligencja, oczy zaś, zawsze rozszerzone jak po atropinie, nasuwały myśl o jakiejś towarzyszącej jej tajemnicy.

Oczywiście! Była i dziś. Siedziała przy barze, rozmawiając z osobnikiem znanym z ksywy „Lee–Szprycer”. Ronson domyślał się, że Lee jest „dostawcą”, ale szef hotelu kazał stosować wobec „Szprycera” taryfę ulgową. Mark nie pytał dlaczego. Nieznajoma rozmawiała z Lee, wykazując duże ożywienie. Czyżby klientka? Ronson zamierzał przysunąć się bliżej, ale wszystko popsuł sierżant Mike z Jedenastki, który wtargnął ze swymi ludźmi, wzywając zebranych do podniesienia rąk do góry. Powstało niemałe zamieszanie, zwłaszcza, że lubujący się w filmowych efektach Mike przewrócił stół, zastawiony butelkami jak kręgielnia. Lee–Szprycer niechętnie uniósł ręce.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Mike zamiast pewności siebie wykazał więcej spostrzegawczości. Absolutnie przegapił faceta, który stał ukryty za wieszakiem i miał czas złożyć się z automatu. Na szczęście Ronson strzelił, zanim tamten pociągnął cyngiel. Seria z „kałasza” poszła w podłogę, a goryl Szprycera runął razem z wieszakiem, obficie bluzgając krwią. Jego szef zamierzał przesadzić bar, ale nagle zmienił zamiar. Wbijając lufę pistoletu w szyję swojej rozmówczynie, wrzasnął:

— Spokój, jeśli nie chcecie, bym uszkodził tę lalunię! Ronson nie czekał, zanim tępawy umysł Mike’a wykoncypuje coś nieodpowiedzialnego. Wysunął się z cienia i rzucając na podłogę broń, zawołał do policjanta:

— Zrób to samo, Mike!

Jest coś takiego, że podwładni mają respekt dla swych byłych szefów. Mike upuścił lugera, który spadł na podłogę gdzieś w okolicach stopy Ronsona. Ten kopnął spluwę z wprawą wyniesioną z czasów, kiedy jako chłopak udzielał się w „Granatowych Koszulach”. Broń z impetem trafiła dostawcę w łydkę. Moment rozproszenia i nieuwagi wystarczył, aby Mark strzelił mu między oczy z maleńkiego damskiego pistoleciku zwanego „małą piątką”,

tak skutecznie, że Szprycer w mgnieniu oka zamienił się w to, czym zawsze był, czyli (wybaczcie, panie) kupą łajna.

Wszystko nastąpiło tak szybko, że dwaj pomagierzy Mike'a nie zdążyli nawet pomyśleć, a nieznajoma platynowa piękność na dobre się przestraszyć.

Mike wybełkotał chmurne „dziękuję”, bo w końcu Ronson był teraz dla niego jedynie współpracującym cywilem, i zajął się przeszukiwaniem lokalu. Konsumenci poczęli wyłazić spod mebli, a niedoszła ofiara, odrobinę pobladła, poprosiła o koniak.

— Właściwie dwa! Drugi dla pana inspektora.

Ronson sprostował, że nie jest już żadnym inspektorem i prawdopodobnie nigdy nie będzie. A jeśli idzie o koniak, nie pije.

— Mam jednak nadzieję, że nie odmówi pan kobiecie?

— Kobiecie nigdy nie odmawiam, nawet, jeśli zawiera czasami niezbyt odpowiedzialne znajomości.

Popatrzyła na niego kpiąco.

— Poznaliśmy się dopiero dzisiaj. Jestem dziennikarką i piszę reportaż o marginesie społecznym.

— Ryzykowne zajęcie, teraz będzie pani musiała opowiedzieć o tym wszystkim naszemu kochanemu Mike'owi.

— Proszę mówić do mnie Irene — odparła, ignorując zbliżającego się funkcjonariusza.

— Mark — powiedział, ściskając jej drobną, lecz zaskakująco silną dłoń. — Muszę niestety zostawić panią na chwilę sam na sam ze stróżem prawa. On uzyska informacje, pani — materiał do reportażu. Korzyść będzie obopólna.

— Kandydatów do moich wywiadów wybieram sama. — Jej źrenice zwężyły się. — Ostatnio szukam kogoś, kto pasowałby do reportażu pod tytułem „Byłem gliną”.

Kiedy tak stała nonszalancka, lekceważąca wobec martwego ciała u swych stóp i krwi, która ochlapała jej żakiet, Mark zrozumiał, że powinien uciekać. Podobała mu się. Za bardzo. A kiedy jakaś babka podobała mu się za bardzo, w mózgu zaprzysięgłego kawalera i wytrawnego podrywacza zapalało się ostrzegawcze światełko — niebezpieczeństwo!

Mike chrząknął, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Irene nie spuszczała wzroku z Ronsona.

— Co z moim wywiadem, Mark? Będę czekała jutro o dziewiątej w „Czarnym Kocie”. Oczywiście możesz nie przychodzić. Podobno — tu po raz pierwszy zaszczyciła uwagę trupa Szprycera — przynoszę nieszczęście.

— Nieszczęścia to moja specjalność — odpowiedział Mark, parafrazując Marlowe'a i już chciał wyjść, kiedy zobaczył na progu — jeszcze jednego policjanta, który uśmiechając się, kiwał do niego zachęcająco.

2.20

Doktor Loser był szczupłym, nerwowym krótkowidzem. Wielkie wypukłe szkła nadawały jego twarzy wygląd lemura. Dodajmy do tego wyschnięte wargi i długie żylaste ręce, aby dopełnić całości obrazu. Komisarz nie cierpiał takich typów, tym bardziej, że reprezentowały same szczyty Władz Bezpieczeństwa. Loser jeszcze raz przyglądał się wybranym ze sterty fotografiom, ułożonym przez komisarza na skraju biurka.

— Martinez, Legrand, Ronson, piękna wieloetniczna mozaika — powiedział i wykonując piruet, skierował swój wskazujący paluszek prosto w brzuch komisarza. Dlaczego właściwie pan ich wybrał?

— Skoro domagacie się najlepszych i w dodatku niezwiązanych z aktualnym aparatem, to lepszych nie widzę.

— Zastanawiałem się nad kimś z prowincji — zaczął Loser.

— Do akcji w metropolii? — Komisarz z trudem pohamował się, aby nie rzec doktorowi, co myśli o jego legendarnej inteligencji. — Prowincjusze odpadają. Zgubiliby się, a poza tym wioskowa rutyna potrafi ogłupić nawet geniusza, a my mamy za mało czasu, aby uczyć ich od zera.

— Racja — przyznał sucho Loser. — Chciałbym jednak wiedzieć o nich trochę więcej.

Komisarz podał mu trzy gęsto zapisane fiszki. Delegat ministerstwa wziął je niechętnie.

— Z faktami zapoznam się później. Chcę wiedzieć, jacy to ludzie. Alkoholik, sadysta, erotoman?

— To jedna strona medalu. Martinez, gdy nie pije, działa jak komputer — nieszablonowe rozwiązania, trafne koncepcje, wytrwałość...

— A Legrand?

— Przez lata zajmował się rozpracowywaniem gangów. Ma psi węch! Czasem siódmy zmysł.

— A Ronson, też geniusz?

— Nie, natomiast jest z nich najsprawniejszy w akcji. Inteligentny, o rozległych kontaktach w rozmaitych środowiskach. Czasem tylko zbyt niezależny w sądach. No i nie cierpi regulaminu.

Doktor Loser przerwał tę wypowiedź skinieniem ręki, podszedł do okna i lekko uchylił firankę. Latarnia słabo oświetlała podjazd otoczony zdziczałym parkingiem. Wystarczająco jednak, aby dojrzeć trzy nadjeżdżające samochody. Zajechały prawie równocześnie.

— Już są — rzekł do Komisarza.

2.30

Jeżeli nawet którykolwiek z byłych policjantów zdumiał się, spotykając na podjeździe swoich dawnych kolegów, żaden nie pokazał po sobie ani radości, ani zdziwienia. W milczeniu uścisnęli sobie ręce. Komisarz pełnił honory pana domu z pewnym zakłopotaniem, czuło się, że zapuszczona rezydencja nie podlega w pełni jego władzy.

— Chłopcy — powiedział. — Jest sprawa, którą moglibyście się zająć. Doktor Loser reprezentujący... hm... władze naszego państwa, zapozna was bliżej ze szczegółami. Muszę jedynie zapytać, czy podejmiecie się ciekawej, trudnej, choć chyba niezbyt ryzykownej roboty?

Pytanie zawisło w powietrzu. Martinez siedział apatycznie w miejscu, które mu wskazano. Legrand oglądał własne paznokcie. Ronson doszedł do wniosku, że jeżeli on nie zabierze głosu, to nikt inny tego nie zrobi.

— Czy to znaczy... Czy mamy wrócić do czynnej służby?

— Nie — odparł szybko komisarz. — To jedynie prywatne zlecenie dla państwowej instytucji, ale jestem upoważniony do obiecania wam — zerknął spod oka na Losera — że powodzenie akcji może oznaczać dla wszystkich radykalną zmianę ich sytuacji.

— Rozumiem, że nie wrócę już do pierdła — zapytał Legrand.

Loser tylko się uśmiechnął.

— Cieszy mnie oferta dla Pierre'a — powiedział Ronson.

— Zrehabilitujecie pewnie Martineza. Ale powiedzcie, jaki sens ma dla mnie pakowanie się w ten interes?

— Pieniądze — odezwał się spokojnie Loser. — Poza tym jesteś podobno wielkim poszukiwaczem przygód, a my chcemy ci zafundować wspaniałą przygodę...

— Jeszcze jedno — niespodziewanie ożywił się Martinez, najwyraźniej kawa i zastrzyki z glukozy zaczęły działać. — Dlaczego my? Dlaczego nie ktoś z oddziałów specjalnych lub ze stałych komórek?

Komisarz poszukał wzrokiem wsparcia u Losera.

— Sprawa jest dość złożona — odparł bardzo wolno doktor.

— Z jednej strony nasze działanie nie ma podstaw prawnych, bo jak dotąd nie zostało popełnione, przynajmniej w świetle naszego liberalnego prawodawstwa, żadne przestępstwo. Po drugie, ujawnienie afery grozi wybuchem paniki na nieprawdopodobną skalę. Po trzecie zaś — zawahał się na moment — nasze państwo znajduje się w trudnym momencie, opozycja wciska się wszędzie, sytuacja międzynarodowa się zaostrza... Niedawno zdemaskowaliśmy kilku agentów przeciwnika w samym ministerstwie. Nie możemy wykluczyć, że chodzi o poważną polityczną prowokację...

— Ale w czym rzecz? — przerwał mu Ronson.

Loser otworzył swoją teczkę. Na pierwszy rzut oka wyciągnięte przezeń zdjęcia nie różniły od katastroficznych fotosów, jakich dziesiątki co dzień pojawiały się na łamach prasy. Odbitki formatu pocztówkowego zostały wykonane na średniej jakości papierze. Gdyby nie osobliwa tematyka, zapewne nie zasługiwałyby na większą uwagę. Rumowisko gruzów, w którym nawet londyńczykowi trudno byłoby rozpoznać fasadę Opactwa Westminsterskiego, przewrócona jak dziecinna zabawka wieża Eiffla, przerażające stosy zwłok na schodach hiszpańskich w Rzymie.

— Dwa tygodnie temu te zdjęcia zostały rozrzucone na jednej ze stacji metra — poinformował Loser.

— Znakomite fotomontaże — mruknął Legrand.

— Nasza komórka po zbadaniu faktury, oświetlenia i tym podobnych wykluczyła możliwość fotomontażu. Nie jest to również hiperrealistyczne malarstwo. Pod zdjęciami znajdował się komputerowo wkopiowany napis „Koniec świata 5 grudnia 20...”.

— Za półtora roku — mruknął Legrand.

— Na zdjęciu londyńskim śnieg oraz kąt padania promieni słonecznych wskazuje, że jest to rzeczywiście fotografia z początków grudnia — poinformował Loser.

— A może są to kadry z jakiegoś filmu? — zapytał Ronson.

— Zbadaliśmy wszystko, co znajduje się na warsztatach światowych wytwórni — powiedział Loser. — Zresztą, zwróćcie uwagę na ten drobiazg. Widzicie nasz zniszczony terminal lotniczy. Zdjęcie B... A obok, to owalne, to resztkę piętrowego parkingu.

— Takiego parkingu tam nie ma — ożywił się Legrand.

— Ale za półtora roku będzie. Wczoraj właśnie, po burzliwej dyskusji rozstrzygnięto konkurs architektoniczny, a prace mają ruszyć za parę miesięcy. Ktokolwiek rozrzucił te fotografie przed dwoma tygodniami, nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia.

We wchodzącej z kawą dziewczynie Ronson rozpoznał Marię. Zaskoczeni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pani sierżant była swego czasu kandydatką do pierwszorzędnego romansu. Szczupła, inteligentna, bardziej przypominała doktorantkę historii sztuki lub innego snobistycznego wydziału niż glinę–samickę. Maria należała do bardzo niewielu niezrealizowanych wypadków miłosnych w życiu Marka. Pech! Ledwo zdążyli się poznać, wypadła mu akcja na Południu, a kiedy wrócił z długiej podróży służbowej i jeszcze dłuższego leczenia po brzydkim postrzale, okazało się, że zdmuchnął mu ją ktoś z policyjnej „góry”. Dopiero później wy badał, że to sam komisarz. Maria krótko pracowała w centrali, potem zniknęła. Ronsonowi wydawało się, że w ogóle rzuciła pracę w policji. Czyżby pozostawała utrzymanką komisarza, a może łącznikiem między nim a Loserem?

W oczach dziewczyny, poza zaskoczeniem, nie dostrzegł jednak dawnego porozumiewawczego błysku. A kiedy podał jej rękę, którą uściśniła jak mężczyzna, zrozumiał, że nie mowy o dawnym porozumieniu. Mieli pozostać dwojgiem obcych sobie ludzi. Szkoda. W porównaniu z drobnym, choć żyłastym jak stary indor inspektorem, komisarz przypominał zwalistego, powolnego w ruchach niedźwiedzia. W kręgach maszynistek, programistek i tajniczek miał opinię streszczającą się do eufemizmu: „Walec drogowy”. Widocznie Maria wolała „walce”.

Tymczasem Legrand i Martinez przeglądali materiał przygotowany przez Losera. Ekspertyzy zdjęć, dokumentację sporządzoną na miejscu ich rozrzużenia. Do tej pory incydenty zdarzyły się czterokrotnie. Zawsze w punktach sporego natężenia ruchu, zawsze w sposób uniemożliwiający wykrycie sprawców. Na szczęście większość przypadkowych przechodniów brała te wydarzenia za chwyt reklamowy i do wybuchu paniki nie doszło.

Loser przedstawił dotychczasowe hipotezy dotyczące celów, mogących przyświecać nieznanym sprawcom. Jego ludzie roboczo rozpatrywali trzy: wariant Herostratesa — maniaka lub grupy maniaków szukających za wszelką cenę popularności; możliwość działania którejś z frakcji ekologów pragnących poruszyć „sumienie świata”, ewentualność prowokacji politycznej jakichś ekstremistów, których celem byłoby, jak zwykle, wzbudzenie społecznego niepokoju. Doktor nie stawiał kropek nad „i”, ale odczuwało się, że ostatni wariant jest mu najbliższy. Ronson uśmiechnął się — znał takich ludzi. Loser też na swój sposób był ekstremistą — tyle że prawa i porządku.

— Który z odłamów ekstremistów pan podejrzewa? Czarnych, czerwonych, zielonych czy żółtych — zapytał Mark.

— Nie mamy żadnych dowodów, żadnych powiązań, nawet żadnych podejrzeń. I to dziwi. Większość znanych nam ugrupowań jest inwigilowana i spenetrowana, mamy licznych informatorów za granicą... Ale stamtąd też nic. Albo perfekcyjnie się konspirują, albo to całkiem nowa inicjatywa.

Nagle do rozmowy włączył się Martinez. Zupełnie oprzytomniał. Tylko na jego nabrzmiałej, bladej twarzy perlily się grube krople potu.

— Jakie są opinie ekspertów o ewentualnych przyczynach sfotografowanych katastrof? — zapytał całkiem logicznie. — Nie jestem specjalistą militarnym, jednak nie wygląda mi to na wybuch bomby atomowej czy efekt konwencjonalnego bombardowania.

— Taak — głos Losera stracił na moment zwykłą apodyktyczność. — Badaliśmy rzecz i pod tym kątem. Niestety, nie da się jasno określić powodów. Nie znamy energii zdolnej wyrwać z korzeniami wieżę Eiffla, nie uszkadzając jej konstrukcji. Ruina Westminsteru sugeruje, że nagle przestało funkcjonować budowlane spoiwo. A tu, proszę, powiększenie twarzy martwych ludzi, różne ujęcia. Co widzicie?

— Grymas bólu, lęku...? — zaryzykował swą opinię Legrand.

— Moi lekarze nie mieli wątpliwości. Nie znajdując żadnych obrażeń zewnętrznych, za przyczynę zgonu tych nieszczęśników uznali paniczny, bezgraniczny strach.

Zapadła cisza. Maria nalewała następną porcję kawy.

— Jedno pytanie, panie doktorze — odezwał się Ronson. — Z pańskich słów wynika, że jakaś ekipa zajmowała się już tą sprawą. Czemu jej nie kontynuuje?

— Tak, miałem roboczy zespół śledczy, szóstkę znakomitych fachowców: dwóch lekarzy, fizyka, dwóch specjalistów od spraw terroryzmu... Miałem... Przedwczoraj, jadąc do mnie, nie zmieścili się na łuku drogi przy Czarnym Urwisku. Drogówka, która pierwsza znalazła się na miejscu, znalazła na asfalcie dużą kałużę oleju... Wszyscy zginęli. Nie mam żadnych dowodów, pozwalających podważyć wersję miejscowej policji, że był to nieszczęśliwy wypadek. Chociaż prywatnie...

11.25

Pierwsze zebranie zespołu ustalono na wpół do dwunastej. Do tego czasu mieli się wyspać, odpocząć, zapoznać z materiałami i przedstawić własne koncepcje. W dziennym świetle willa przeznaczona na kwaterę akcji „Foto” straciła wiele ze swojej tajemniczości. Wyglądała dokładnie na to, czym była — starą rudera. To, co w nocy mogło uchodzić za park, teraz okazało się niewielkim rachitycznym ogrodem.

Martinez zabrał się już do roboty. Siedział obok Marii i analizował sprawozdanie z incydentu w magazynie Howarda. Przed trzema dniami na antresoli budynku eksplodował mały detonator, rozrzucając fotosy na nieomal cały parter domu towarowego. Z zabezpieczonych resztek wynikało, że detonator znajdował się w plastikowej siateczce, pozostawionej za jednym z filarów. Zarówno siatka, jak i jej właściciel nie wzbudziły i nie mogły wzbudzić niczyjego zainteresowania aż do momentu eksplozji.

Na biurku Marii znajdowały się trzy telefony: miejski oraz dwa bezpośrednie — do komisarza i Losera. Na razie wszystkie trzy aparaty milczały.

Ronson poprowadził zebranie. Nie krył trudności przedsięwzięcia. Musieli ruszać z martwego punktu. Zebrane dotąd materiały nie dawały najmniejszych wskazówek do dalszych poszukiwań. Oczywiście trzej byli policjanci zdawali sobie sprawę, że jeśli „fotograficzni żartownisie” byli ludźmi, nie duchami czy kosmitami, nie mogli też działać w próżni. Musieli mieć współpracowników, pieniądze, urządzenia techniczne.

Przy podziale zadań Legrand wziął na siebie tropienie sprzętu — analiza zdjęć, ich format, a także oryginalny sposób wmontowania napisów, sugerowała pewien rodzaj automatycznej koparki produkowanej przez ekskluzywną firmę w Zurychu.

Martinez, wspólnie z Marią, chcieli zająć się podobnymi precedensami w przeszłości, tak od strony technicznej, jak i ideologicznej. Niejedna z grupek czy sekt miała w swym programie apokaliptyczne memento. Ronson liczył na swoją siatkę informatorów. Wydawało się niemożliwe, aby coś działo się w mieście bez wiedzy tych, którzy stanowili jego podziemną infrastrukturę.

15.42

Monotonnie jazgotała karuzela. Jej właściciel chudy, wyblakły Tim, unikając wzroku Ronsona, w zamyśleniu skubał swoją rzadką brodę.

— Ja się nie bawię w politykę, szefie — mruczał półgłosem.

— A skąd wiesz, że chodzi o politykę? Jacyś kawalarze rozrzucają fotomontaże i tyle...

— Nic o tym nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Wyłącz mnie z tego szefie.

Twarz Marka nabrzmiała krwią.

— Przecholowałeś, Tim! — wrzasnął, chwytając go za kłapy i ciskając o drewniane przepierzenie. — Już zapomniałeś o aferze z lolitkami? Za dziecięce porno można trafić do pudła na piętnaście lat.

— Ale ja naprawdę nie wiem — zaskowyczał Tim.

— To się dowiedz. Pytaj o nielegalne studia fotograficzne, specjalistów od małej pirotechniki... Miałeś też kiedyś dobre rozeznanie w kręgach Zielonych.

— A co będzie z Teddym? — zapytał nagle kapuś. — Nie chcę, żeby kiblował jeszcze pięć lat.

— Jestem teraz tylko detektywem hotelowym — wyjaśnił Ronson. — Wyciągnięcie twojego kumpla z pierdła przekracza moje... — urwał, widząc szyderczy uśmiech Tima. Zmienił ton. — No dobrze. Zdobądź te informacje, a ja zobaczę, co da się zrobić z twoim Teddym. Zdaje się, że jesteś do niego bardzo przywiązany.

Oczy Tima przybrały wyraz rozmarzenia, ale nie powiedział nic więcej.

15.50

Na suchym kacu Raul bywał nieznośny, upierdliwy, ale miewał również przebłycki genialności. Dziś, z zapamiętałością mrówki, przedzierał się przez kilometry danych, tysiące informacji, które Maria po wstępnej analizie przerzucała na jego komputer.

— Gdybym miał rzeczywiste, kompletne akta wszystkich mieszkańców naszej metropolii i zastosował do nich klucz eliminacyjny, po godzinie mielibyśmy całkiem wyraźną grupkę podejrzanych — westchnął w pewnej chwili.

— Loser pewnie ma taką kartotekę — podsunęła Maria.

— Mówię o prawdziwych danych obywateli, którzy nigdy dotąd nie weszli w konflikt z prawem — odburknął Martinez. — Aha... Czy nie zwróciłaś uwagi, że ciągle poza naszą analizą pozostaje cel owych akcji? Pytamy, kto to robi i jak, a nie zastanawiamy się dlaczego?

— Są trzy hipotezy doktora.

— Wiem, ale na zdrowy chłopski rozum, kiedy ktokolwiek występuje z przestrożą, zwykle towarzyszy jej informacja, jak zapobiec grożącemu nieszczęściu. Tak postępują ekolodzy, prorocy i wróżbiarze... Szantażyści dorzucają jeszcze cenę zaniechania. A tu nic. To zupełnie nie ma sensu.

— Chyba że jest to zagrożenie, którego nie można uniknąć — powiedziała Maria.

22.00

Ciężki dzień miał się ku końcowi. Mark Ronson po kolei odwiedził piętnastkę swoich czołowych informatorów. Wynik był zniechęcający.

Czy ludzie nabrali wody w usta? Czy naprawdę nic nie wiedzieli? Nie mógł się zorientować. Jak zakłęty milczał bukinista Arnold, zawsze służący szeroką informacją o nielegalnych operacjach pieniężnych. Nie miał nic do powiedzenia czarnoskóry Willy, u którego pół podziemia zaopatrywało się w lewe dokumenty i Claretta, przez którą można było złapać kontakt z mordercami do wynajęcia, a nawet Max, kontrolujący sex-shopy. Zawiódł dystyngowany Rene, bon vivant obracający się w kręgach starej arystokracji, a także wieloletni konfident ze środowiska hippisów, a później punków — Zielony Joe, który prowadził nadrzeczną dyskotekę.

Wszyscy byli zdziwieni powrotem Ronsona do służby. A gdy tłumaczył, że zajmuje się prywatnym zleceniem, deklarowali werbalnie swoją współpracę, tyle, że nie potrafili nic powiedzieć. Owszem, niektórzy słyszeli o katastroficznych zdjęciach, ale wszyscy je zlekceważyli.

Wreszcie wieczorem spotkał się z Luizą — słynną ongiś call-girl; przez jej buduar przewinał się niejeden z szybko zmieniających się gabinetów rządowych. Dziś Luiza, osobiście cokolwiek zużyta, prowadziła dyskretny pensjonacik w stylu późnego rokoka, gdzie obsługę klienta zapewniała młodzież rodem z Trzeciego Świata i Europy Wschodniej. Nadal jednak dysponowała świetnymi informacjami i znakomitą kawą z firmową amaretto na czele. A jej ciało ciągle potrafiło doskonale relaksować. Zresztą, Ronson nie był zbyt wymagający. Zwłaszcza w godzinach pracy.

— Zestarzałam się — westchnęła, gdy skończyli. — Czasu nie można oszukać, rozstępy, skóra już nie ta, co kiedyś. Czasem wydaje mi się, drogi inspektorze, że dokonujesz wobec mnie jedynie aktu łaski.

Mark zaprzeczył. Powiedział Luizie parę komplementów i przeszedł do sprawy fotografii. Zaskoczyła.

— A wiesz, parę dni temu, jeden mój klient, taki mały ze sztuczną szczęką i grubymi okularami, też próbował mnie o to wypytywać. Biedaczyna...

Opis Luizy pasował do Losera, ale Mark dyskretnie nie pytał, czy przymiotnik biedaczyna dotyczył niepowodzeń doktora w pracy, czy w przyjemnościach.

— I co mu powiedziałaś?

— Nic. Moim zdaniem to jakiś kawał albo początek akcji reklamowej. Zaciekawić, a potem z czymś wyskoczyć...

Czas w towarzystwie bajzelmamy szybko płynął, i dopiero na kwadrans przed dziesiątą Mark przypomniał sobie, że od czterdziestu minut jest umówiony w „Czarnym Kocie” z

młodą, poznaną poprzedniej nocy, dziennikarką. Zasłużył sobie na odrobinę prywatnego życia.

Przy restauracji miał jak zwykle trudności z zaparkowaniem, toteż w sali znalazł się z wybiciem dziesiątej. Ani śladu platynowej blondynki. Szef lokalu zapytany o dziewczynę wzruszył ramionami. „Nie było takiej”. Zrezygnowany Ronson wrócił do wozu, ale w chwili, gdy usiłował trafić kluczykami do stacyjki, poczuł delikatne trącenie w ramię.

— Należy się mandat za złe parkowanie — powiedziała Irene.

23.59

Garsoniera Ronsona mierzyła dokładnie trzydzieści cztery i pół metra kwadratowego, co w normalnej sytuacji wystarczało. Ściany gęsto pokrywały regały z książkami, a złożenie stolika umożliwiała opuszczenie łóżka. Nie licząc wyposażenia mikroskopijnej kuchni i łazienki, innych sprzętów nie było.

Mark, lekko zakłopotany, zaproponował drinka. Irene przystała z ochotą. Akcja rozwijała się szybko. Bardzo szybko! Kiedy po godzinie spędzonej w „Czarnym Kocie” zaproponował zmianę lokalu, dziennikarka zaaprobowała pomysł, a gdy mimochodem wtrącił, że mogliby na chwilę wpaść do niego, nie spotkał się ze sprzeciwem. Przymrużone oczy Irene stały się tylko trochę bardziej kpiące. Teraz stała na środku mieszkania i mieszała lód w otrzymanym drinku.

— Czy zawsze w ten sposób przeprowadzasz wywiady z inspektorami policji? — zapytał Ronson.

— Tylko wtedy, kiedy mi się cholernie podobają.

— Zadziwiasz mnie.

— Taka już jestem. Wariatka, prawda? — ostatnie słowa wypowiedziała gardłowo, odrzucając przy tym platynowe włosy. Jej twarz oblał delikatny rumieniec. Mark podsunął krzesło i sięgnął po album z wycinkami swoich ciekawych spraw. Odwróciła go delikatnie.

— Sprawy służbowe załatwimy później — powiedziała zdecydowanie.

— A teraz?

— Będziemy się kochać — powiedziała i pocałowała go drapieżnie.

Nie zastosował żadnej samoobrony. Potem chciał ją przygarnąć, ale cofnęła się o krok.

— Spokojnie, Mark. Dzisiaj ja dowodzę akcją. Najpierw chciałabym się wykapać.

Otworzył drzwi do łazienki, zastanawiając się, co bardziej; go oszałamia — alkohol czy Irene.

— Nie lubię tracić czasu — wyjaśniła, robiąc przeproszącą minkę. — Nigdy nie wiadomo, ile go mamy. Zresztą, prędzej czy później i tak by do tego doszło. Poza tym lubię zdobywać. Powiedz, będziesz się bronił?

— Nie będę.

CZWARTEK 3.17

Raul Martinez nie mógł zasnąć. Mimo kilkunastu godzin spędzonych nad materiałami nie odczuwał potrzeby snu. Popatrzył na Marię zwiniętą w kłębek na dwóch zsuniętych fotelach. Na milczące telefony. Potem zgasił światło i podszedł do okna. Było uchylone, a wiatr delikatnie wydymał firankę. Wyjrzał. Ogród pozostawał wilgotny i ciemny. Wtem Raul drgnął. Mógłby przysiąc, że za rozległym platanem na moment błysnęło maleńkie światelko, coś jak ogarek papierosa. Może Loser albo komisarz wbrew zapewnieniom przysłali im jakąś ochronę? A może...

Były inspektor nie tracił czasu. Wrócił do pokoju i włączył monitor komputera. Dla kogoś podglądającego z zewnątrz mogło to wyglądać na kontynuowanie pracy. Topografię budynku rozpracował już poprzedniego dnia. Szybko przemierzył korytarz i znalazł się przy wąskim oknie toalety z drugiej strony willi. Uchylił je, a następnie wykorzystując załamanie muru i rynny, pokonał dystans między pierwszym piętrem a parterem. Potem odbezpieczył broń. Butów pozbył się wcześniej. Bezszelestnie, szerokim łukiem okrążył dom i w cieniu muru oddzielającego go od ulicy, dotarł do rozłożystego pląta. Oczywiście, po ewentualnym gościu ani śladu. Nigdzie nie drgnęła ani gałązka, nie zaskrzypiał żwir. Raul przyklęknął, szukając śladu tytoniu lub niedopałka. Zaświecił latarkę. Stanowił teraz znakomity cel, ale nie dbał o to. Anioł lub diabeł stróż musiał się już ulotnić. Coś błysnęło. Uniósł się z kolan, czując odrazę. W rozwidleniu konarów dostrzegł szkliste oko martwego gołębia, który zaklinował się w dość nieprawdopodobnej pozycji. Martwy gołąb? Jakiś symbol? Przestroga?

Martinez poderwał się i w paru susach dopadł bramy. Zamknięta. Podobnie furka. Zamknięte były również obydwa wejścia do willi. Także okiennice parteru. Raul wyciągnął klucz i wrócił do wnętrza.

Chciał wyjść niepostrzeżenie. Nie docenił Irene. Śniade ciało obróciło się na łóżku. Może zresztą nie spała od kwadransa, od chwili, kiedy służbowy instynkt asa policji obudził go, nakazał umyć się, ogolić i ubrać. Dziewczyna przeciągnęła się rozkosznie. Jakże żałował, że nie jest na urlopie.

— Wyśpij się do woli — rzucił. — Drzwi mają zatrzask. Wyjdiesz, kiedy tylko zechcesz. W lodówce jest dużo napojów i coś do przegryzienia... Możesz zresztą nie wychodzić.

W odpowiedzi posłała mu uśmiech.

— Jesteś cudowna.

Drugi uśmiech.

— Zadzwonisz do mnie?

Skinienie głową.

Cholera! Jak mu się w tej chwili podobała! Wrócił i chciał ją objąć. W końcu pięć minut wcześniej czy później... Cofnęła się.

— Nie mogę odciągać cię od odpowiedzialnego tropienia złoczyńców, Mark — powiedziała. Ale gdy cofnął się, poderwała się na równe nogi i naga wtuliła w niego gorącym pocałunkiem.

Na schodach otworzył teczkę i wyjął przezroczysty skoroszyt z materiałami akcji „Foto”. Jeszcze wieczorem, kiedy Irene brała prysznic, z zawodowego nawyku wsunął między kartki włos. Teraz sprawdził. Włos był na swoim miejscu. W ciągu nocy nikt nie interesował się zawartością jego teczki. Co za ulga!

9.22

Z Zurychu zatelefonował Legrand. Nie miał wiele do powiedzenia. Dotarł wprawdzie do firmy produkującej kopiarki i zdołał dowiedzieć się to i owo o nabywcach interesującego go sprzętu. Szczególnie jedna z transakcji przedstawiała się tajemniczo. Przed trzema miesiącami dwa zestawy maszyn nabył niejaki Ernst Weismüller dla wydawnictwa „Pluton” z Düsseldorfu. Rzecz znamienita — płacił gotówką. Co ciekawsze, okazało się, że ani w Düsseldorfie, ani w całych Niemczech nie istniała oficyna o takiej nazwie. Sprzęt odbierano osobiście, furgonetką na francuskiej rejestracji. W magazynie jednak nie zapamiętano rysopisu odbiorców. Zresztą upłynęły już trzy miesiące od tej transakcji.

Pierre miał powrotny lot za godzinę i obiecywał po południu stawić się w centrali. Tymczasem wkrótce zjawił się Loser, a pięć minut po nim Martinez, który o świcie zabrał wóz i zmieniony na posterunku przez Ronsona, wyjechał na miasto. Doktor przywitał go z nieukrywaną wściekłością:

— Martinez, do jasnej cholery, dlaczego mnie pan śledzi? I to tak nieudolnie, że natychmiast to zauważyłem?

Raul uśmiechnął się przepaszająco.

— Ja nie śledziłem, a jedynie sprawdzałem...

— Co pan sprawdzał?

— Sprawdzałem, czy pan nie jest śledzony.

— Bzdura! I jaki wynik?

— Dziś, poza mną nikt za panem nie jechał.

14.19

Grad syjących się kartoników na moment przysłonił niebo ponad ruchliwym deptakiem. Mogło się wydawać, że to spłoszone ptactwo poderwało się po huk detonacji. Jednak tylko na chwilę zapanował wśród przechodniów niepokój. Zaciekawieni ludzie podnosili zdjęcia, komentowali katastroficzne obrazki, ktoś rzucił coś na temat planów reżyserskich Spielberga. Tim pogratulował sobie szczęścia. Czy to przypadek? Dopiero wczoraj tłumaczył Ronsonowi, że nie ma pojęcia, jak dowiedzieć się czegoś o fotograficznych incydentach. Teraz sam był świadkiem. Umysł cwaniaczka pracował nad wyraz szybko. Nie zbierał fotografii, nie wdawał się w rozmowy jak inni. Czujnym wzrokiem omiótł najbliższą okolicę. Jednego był pewien, gdzieś w pobliżu musiał znajdować się ktoś z Tamtych. Ktoś sprawdzający efekt detonacji. Tylko kto? Staruszka? Policjant? Drzemiący punk z fioletowym czubem, pomylenie, który przerwał popisy chodzenia na rękach, widząc, że grupka ciekawskich odwróciła się od niego? A może ta grająca cały czas na rogu orkiestra „Głos pokuty”?

Lata pracy w wesołym miasteczku wyrobiły w Timie ogromną spostrzegawczość. Kiedyś mistrz strzelecki, do dziś zachował sokoli wzrok. Dlatego też zobaczył to, czego pewnie nie powinien. Twarz z lornetką przy oczach na jedenastym piętrze hotelu „Palace”. Narozne okno. Błękitne firanki. Lornetka skierowała się w jego stronę. Odwrócił głowę. Może za prędko.

Skręcił w bramę, po chwili był już przy wejściu do podziemnych garaży. Czuł na całym ciele gęsią skórę. Ale jeśli to mogło przynieść wolność Teddy’emu...?

Podsumowanie dotychczasowych prac nie wypadło dobrze. Nie posunęli się ani o krok natomiast niewidzialny przeciwnik rozzuchwalał się coraz bardziej. Wieczorne rozrzucenie w foyer Opery widoczków z jej zagładą nie wywarło najlepszego wrażenia na publiczności. A dziś ten pasaż! Mocodawcom Losera z największym trudem udawało się utrzymać na uwięzi media. Ze Szwajcarii wrócił Legrand, ale nie miał żadnych interesujących wiadomości. Ronson wspomniął tylko o zarzuceniu wędek, bez gwarancji, że coś na nie złowi. Martinez sugerował dyskretny wywiad wśród zawodowych fotografów, a zwłaszcza tych, którzy wycofali się z zawodu. Analogicznie radził postępować w przypadku pirotechników, chociaż katapulty mógł domowym sposobem spreparować praktycznie każdy. Zakończył konkluzją pod adresem Losera.

— Jest nas za mało! Wybierając metody ekstensywne potrzebujemy wsparcia setek, jeśli nie tysięcy agentów.

— To nie wchodzi w grę — uciął doktor. — Musi wystarczyć wam pełen dostęp do wszelkich istniejących materiałów, a w konkretnych wypadkach możecie żądać rozpracowania jakiegoś problemu przez dowolne komórki policji, oczywiście bez zdradzania, o co chodzi.

— Moim zdaniem — zabrał głos Legrand — mamy do czynienia z wyjątkowej klasy specjalistami — sześciokrotne akcje bez wpadki, pełna precyzja wykonania. Takich ludzi nie ma na pęczki i nie wyskakują jak diabeł z pudełka. Raul z Marią badają przeszłość, być może tam znajduje się klucz do sprawy. Poza tym powinniśmy spróbować działać z wyprzedzeniem.

— Co pan przez to rozumie?

— Nie pojawiać się w miejscu detonacji po fakcie, lecz zacząć przewidywać kolejne miejsca, w których nasz przeciwnik zechce zainstalować swoje katapulty.

— Ależ, kolego — zaproponował milczący dotąd komisarz — to oznaczałoby przetrząsanie dzień i noc wszystkich dworców, kin, supermarketów.

— Możemy działać wyrywkowo. Na węch!

— Tego wam nikt nie zabrania.

— Właściwie — filozofował Martinez — najlepiej byłoby odwołać się do pomocy społeczeństwa, uczulić obywateli...

— Nie, nie! — doktor Loser nerwowo zamachał rękami. — Przecież — o to chodzi „fotografom”. O panikę, o anarchię! Poza tym, cóż takiego moglibyśmy powiedzieć społeczeństwu? „I wy przygotujcie się do końca świata!”

Po dłuższej chwili milczenia, odezwała się Maria:

— Ciągłe nie mówimy o meritum. O zdjęciach! Czy wiemy już, jak zostały wykonane?

— Nie — odparł komisarz.

— Zatem musimy przyjąć wersję roboczą, że są to jednak fotografie przyszłości. Wiem, że to czysta fantastyka, ale czy nie warto byłoby zająć się tym tematem. Spróbować wyjaśnić...

— Najprostszym wyjaśnieniem będzie złapanie sprawców — rzekł komisarz.

— Mimo wszystko zamówiłam materiały dotyczące literatury s.f. — Maria nie dawała się zbić z tropu. — Robota będzie żmudna, ale chciałabym sprawdzić, czy ktoś nie wymyślił czegoś na ten temat.

Loser skrzywił się brzydko. A potem zwięźle poinformował o ustaleniach kontrwywiadu, który wykluczał zagraniczne korzenie akcji. Służby sekretne ościennych państw zauważyły sprawę i też wychodziły ze skóry, żeby czegokolwiek się o niej dowiedzieć.

— A ty co tak milczysz, Mark? — na zakończenie narady Komisarz spojrzął na Ronsona.

— Milczę, bo jeszcze nic nie wiem.

— Ale czuję, że czegoś się spodziewasz?

— Może. Miałem sygnał od jednego z informatorów, przypadkowo przebywał podczas detonacji w pasażu. Prawdopodobnie widział jednego ze sprawców...

— Co takiego? — wszyscy poderwali się na równe nogi.

— Chyba zauważył coś niezwykle istotnego, ale szczegółów dowiem się dopiero podczas spotkania w cztery oczy. Jesteśmy umówieni przed siódmą...

17.35

Na ten telefon Ronson czekał cały dzień. Jego serce parokrotnie przeżywało skurcz nadziei. Kwadrans wcześniej zatelefonował nawet do Sheratona, interesując się, czy nikt o niego nie pytał.

— Ależ oczywiście — odparła panienska z centrali. — Było sześć telefonów, wszystkie od tej samej miłej pani, która jednak nie podała swego nazwiska.

— Jeśli zadzwoni po raz siódmy, proszę przekazać jej ten numer — tu podyktował — ale tylko jej.

Zrozumiała i po piętnastu minutach rozmawiał z Irene.

— To ja — zabrzmiało niepewnie z drugiej strony. — Jeszcze mnie pamiętasz?

— Ja? Zupełnie zapomniałem. Aha, przypominam sobie, to ty nosisz takie rude angiezy? — zażartował.

— Tak, i habit mniszki — zrewanżowała mu się.

— Już się wyspałaś, siostrze?

— Tak, i krążę po mieście od sześciu godzin. Mam niestety dla ciebie przykrą informację.

— Jeśli musisz, mów!

— Nie będziemy mogli dziś kontynuować naszego „wywiadu”.

— Długopis ci się wypisał?

— Gorzej! Dziś w Ratuszu odbywa się wielki Bal Prasy. Największy w roku spęd marnych dziennikarzy. Nie może mnie tam zabraknąć. Ale gdybyś i ty zechciał wpaść?

— Wiesz, że z jednym wyjątkiem, nie cierpią żurnalistów. Ale... może kiedy to się skończy, zatelefonujesz do mnie?

— Nie licz na to. Zabawa potrwa do rana. Ale jak chcesz, zatelefonuję, Sherlocku!

— Dziękuję, Watsonie z platyny.

Odłożył słuchawkę. Przez moment w skupieniu wpatrywał się w blat biurka. Potem wstał i zajrzał do Legranda.

— Mówiłeś coś o wyprzedzeniu przeciwnika, o intuicji.

— No!

— Dowiedziałem się o wprost wymarzonej miejscy na splatanie nam kolejnego figla.

Opowiedział o Balu Prasy, nie wspominając rzecz jasna o swojej informatorce. Pierre przyznał mu rację. Nie było lepszego forum dla apokaliptycznej autoreklamy niż spęd mediów.

— Możemy pójść tam razem — zaproponował. — Wpadniemy tam wcześniej, rozejrzemy się...

— W tym sęk, że teraz nie mogę. Za trzy kwadransy spotykam się z bardzo ważnym informatorem. Weź Raula. Jak tylko skończę, natychmiast zjawię się w Ratuszu.

W drodze do wesołego miasteczka Ronson zajął jeszcze na moment do Arnolda. Bukinista wprowadził go na zaplecze antykwariatu, a następnie ściszym głosem poinformował o pewnej transakcji. Przed miesiącem w Brukseli, ktoś spoza kręgu znanych organizacji, nabył dużo broni. Istniały podejrzenia, że później przeszmyglowano ją tu, do metropolii.

— Dam znać, jak dowiem się więcej.

Tim czekał na niego w swojej budzie. Wydawał się niesłychanie podniecony. Jego delikatne, niemal kobiece ręce drżały. Z niedomkniętej szufladki nowego stolika wystawała kolba sporego gnata.

— Załatwisz zwolnienie Teddy'ego? — zabrzmiało błagalnie.

— Zrobię, co będę mógł — odpowiedział Mark. — Co tak pusto u ciebie?

— Remontują dziś karuzelę, technicy rozbabrali mechanizm i poszli. Dopiero jutro mają skończyć.

— No, ale do rzeczy! Mów, co widziałeś.

Krótkimi szarpanymi zdaniami informator wyszeptywał swoje spostrzeżenia. Opowiedział o wydarzeniu w pasażu i o tym, jak za suty napiwek boy (śliczny chłopak o migdałowych oczach) zobowiązał się wszystkiego dowiedzieć. Rzeczywiście, wrócił po chwili z informacjami. Narożny pokój nie był tego dnia wynajęty, ale... przez wewnętrzne drzwi miał połączenie z sąsiednim apartamentem, a ten został zapłacony przez...

Przerwało mu stukanie do drzwi.

— Pan Ronson proszony do telefonu, jest pilny telefon od pana Losera — powiedziała, zaglądając do środka śliczna, uczesana na pazia blondyneczka z kasy przy bramie.

— Pójdiesz ze mną — rzucił Mark do Tima. Pobiegli. By dojść do kasy należało jedynie wyminąć nieczynną karuzelę i niewielki pawilon strachów. Po paru krokach Tim został lekko w tyle.

— Cholera — usłyszał nagle jego klątwę Ronson — Mało, że nie kończą, to nie zamykają nawet za sobą drzwi. — Zaraz pana dogonię!

Mark przyspieszył kroku. Dobiegł do kasy i chwycił słuchawkę. Już w tym momencie miał dziwne przeczucie kłopotów. Przecież nikt z kolegów nie wiedział, dokąd się wybiera. Jego konfidenti nie figurowali na żadnej liście, a kontakty z Timem...

— Słucham, Ronson!

W odpowiedzi usłyszał jedynie jednostajny szum. Pułapka! Krzyknął głośno. „Tim, Tim!” i zawrócił. Nim jednak minął „Tunel Grozy”, dobiegła go muzyczka, wesoła muzyczka nie zmieniająca się od stulecia. Nieczynna karuzela ruszyła.

Dobiegł na miejsce. Wagoniki już nabierały pędu, błyskały lampki, natomiast w obnażonym, pozbawionym osłon mechanizmie dostrzegł miazgę ludzkiego mięsa, które parę sekund wcześniej było Timem. Ktoś sterroryzował informatora i wepchnął go pod koło zamachowe. Morderca nie mógł zdążyć się oddalić, istniała więc jeszcze szansa... Na nieszczęście za Ronsonem nadbiegła paziowłosa blondyneczka. Jej krzyk zagłuszył wszystkie inne efekty wesołego miasteczka. W parę sekund karuzelę otoczył zwarty tłum. Nadbiegający zatarasowali drogi we wszystkich kierunkach. Mark wiedział, jak wyglądać będzie oficjalny raport. „Nieszczęśliwy wypadek wskutek niezachowania dostatecznej ostrożności w obchodzeniu się z niesprawnym mechanizmem”.

19.02

Na godzinę przed początkiem balu plac przed Ratuszem świecił pustkami. Legrand zostawił w wozie Raya (swego starego pomagiera, którego dziś za zgodą komisarza włączył do akcji), a sam zadzwonił do stylowych drzwi ze złocistymi okuciami. Trochę żałował, że nie ma z nim Martinezę, ale Raul po kilkudziesięciu godzinach nieprzerwanej pracy i z powodu alkoholowego głodu przeżywał kryzys i nie nadawał się do akcji.

Portier przywitał go niechętnie i wpuścił dopiero po obejrzeniu odznaki. W całym gmachu dopiero kończono sprzątanie, a w głównej sali naprawiano usterki nagłośnienia.

— Jakie usterki? — zainteresował się Pierre.

— Nie wiem, ale przysłali dwóch mechaników, majstrują coś na górze.

Legrand przypomniał sobie żółtą furgonetkę zaparkowaną w bocznej uliczce, którą zauważył, wysiadając przed Ratuszem. Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić po Raya, ale obawiał się straty czasu. Poprosił portiera, aby sprowadził czekającego w wozie funkcjonariusza, a sam podbiegł do telefonu. Wykręcił dwie cyfry i znieruchomiał. Na schodach pojawił się barczysty mężczyzna w błękitnej bluzie monterów. Szedł spokojnie ze skrzynką pełną narzędzi. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Legrand dostrzegł jakby minimalne zawahanie, ale mechanik schodził dalej. Pierre odłożył telefon, szybko dobył pistoletu i jednym susem stanął przed schodzącym.

— Pańskie dokumenty i żadnych gwałtownych ruchów! — doskonale pamiętając, że na górze znajduje się wspólnik, na wszelki wypadek ustawił się tak, aby błękitnobluzy stanowił naturalną tarczę.

— Zaszło jakieś nieporozumienie... Jestem zwyczajnym instalatorem — tłumaczył mężczyzna.

— A katapulta już gotowa?

— Jaka katapulta?

Za plecami Legranda skrzypnęły drzwi, obejrzał się. To wystarczyło — instalator skoczył w bok. Z góry zagrała seria z automatu. Oberwali wszyscy trzej — Legrand, monter i portier. Ten z góry, chudy facet o płomiennie rudej czuprynie, nie dbał o strzelecką finezję, a raczej o opróżnienie magazynku. Nim Ray uporał się z drzwiami, które zatarasowało ciało rannego portiera, snajper przerwał ogień i zniknął.

Policjant pochylił się nad kolegą. Twarz Legranda pokrywała śmiertelna bladość.

— Nie pozwól... mu uciec... żółta furgonetka... zapisz numer!

Legrandowi nic nie mogło pomóc, a rzut oka na rannego przestępcę upewnił Raya, że ten nie ucieknie, pobiegł więc za strzelającym bandytą po schodach. Poniewczasie pojął, iż popełnił błąd. Gdyby wypadł na zewnątrz gmachu, prawdopodobnie dostałby mordercę w swoje ręce.

Tak stracił tylko czas. Strzelec przez okno pierwszego piętra wyskoczył na dach samochodu dostawczego. Gdy ścigający go funkcjonariusz dopadł do framugi, mógł zobaczyć jedynie tył startującej z piskiem opon furgonetki.

22.05

Na kolejnej naradzie panowała przygnębiająca atmosfera. Śmierć Legranda kładła się mrocznym cieniem na całej akcji „Foto”. Maria miała zaczerwienione oczy. Niespokojny był również komisarz, którego czekało długie tłumaczenie, w jaki sposób więzień Stołecznego Zakładu Penitencjarnego znalazł się w Ratuszu ze służbową bronią w ręku. Jeden Loser nadal emanował wigorem.

— Mamy wreszcie punkt zaczepienia, panowie! — perorował. — To już nie jest kolejny, nieszczęśliwy wypadek, zabito policjanta. Możemy rozwinąć naszą akcję. Od tej chwili cały aparat państwa będzie ścigał nie jakichś tam „fotografów”, ale morderców funkcjonariusza. Oczywiście bez szerszego wprowadzenia w istotę sprawy. Optymizm doktora co do postępów śledztwa nie znajdował pokrycia w faktach. Zraniony przez kumpla instalator zmarł w drodze do szpitala. Żółtą furgonetkę znaleziono po dwóch godzinach porzuconą nad rzeką opodal stacji metra. Jej kierowca oczywiście zniknął. Rysopis zabójcy niczego nie dawał — rude włosy i długa broda stanowiły niewątpliwą charakterystykę. Podobnie postrzelony — miał doklejone wąsiki i nosił ciemną perukę. Z informacji otrzymanej w firmie przewozowej wynikało, że furgonetkę wczesnym rankiem wynajął niejaki Green. Jego rysopis pasował do

ucharakteryzowanego truposza. Tyle, że adres podany przez wynajmującego okazał się fałszywy. Furgonetka musiała zostać przemalowana przed akcją, natomiast zapis licznika wskazywał, że od chwili wynajęcia przejechała dokładnie sto pięćdziesiąt dwa kilometry. Przy rannym bandycie nie znaleziono żadnych dokumentów. Jedynie stary bilet z metra, na którym zanotowano jakiś numer telefonu.

— Sprawdziliście ten numer? — zainteresował się komisarz.

— Tak. Należy do aparatu w małym bistro w Zachodniej Dzielnicy — powiedział Martinez. — Jeszcze dziś złożymy tam wizytę.

— Tylko bądźcie ostrożni — radził komisarz.

Ronson miał na końcu języka jeszcze jedno ostrzeżenie. Od chwili śmierci Tima nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że w ich małym gronie znajduje się ktoś trzymający z przeciwnikiem. Ktoś, kto śledził Ronsona, kiedy jechał do wesołego miasteczka. Następnie po upewnieniu się, kto jest informatorem, odciągnął Marka i załatwił Tima. Ronson znalazł miejsce, skąd mogli być obserwowani, budkę telefoniczną po drugiej stronie karuzeli. Jednego był pewien — o ważnej informacji, na którą liczył, wiedzieli tylko: Maria, Loser, Komisarz Legrand i Martinez. Z tym, że Legrand już nie żył.

23.35

W drodze do Zachodniej Dzielnicy Ronson zastanawiał się czy wtajemniczyć Martineza w swoje podejrzenia. Znał go nie od dzisiaj. I jeszcze wczoraj zaufałyby bez wahań. Dziś miał wątpliwości i zadawał sobie pytanie, czy alkoholik z zachwianą siłą woli nie mógłby być podatny na przekupstwo...?

W małym bistro indagowany kelner rozpoznał Greena na fotografii.

— Tak, Luis wpadał tu co jakiś czas — zeznał. — Siedział tam, w kącie. Specjalnie z nikim nie gadał, tylko czekał. Zwykle o siedemnastej był do niego telefon. Nie mam pojęcia od kogo.

— Może zanotowany numer na bilecie był przeznaczony dla kogoś, kto nie zdążył go odebrać? — pomyślał Mark.

— Bliższych informacji o nim może udzielić Kitty, druga barmanka... — ciągnął kelner. — Ale ona wpadnie dopiero jutro koło południa. Chyba trochę kręcili ze sobą. Zresztą — dodał konfidencjonalnie — każdy od czasu do czasu kręcił z Kitty.

PIĄTEK PO PÓLNOCY

Tym razem dyżur objął na ochotnika Ronson. Maria i Raul Martinez wyczerpani grzebaniem w archiwaliach zasnęli w sąsiednich pokojach. A Mark czekał. Wiedział, że Irene zna numer. Wierzył, że zatelefonuje. Nie dzwoniła. Im bliżej świtu, czuł się coraz marniej. Jeszcze raz wykręcił numer do Sheratona. Od czasu strzelaniny Irene nie pojawiła się ani w kasynie, ani dyskoteci. Nikt z obsługi nie wiedział o niej nic konkretnego. Do Sheratona zaczęła wpadać przed tygodniem. Z nikim nie zawarła bliższej znajomości.

Głupia sprawa. Jak miał ją odszukać? Nazwiska ani nawet jej macierzystej redakcji nie znał. A może po prostu Irene nie życzyła sobie dalszych kontaktów?

12.00

Koło południa Ronson wziął Raya, którego po śmierci Legranda komisarz na stałe przydzielił do operacji i ruszył na poszukiwanie Kitty. Ledwo wyszli, do willi wpadła Maria, która cały ranek spędziła w bibliotece i na rozmowie z przyjaciółką, krytykiem powieści s.f.

— Mam coś — zawołała od progu do Martineza. — Coś, co przypomina figle naszych fotografów. Powieść „Luneta w Przyszłość”.

— Dawaj! Masz egzemplarz?

— Zaraz, zaraz. Sprawa jest skomplikowana i tajemnicza. Wyobraź sobie, że nikt nie posiada tej książki. Jedyny maszynopis, jego autor występujący pod pseudonimem Rodix, wycofał z wydawnictwa. Na szczęście pozostała wewnętrzna recenzja, a w niej jakby streszczenie. Dla nas istotna jest sama idea. Bohater-wynalazca twierdzi, że możliwe jest przyspieszenie wiązki światła tak, aby na ziemi osiągnęła jakiś obiekt w przyszłości i odbijając się, wróciła z jego wizerunkiem do teraźniejszości.

— Einstein przewróciłby się w grobie.

— Recenzent wydawniczy też krytykował zbytnią fantastyczność dzieła. I chyba właśnie z tego powodu autor się obraził. Mimo wszystko uważam, że należy spróbować i odszukać pana Rodixa i jego maszynopis.

12.59

Dzwoni telefon. Odbiera Maria.

— Cześć! — poznaje głos Ronsona. — Tu Mark. Jestem w mieszkaniu tego Greena. Ta barmanka rzeczywiście знаła go bliżej, chociaż nie wtajemniczał jej w żadne sprawy

zawodowe. Normalnie spotykali się w hotelu, ale raz była u niego w domu. Mieszkanie wygląda, jakby spustoszył je tajfun. Nasi wrogowie wpadli tu przede mną. Na szczęście nie znaleźli skrytki.

— Moje gratulacje!

— W środku znalazłem paszport, pistolet i paczkę tych katastroficznych zdjęć, po jednym z każdego obiektu. Pewnie na pamiątkę. Nasz ptaszek nazywał się w istocie Patryk O'Connor.

— Rozumiem, że mam poszukać jego dossier?

— Jesteś genialnie domyślna. Kończę przeszukiwanie i wracam. Aha, jeszcze jedno pytanie. Nie było do mnie telefonu?

— Nie.

— Bo widzisz... gdyby dzwoniła dziewczyna o imieniu Irene, dowiedz się pod jakim numerem będę mógł ją złapać.

PO POŁUDNIU

Życiorys O'Connora mógłby spokojnie posłużyć za kanwę kilku opowieści. Czterdziestolatek, w młodości sympatyk Irlandzkiej Armii Republikańskiej, w wieku dwudziestu paru lat wyemigrował do USA. Później walczył w oddziałach najemników w Afryce. Wrócił przed trzema laty jako ludzki wrak — alkoholik, narkoman. Można powiedzieć — człowiek skończony. Jednak rok temu poddał się leczeniu. Po wyjściu z zakładu dla uzależnionych podjął pracę w przedsiębiorstwie spedycyjnym jako kierowca. Przed trzema miesiącami rzucił tę pracę i przepadł jak kamień w wodę. Rozwiedziony, jedno dziecko. Z rodziną nie utrzymywał kontaktów.

Dostarczone dane ożywiły grupkę. Maria wzięła na siebie wizytę u byłej pani O'Connor; Ronson postanowił dowiedzieć się coś o kontaktach Patryka w czasie, kiedy walczył jako najemnik; Martinez obiecał wpaść do Kliniki Antynarkotycznej. Najbardziej intrygowało go, kto, jeśli nie rodzina, płacił za leczenie ćpuna w tak droгим ośrodku?

Zanim rozdzielono zadania, cała trójka pochyliła się nad planem miasta, na którym zaznaczono obszar, po którym mogła poruszać się wynajęta furgonetka. Znalaziono ją na jedenastym kilometrze od Ratusza — było to zaledwie o dziewięć kilometrów od hali stacji wynajmu. W pozostałych stu trzydziestu kilometrach musiał mieścić się dystans przebiegu tam i z powrotem, do miejsca, w którym najprawdopodobniej została przemalowana. Ronson wzięł dwa cyrkle. Najpierw zatoczył koło o promieniu sześćdziesięciu pięciu kilometrów,

potem drugie mniejsze koło o promieniu pięćdziesięciu pięciu. Otrzymano w ten sposób pas szerokości dziesięciu kilometrów opasujący metropolię, w którym musiała mieścić się melina — olbrzymi obszar, nawet po odrzuceniu parków, ogrodów i zbiorników wodnych.

SOBOTA 11.00

Na kolejnej naradzie, dokonano aktualizacji nowych informacji. Nie było ich zbyt wiele. Śledztwo Marii nie przyniosło żadnych rewelacji — pani O'Connor zerwała wszystkie kontakty ze swoim byłym mężem dziesięć lat temu. Wyszła ponownie za mąż za maklera giełdowego i zrezygnowała nawet z alimentów. Wszystko wskazywało, że mówi prawdę.

Ronson również nie miał się czym się pochwalić. Owszem, dotarł nawet do jednego z afrykańskich kolegów O'Connora, obecnie pracującego jako instruktor strzelecki w kółku sportowym, ten jednak wystawił Irlandczykowi opinię nietowarzyskiego mruka, lubiącego wyłącznie walkę, a później wódkę i prochy. Jedynym podobno, który w oddziale trzymał z nim bliżej, był niejaki Martin Sorel.

— Sorel? — Martinez nie wytrzymał i wpadł w słowo Markowi. — Słuchajcie, to zaczyna się wiązać! Według moich informacji Sorel był jednym z pacjentów w klinice, gdzie leczył się O'Connor. I za obu płaciła ta sama firma.

— Kto? — zapytali równocześnie komisarz i Loser.

— Koszty zostały uregulowane gotówką przez kobietę występującą jako przedstawicielka Towarzystwa Zwalczania Narkomanii u Byłych Żołnierzy. Sprawdziłem — towarzystwo jest fikcyjne. Natomiast dopiero jutro uzyskam rysopis tamtej kobiety. Sekretarka, która załatwiała z nią tę sprawę, ma dziś wolny dzień. Natomiast rysopis Sorela pasuje z grubsza do tego oprycha w rudej peruce, który zastrzelił Legranda!

Ronson z pewną zazdrością patrzył na Raula. Martinez szybko wracał do formy. Już lekko schudł, z twarzy zaczęło schodzić alkoholowe obrzmienie, oczy lśniły.

— To jeszcze nie koniec — kontynuował. — Odszukałem matkę tego Sorela. Mieszkał u niej przed leczeniem. Stara, zniszczona życiem pijaczka. Twierdzi, że po kuracji jej syn w ogóle nie wrócił do domu. Napisał tylko kartkę, że czuje się świetnie i ma nową robotę. Rzeczywiście, regularnie co miesiąc przysyłał staruszce szmal. Mamy przekazy.

— Zapytał pan, kto finansował leczenie? — wtrącił Loser.

— Mówiła, że koledzy, ale nie znała żadnego z nich. Jeden raz, tuż przed leczeniem, widziała O'Connora. Nie znała jego nazwiska, ale rozpoznała go na mojej fotografii...

— To coś jest — komisarz pokiwał głową.

— Ronson natomiast zainteresował się przekazami. Wszystkie zostały wysłane z rejonu Żółtych Wzgórz — mrucał. Ciekawe, to przedmieście jest ulokowane dokładnie pięćdziesiąt kilometrów od centrum.

Po krótkiej dyskusji stanęło na tym, że Ronson weźmie Raya i pojedzie rozejrzeć się w tamtej okolicy, popytać ludzi. W terenie przeważała parterowa zabudowa: szeregowce, wille, słowem okolica, w którym sąsiedzi zwykle się znają, łatwo zauważa się obcych lub automatycznie rejestruje wydarzenia wyłamujące się z codziennej rutyny. Wychodząc, Mark zamienił jeszcze parę słów z Marią. Nie miała dla niego pocieszających informacji. Od wczoraj nikt o niego nie pytał. Natomiast swoimi kanałami udało się policjantce sprawdzić, że kobieta o podanym rysopisie i imieniu Irene nie pracuje w żadnym z ważniejszych pism. Nie było jej też na liście gości zaproszonych na Bal Prasy.

— Może „Irene” to tylko pseudonim? Będę jeszcze szukać — zapewniała, szczerze zmartwiona żalem malującym się na twarzy Ronsona.

14.10

Przyjaciółka Marii — Ewa, nie zawiodła. Zatelefonowała natychmiast po zdobyciu potrzebnych informacji. Rodix został rozszyfrowany jako Rene Odiz. Tak, ten laureat prestiżowych nagród Akademii, wymieniany jako kandydat do Nobla. Autor snobistycznych antypowieści, który raz w życiu zabawił się w fantastykę. Któż nie znał Odiza? Jego samobójstwo przed pół rokiem wywołało wstrząs w literackim światku. Szokująca była zwłaszcza metoda rozstania się z życiem. Pod pociąg nie wskakiwało się od czasów Anny Kareniny. W obecnej epoce, stanowczo zakrawało to na zły gust.

— A co z maszynopisem? — dopytywała się policjantka.

— Przepadł. Podobnie zresztą jak pamiętniki... W ogóle, końcówka życia Odiza przedstawia się dość tajemniczo. Ostatnie tygodnie przed śmiercią spędził w swojej samotni na Korsyce. Podobno przez pewien czas towarzyszyła mu tam jakaś kobieta. Nikt nie zna jej nazwiska. Podobno była piękna. Zniknęła na parę dni przed śmiercią pisarza. Wkrótce potem sam poleciał z Ajaccio do Marsylii i tam w pobliżu małego podmiejskiego dworca rzucił się pod przejeżdżający ekspres... Niektóre gazety podawały rysopis tej kobiety — wysoka, szczupła, dystygowana, o platynowych włosach, na imię miała Irene...

Słuchawka zadrżała w ręku Marii. Przeprosiła fantastyczkę i natychmiast zawołała Raula. Towarzyszka Odiza zbyt zaskakująco przypominała niedawną fascynację Ronsona!

— Trzeba go będzie zawiadomić — zgodził się Martinez. Ale nim dosięgnął słuchawki, znów zadzwonił telefon. Zdyszany, pełen niepokoju głos kobiecy. Dwa wyrzucone zdania:

— Niech Ronson nie jedzie na Żółte Wzgórza. Niech Ronson tam nie jedzie...

— Halo, czy to pani Irene, halo...?

Stuknęła odłożona słuchawka. Martinez poczuł, jak zasycha mu w gardle. Szybko wykręcił numer centrali i poprosił o radiotelefoniczne połączenie z wozem Raya. Chwila oczekiwania przedłużała się w nieskończoność. Wreszcie włączył się sam komisarz:

— Głupia sprawa. Od kwadransa nie możemy złapać z nimi łączności.

KWADRANS WCZEŚNIEJ

Żółte Wzgórza wzięły swoją nazwę od łąnów dojrzewającej pszenicy, które jeszcze kilkanaście lat temu pokrywały łagodne wzniesienia. Obecnie przeważał tam gęsto zabudowany teren willowy. Rzędy równych, bliźniaczo podobnych (mimo drugorzędnych różnic wykończenia) domków, umiarkowanie kręte uliczki i zawieszista cisza wczesnego popołudnia. Ray zatrzymał wóz na placu, przy którym zbiegało się kilka alejek, a Mark zajrzał do wielobranżowego sklepiku.

Czwarty raz próbowali szczęścia. Tym razem sprzedawca okazał się bardzo rozmowny. W ostatni czwartek, żółtawa ciężarówka? Ależ naturalnie. Przypomina ją sobie. Wyjeżdżała z tamtej uliczki, chyba z trzeciej posesji. Trudno było zresztą jej nie zauważyć. Wpadła z takim impetem, a potem zahamowała z piskiem, ba, omal nie doszło do kolizji z jakimś osobowym samochodem.

— Ale wie pan co — dodał. — Zupełnie przegapiłem, kiedy tu przyjechała, a cały czas mam wszystko na oku.

— Może miała wcześniej inny kolor? — podsunął Ronson.

— To możliwe, rano coś podobnego skręcało w tamtym kierunku. Musiała jednak wjechać do garażu, bo żaden samochód nie stał przy chodniku.

— Mówi pan, trzecia posesja?

— Tak, w drugiej mieszkają moi znajomi, a czwarta jest opuszczona, nie ma nawet bramy.

Mark poczuł dreszcz podniecenia. Czyżby trafił?

— Nie orientuje się pan, do kogo należy ta posiadłość? — zapytał.

— Od kilku miesięcy była do wynajęcia i chyba jest nadal, bo wciąż kręcą się tu różni reflektanci.

Ronson i Ray zaparkowali wóz przed sklepikiem. Dalej poszli pieszo. Na płocie ciągle wisiała tablica — „Do sprzedania lub wynajęcia”. Brama była jednak uchylona. Za to we wszystkich frontowych oknach ciemniały opuszczone żaluzje. Ogród robił wrażenie opuszczonego. Gęste żywopłoty odgradzały go od sąsiadów. Na podjeździe pod garażem zauważyli parę zaschniętych kropli żółtej farby. Ronson profilaktycznie odbezpieczył broń. Garaż był zamknięty, drzwi frontowe również i wyraźnie od dawna nikt ich nie otwierał.

— Co o tym wszystkim myślisz? — rzucił półgłosem do Raya.

— Dziwnie to wygląda. Otwieramy ten garaż?

Okazało się to trudne, bramę garażową musiano zaryglować sztabą od wewnątrz. Trzeba było spróbować z drugiej strony. Obeszli ścieżką niski parterowy bungalow. Z tyłu wszystkie okna były również zasłonięte, jedynie drzwi werandy zastali lekko uchylone.

— Wejść pierwszy, ubezpieczaj mnie — powiedział Ray.

15.05

Kiedy Martinez i Maria przybyli na Żółte Wzgórza, komisarz znajdował się już na miejscu. Loser miał dotrzeć dopiero po kwadransie. Uliczkę wypełniały pulsujące światłami wozy policyjne. Przybyły natychmiast po sygnale przekazanym przez Raula komisarzowi, który wydał odpowiednie polecenie miejscowym jednostkom.

— Zostań, Mario, w wozie — zatrzymał policjantkę szef. — A ty, Raul, chodź ze mną.

Wnętrze bungalowu było prawie puste i co ciekawe, starannie odkurzone. Nigdzie, na klamkach czy futrynach nie znaleziono ani jednego odcisku palców. Ciało sierżanta Raya znajdowało się tuż przy schodkach prowadzących do garażu. Szkliste oczy, usta wykrzywione w grymasie przerażenia i całkowity brak obrażeń. Jak na zdjęciach...

— Mark też? — wykrztusił Raul.

— Już drugi raz przetrząsamy cały dom. Ronsona ani śladu — rzekł komisarz. — Na werandzie znaleźliśmy jego kapelusz. Nic więcej.

W piwnicy, obok pustych puszek po farbie, znaleźli natomiast Sorela. Martin Sorel vel Albert Gross leżał spokojnie z niewielką dziurką pośrodku głowy. Na martwej twarzy zastygł wyraz niepojętego zdumienia, jakby śmierć nadeszła z najbardziej nieoczekiwanej strony.

— Robota Marka? — zapytał Martinez.

— Nie, Sorel nie żyje już ponad dobę — stwierdził krzątający się lekarz. — Musieli załatwić go zaraz po akcji.

— Cóż za sprytni dranie, zlikwidowali nam wszystkie możliwe punkty zaczepienia — jęknął Loser. — I jeszcze porwali Ronsona!

NIEDZIELA 8.05

Maria odłożyła słuchawkę pełna wzburzenia. Podbiegła i tarmosząc, obudziła Martineza.

— Co się stało, czyżby Ronson wrócił? — wybełkotał półprzytomnie.

— Nie, podziękowano nam. Nie mamy tu nic do roboty.

Kto wydał takie polecenie, Loser czy komisarz?

— Decyzję podobno podjął sam minister. Za dużo ofiar, za mało rezultatów. Mamy stawić się w poniedziałek rano u podkomisarza Clarke'a po gratyfikacje. Grupa „Foto” została rozwiązana. Śledztwo przejmą oficjalne agendy bezpieczeństwa.

— Ale dlaczego? — przekazywane informacje zdawały się nie docierać do byłego policjanta. — I co będzie z tobą?

Do tej pory nikt ani razu nie zapytał o status Marii. Jak wszyscy nie wiedział, jaką rolę miała naprawdę do spełnienia. Czy była człowiekiem Losera, czy „uchem” komisarza?

— Jestem wolnym człowiekiem. Zostałam zwerbowana do akcji tak jak wy — wyjaśniła sama. — Od roku nie pracowałam w policji. Siedziałam na wsi i przygotowywałam się do końcowych egzaminów na prawie.

— A ja myślałem...

— Że jestem ciągle dupą szefa? Dawno i nieprawda. Zbyt wiele rzeczy nas różniło. Nawet zdziwiłam się, że mnie zaangażował... Ale potrzebowałam pieniędzy.

— I co teraz zamierzasz?

Maria milcząc, segregowała papiery.

— Kiedy przekażę cały dotychczas zgromadzony materiał, wyjeżdżam na wieś, a ty?

Raul wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie chce mi się tak tego zostawić. Może powinniśmy zbadać dalej wątek Odiza, poszukać platynowej Irene.

— I skończyć jak Pierre, Ray, Mark...?

— Może Ronson jeszcze żyje. Nie znaleziono ciała...

Maria nie dała mu skończyć.

— Ja mam dosyć. To wszystko dziwnie śmierdzi. Im szybciej damy temu spokój, tym lepiej dla nas. To jest jakaś wyjątkowo parszywa sprawa.

— Mark był moim przyjacielem... — Nie ustępował Martinez.

— A moim nie?

Zamilkli i dalej bez słowa porządkowali dokumenty. Musieli się spieszyć. O 9.30 miał przybyć inspektor Valmiere, by przejąć całą masę spadkową.

17.46

Stadion szalał. Wynik 1:0 dla gospodarzy stanowił znakomitą zaliczkę na drugą połowę meczu. Sędzia jednak nie miał najmniejszego zamiaru skracać rozgrywki. Skrupulatnie doliczał czas za przerwy w grze, które były wynikiem złośliwych fauli. Z kilkudziesięciu tysięcy gardeł wyrywał się jeden ogłuszający ryk, wspomagany przez niezliczoną rzeszę gwizdków i syren. Wężowo wiły się serpentyny, wirowały kurtki, fruwały części garderoby. Wysoko ponad zieloną murawą krążył helikopter. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nawet wtedy, kiedy otworzyły się drzwiczki i sypnęła z góry manna ulotek.

Z wolna opadły na trybuny. Dopiero po odgwizdaniu przerwy zaczęto je podnosić. Tu i ówdzie z ust poczęły dobywać się okrzyki zdumienia. Na fotografiach zarejestrowano ten sam stadion, tyle, że wypełniało go jedno wielkie zbiorowisko zwłok.

18.30

Raul miał wszystkiego dość. Rozmowa z inspektorem Valmiere, małym, głupim funkcjonariuszem o horyzontach żaby, zmęczyła go bardziej niż cztery dni harówki. Valmiere był pedantem, służbistą i na dodatek miał ogromnie wysokie mniemanie o sobie. Stanowiło to pełną gwarancję, że akcja „Foto” nigdy nie przyniesie rezultatu. Czyżby komuś na tym zależało? Martinez nie poddawał się łatwo. Próbował jeszcze interweniować u Losera i komisarza. Ale Loser nagle stał się nieobecny, a szef ciepłym ojcowskim basem prosił o zachowanie spokoju.

— Popelnilem błąd, Raul, ulegając propozycji doktora i mieszając was do tej sprawy. Powinienem wiedzieć, że tego nie da się rozwiązać chałupniczo. Teraz wszystko się zmieni. Są powołane nowe specjalne grupy. Uderzymy z całą mocą.

— To dobry pomysł, ale my także moglibyśmy się przydać. Mamy już pewne doświadczenie i nowe koncepcje.

— Prześlij mi je, Raul, z przyjemnością przeczytam i na pewno nie zlekceważę. Ale zapamiętaj, nie możemy więcej ryzykować życiem najlepszych. Teraz wypocznij.

Martinez niczego z tego nie rozumiał. Przecież nowo powołane grupy ryzykowały tyle samo co oni. Poza tym musiały zaczynać od zera... Dla niego osobiście znikła szansa zawodowej rehabilitacji. Dość! Dość! Odczuwał niemal fizyczny ból i głęboką gorycz.

Dlaczego? Wraciał obsesyjnie wątek zdrady, po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, kiedy Ronson zamilkł w pół słowa i popatrzył na niego jakoś tak dziwnie. Tylko kto mógł być zdrajcą: Maria, komisarz, Loser? A może Ronson? Nie! Taka hipoteza była zbyt bolesna.

W mieszkaniu powitał go zaduch nie wietrzonego od dawna wnętrza. Otworzył okna, zrobił przeciąg i naraz ogarnęła go nieodparta chęć napicia się. Jeden mały szybki drink nikomu jeszcze nie zaszkodził. Otworzył lodówkę i zaklął. Oczywiście, kiedy zabrał się do działania, już podczas pierwszego pobytu w domu, wylał cały alkohol. Żeby nie kusił samą swoją obecnością. Przełknął ślinę. Może lepiej zrobi, jeżeli pójdzie spać. Ależ nie! W kredensie zawsze miał żelazną rezerwę, dla gości. Sto gram whisky na dnie butelki. Otworzył szafkę i zdziwił się. Ukryta w kącie butelczyna była pełna i fabrycznie zamknięta. Obejrzał pod światło, absolutny ful. Naraz, jak błyskawica przeszła go myśl, że najwyraźniej komuś bardzo zależy, aby poszedł w tango. Tknięty przecuciem uniósł butelkę nad zlewem i obrócił ją do góry dnem.

Dwie godziny później z klatki schodowej domu, w którym mieszkał Raul, wytoczył się cuchnący wódą i targany czkawką Martinez. Machnięciem ręki zatrzymał taksówkę i czkając, wybełkotał:

— Do Ca... Casanovy.....

Z NIEDZIELI NA PONIEDZIAŁEK. PÓLNOC.

Dla swoich specjalnych, wybranych gości lokal rozrywkowy „Casanova” miał liczne dodatkowe atrakcje. Małe, intymne pokoiki, w których można było robić wszystko w zależności od upodobań.

Jeśli jednak właściciel lokalu pokusiłby się o podglądanie klientów, to alkowa numer trzystaście rozczarowałaby go. Trzeźwemu do obrzydliwości Martinezowi nie towarzyszył żaden szalowy kociak, tylko brzuchaty staruszek, przywodzący na myśl Doktora Doolittle. Ich spotkanie nie miało jednak nic wspólnego z gerontofilią. Profesor Carducci należał do najwybitniejszych ekspertów od spraw terroryzmu i tajnych organizacji.

— Sytuacja się zmieniła — powiedział Raul. — Kiedy parę dni temu zamawiałem u pana ekspertyzę, działałem w imieniu...

— To nieważne, chłopcze. Nieważne. Sprawa jest tak ciekawa, że pomogę ci chętnie, gdybyś nawet reprezentował samego siebie.

— Zatem zechce mi pan pomóc?

— Ostrożnie, ostrożnie ze sformułowaniami. „Pomóc” to duże słowo. Mogę z tobą chwilę podyskutować. Zacznijmy od analogii. Jeśli porównać społeczeństwo do żywego organizmu, to taka tajna organizacja przypomina nowotwór.

— Złośliwy?

— Nie, jeśli operacja zostanie dokonana możliwie wcześnie, a to zależy od rozpoznania i zdefiniowania.

— Cholernie mało wiemy — westchnął Raul.

— Nie tak mało — uśmiechnął się Carducci. — Pismo powiada „po czynach ich poznać”. Załóżmy roboczo, że istnieje organizacja i ma określony cel — chęć przekazania ludziom pewnego memento...

— Że za półtora roku...?

— Tak!

— Memento bez szans ratunku?

— Może to na razie tylko przygotowanie, doprowadzenie ludzkiej świadomości do takiego stanu, kiedy człowiek będzie gotów na przyjęcie zaproponowanego gorzkiego lekarstwa.

— Zaraz, a zatem mamy do czynienia z rakiem czyjego diagnostykami?

— Gdyby rak miał samowiedzę, zapewne starałby się znaleźć jakieś modus vivendi z organizmem, który trawi. Jego pełne zwycięstwo jest zarazem śmiercią obydwu. Ale do rzeczy — dotąd wszystkie działania tych, jak wy ich nazywacie „fotografów”, zmierzają do nadania swemu przesłaniu maksymalnego rozgłosu. Czynią to metodycznie i unikają dekonspiracji. Gdy zagraża im rozszyfrowanie, nie cofają się przed żadną zbrodnią. Czego to dowodzi?

— Determinacji.

— Tak, i dlatego, gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym im głosić tę „złą nowinę”. Świat się przerazi? Cóż, nasz glob i tak siedzi struchlały od chwili wynalezienia broni jądrowej, i co z tego? Toteż dziwię się reakcji policji czy tajnym służbom, że nie wzięły pod uwagę możliwości takiego celu akcji. Może zamiast ruszać z nagonką, należałoby najpierw wsłuchać się w przesłanie?

— Wolałbym, żeby mi pomagał ktoś, kogo znam osobiście. Zresztą, jeśli ma się czyste zamiary, po cóż działać konspiracyjnie? Nie lepiej zwołać konferencję prasową, zademonstrować wynalazek i powiedzieć: „Ludzie, grozi nam niebezpieczeństwo, ratujmy się wspólnie”.

— O ile stoją za tym ludzie?

— Pan uważa?

— Nic jeszcze nie uważam. Myślę. Proponuje pan dekonspirację? A jeśli ujawnienie sposobu fotografowania jutra, wywołałoby więcej zamieszania niż pożytku? Wiedza o przyszłości? Na miły Bóg! To największa władza, jaką można sobie wyobrazić... A jednocześnie ogromne zamieszanie, szaleństwo ludzkich losów, pokusa manipulacji. Trudno ogarnąć wszelkie możliwe konsekwencje. Przecież jeśli znałbym niekorzystne elementy przyszłości, to próbowałbym je zmienić, a wtedy moje spojrzenie w przyszłość nie odpowiadałoby prawdzie. I co wtedy? Katastrofa. Tak przynajmniej podpowiada klasyczna logika. Może jednak przyszłość zawsze jest wielowariantowa i tak jak wiązka światła rozszczepia się w pryzmacie, tak nasze jutro może być takie albo inne. A wtedy „zdjęcie jutra” to jedynie ewentualność, nie konieczność!

— Jeśli to wszystko prawda, to nigdy nie złapiemy „fotografów”, profesorze. Skoro oni znają przyszłość, znają również nasze działania.

— Spokojnie, spokojnie. Nie przypuszczam, żeby mogli robić transmisje przyszłości w każdej sytuacji. Aparatura musi być duża... Na tej fotografii z Westminsterem, a także Dworcem Lotniczym, fragment zdjęcia był pokryty identycznym cieniem, zauważyłeś?

— Chyba tak! Czyżby obiekt był z przyszłości, a cień współczesny?

— Tego nie potrafię wyjaśnić. Atoli w obu wypadkach jest to cień dużej, jakby wojskowej ciężarówki. Możemy przypuszczać, że ich technika nie osiągnęła jeszcze stadium miniaturyzacji.

— Rzeczywiście. Jest pan genialny, profesorze!

— Może jutro opowiem ci coś więcej. Obiecuj mi jedno, nie będziesz działał pochopnie. Wiem, że pragniesz zemsty. Ale zemsta to rozrywka maluczkich. Odbiera rozum i nie daje ukojenia. Zatem zachowaj zimną krew i bądź ostrożny. Po przeanalizowaniu całej historii podzielam twój niepokój, że gdzieś w pobliżu waszej grupy kręcił się zdrajca. Ale niekoniecznie zupełnie blisko. Ktoś władający „futurofotem” może dysponować równie dobrze tradycyjną aparaturą podsłuchową. Oczywiście, jej umieszczenie też wymaga współników w policji lub tajnych służbach. A teraz postaw mi kieliszek. Poprosimy panienki...

PONIEDZIAŁEK RANO

Raul wyczołgał się z taksówki i na parę chwil zawisł na latarni.

— Schlał się jak bydlę — mruknął taksjusz i odjechał. Martinez rozejrzał się nieprzytomnie, puścił latarnię i paroma sinusoidalnymi krokami dotarł do drzwi. Obmacywał zamek, usiłując trafić kluczem. Zawsze tak się zachowywał wracając z nocnej eskapady. Gdyby ktoś postronny obserwował go tej nocy, mógłby stwierdzić z pełnym przekonaniem — inspektor znowu był na fazie!

Teraz pozostawało jedynie dowleczenie się do drzwi na drugim piętrze, wtoczenie do środka i obowiązkowe zapalenie papierosa. Taki był rytuał. Przez tego „papieroska” już raz mało się nie spalił, kiedy w ogniu stanęła cała pościel.

Już w progu mieszkania uderzył go charakterystyczny zapach. Pijany być może nie zwróciłby na to uwagi, ale przecież Raul był trzeźwy jak noworodek. Jego mózg działał precyzyjnie niczym zegarek. Nie zapalając światła, paroma ruchami zgarnął do kieszeni trochę pamiątek i notatek. Zamienił ubranie na dres, wyciągnął swój ulubiony nóż, potem już na klatce zmiął kartkę papieru, zapalił ją i cisnął do wnętrza, zatraskując za sobą solidne dębowe drzwi, padając na ziemię.

Ułamek sekundy, a całe pirotechnicznie spreparowane mieszkanie stanęło w ogniu, wyleciały szyby... Martinez nawet się nie obejrzał, zbiegł do piwnicy, a następnie małym okienkiem wyczołgał się na podwórze. Potem prześliznął się dziurą obok śmietnika na sąsiednie podwórko, skąd już bez większych przeszkód dotarł na sąsiednią ulicę. Tam przeszedł w spokojny bieg maniaka sportowca, który zwalcza bezsenność za pomocą biegania. Niebo zarumieniło się od łuny. Gdzieś zawyła syrena. Martinez równym truchtem oddalał się coraz bardziej.

NAZAJUTRZ 12.15

— Jednak pan żyje? — zdziwił się Carducci, podnosząc głowę znad gazety, w której artykuł o katastroficznych ulotkach na stadionie sąsiadował z wiadomością o pożarze w dzielnicy nadrzecznej, w którym poniósł śmierć były as policji metropolitalnej, aktualnie urlopowany, Raul Martinez.

— Jak pan widzi! — Raul opuścił ogrodowe zarośla i szybko wskoczył na werandę willi profesora. — Mam nadzieję, że nie jest pan pod obserwacją.

— Nie sędę. Zresztą wraz z pana śmiercią nie mają już powodu obawiać się czegokolwiek. Widzi pan zresztą te tytuły — rzucił mu plik gazet. — „Ekstremiści sprytnymi fotomontażami pragną wywołać niepokój społeczny”, „Polityczny faul na stołecznym stadionie”, „Nasze stanowcze nie dla nieodpowiedzialnych prowokacji”.

— Niezłe! Stylistyka godna doktora Losera — uśmiechnął się Martinez.

— Jak pan myśli, co to oznacza? — zapytał Carducci. — Moim zdaniem, chyba tylko jedno: władze pogodziły się z myślą, iż sprawcy nieprędko zostaną złapani.

— Ja się nie pogodziłem — Martinez patrzył hardo na profesora. — Ma pan coś dla mnie?

— Troszeczkę. Na przykład naszkicowałem modelowy schemat przypuszczalnej organizacji „Fotografów” w trzech wariantach: minimalnym, maksymalnym i optymalnym. Wyliczyłem przybliżone koszty poniesione w czasie dotychczasowych operacji, prześledziłem opcje światopoglądowe, a także upodobania kierującego tą zabawą. Szczegóły są w tej teczce. Dają do myślenia. Ale zacznę od wniosków. Najpierw finanse. Jeśli nie jest to stara grupa przestępcza czy agenda finansowana przez obcy wywiad, to dysponuje ona zaskakująco dużym wolnym kapitałem, ograniczającym liczbę potencjalnych sponsorów do tysiąca nazwisk w kraju. Po drugie, z analizy technologicznej wynika, że ekipa produkcyjna łącznie z kierownictwem liczy około czterech osób, ze trzy zajmują się logistyką, drugie tyle stanowią łącznicy z kolporterami, wreszcie istnieją minimum dwie niezależnie działające grupy operacyjne (jak wiemy, dwuosobowe), tyle też musi liczyć ochrona, która zapewne spełnia również funkcje egzekucyjne. Rekapitulując: według niskiego wariantu — „fotografów” jest dwunastu, według wysokiego — dwudziestu paru.

— Skąd ta pewność? Czy ochroniarz nie może być technikiem?

— Ze względu na ścisłą konspirację jest to wykluczone. Poszczególne grupy są odseparowane od siebie, mają ograniczone kontakty. Z podobnego względu nie może być ich więcej. Każdy dodatkowy człowiek potęguje ryzyko...

— Racja! Ale modele to nie wszystko. Nasz przeciwnik potrafi zmieniać metody, czego dowodzi choćby wynajęcie helikoptera.

Carducci znów uśmiechnął się.

— Czytał pan gazety. To tylko potwierdza, jak mocno jest asekurowana ta akcja. Pilot rozrzucający ulotki był przekonany, że został oficjalnie wynajęty przez koncern Coca Coli, a lecące fiszki są zachętą do konsumpcji tego popularnego napoju.

— Dobrze rozegrane!

— A przecież nie jest to ich ostatnie słowo. Ludność nie wpadła w panikę. Nie ma też poważnej reakcji rządu i społeczeństwa. Boję się, czy „fotografowie” nie zechcą pokusić się o jeszcze mocniejsze efekty, aby uwiarygodnić swoje przesłanie.

— Na przykład jakie?

— Chciałbym się mylić — westchnął profesor — ale z probabilistycznego wizerunku przywódców wynika, że stać ich jeszcze na bardzo wiele.

21.25

Maria należała do kobiet odważnych. Nie bała się ciemnych ulic i podejrzanych lokali. Gwarancję dawał jej odpowiedni pas kung fu. Nie przerażały jej również trudności ani ludzka nieżyczliwość. Ba, nie przestraszyła się nawet swego czasu komisarza, potrafiła z nim definitywnie zerwać i przekreślić tym samym własną, dobrze zapowiadającą się karierę w policji. Nawet zdziwiła się, że do akcji „Foto” ściągnięto właśnie ją. Ale może nie było innych pod ręką?

Teraz jednak bała się. Mały wiejski domek na odludziu, normalnie jasny i przytulny, obecnie wydawał się jej pułapką. Po kilku nerwowych dniach odizolowanie się od świata denerwowało ją, zamiast uspokajać. Telefon milczał, zresztą był uszkodzony. Nowych sąsiadów nie знаła, starzy dawno powyjeżdżali lub poumierali. W takich chwilach przypominało się jej dzieciństwo — rodzice, wujek Franciszek — mizantrop na samotnym poddaszu, rodzeństwo, gosposia. A teraz... Matka w pensjonacie dla starców, brat w Nowej Zelandii, siostra nie wiadomo gdzie, wuj odludek umarł trzy lata temu. Dom też umierał. Na ścianach pojawiły się zacieki, wiało przez spaczone, niedomykające się okna.

Kiedyś Maria miała wiele zapалу — zamierzała wszystko odremontować. Wydawało się jej, że potrafi dokonać tego sama. Na mężczyzn nigdy nie liczyła. Owszem, przelotnie durzyła się — jak wszystkie — w Ronsonie, ale przecież Mark mógł być co najwyżej kandydatem na pełen emocji weekend, a nie długą, wspólną egzystencję. A komisarz? Westchnęła.

Śmierć Martineza załamała ją i przeraziła. Nie ulegało wątpliwości, że pozostawała ostatnim żyjącym uczestnikiem akcji „Foto”. Czyżby przyszedł czas na nią?

Ta myśl uderzyła ją z brutalną otwartością. Zaraz po wysłuchaniu radiowego komunikatu była na krawędzi paniki. Pomyślała o ucieczce, sprawdziła i naoliwiła starą

dubeltówkę wuja. Swoją broń, którą otrzymała na czas akcji, musiała zdać Valmiere'owi. Potem dopadła ją apatia. Jeśli wyrok został wydany, szansę przeżycia miała znikome.

Wypiła kawę i rozpakowała bagaże przywiezione z metropolii. Obok stosu notatek znajdowały się tam jeszcze nie zwrócono do biblioteki trzy roczniki „Dziennika Południowego”, stos sensacyjnych informacji, skandali, zbrodni, ciekawostek. Maria zamierzała je kiedyś przejrzeć, szukając inspiracji w akcji „Foto”, parę dni temu nie zdążyła tego zrobić. Teraz miała aż za dużo czasu. Zagłębiła się w czytaniu gęstej zupy niegodziwości, brudów i pomówień.

Była pewna, że gdzieś w tej piramidzie papieru znajdują się te dwie, trzy informacje, mogące stanowić nowy trop, rzucający światło na akcję. Lektura wciągnęła ją tak, że wkrótce zapomniała o niebezpieczeństwie. Nawet nadchodzący zmierzch nie oderwał jej od rocznika.

Każdy może doczekać swojej małej „Eureki”. Dla Marii przełom przyniosła wiadomość, jaką przeczytała na ostatniej stronie gazety sprzed roku. Artykuł pod tytułem „Co się stanie z legendarnym majątkiem Ala Charmontiera” dotyczył spekulacji na temat losów fortuny jednego z najbogatszych ludzi Europy, który dwa tygodnie wcześniej zmarł na atak serca, na własnym jachcie u wybrzeża Korsyki. „Kto zgarnie pulę? — zastanawiał się dziennikarz — Rozwiedziona przed wielu laty wdowa czy pasierb zmarłej drugiej żony, Jacques Willer-Ledontier, ekscentryk, wizjoner, aktywista Zielonej Ligi? Na co pójść pieniądze gromadzone przez cztery pokolenia kapitalistów?”

Oczywiście Marią kierowała w tej chwili wyłącznie intuicja. Nie istniały żadne przesłanki potwierdzające trafność podejrzenia. Kilkadziesiąt numerów dalej trafiła na wiadomość o przyznaniu przez sąd całości spadku właśnie Willerowi. Pięć numerów dalej był z nim wywiad ze zdjęciami. Jacques w swojej posiadłości, w otoczeniu przyjaciół, doradców... Jedna twarz z tego grona wydała jej się znana. Ależ naturalnie — Arnold Grove, kiedyś jeden z najobrotniejszych menedżerów pornobiznesu — od dłuższego czasu nie widziany na rynku. Zaraz, zaraz...

Dziewczyna sięgnęła do torebki. Obok najzwyklejszych damskich akcesoriów wypełniały ją jeszcze dyskietki — pięć standardowych flopów. Któż by pomyślał, że znajduje się na nich cała kartoteka zgromadzona podczas akcji „Foto”. Przed opuszczeniem willi Maria zabrała ze sobą skopiowany komplet. Teraz zasiadła przed domowym komputerem... Grove... Grove. Wśród kilku tysięcy nazwisk „ludzi czynu” związanych zarówno z elitą finansową, jak i obeznanym z techniką fotografii i reklamy, był także on. Pod względem przydatności do akcji „Foto” — czternasty na liście. Gdyby śledztwo potrwało dłużej, pewnie

zabraliby się w końcu za niego. W posiadanym biogramie nie było wprawdzie mowy o związku z Ledontierem, natomiast obok krótkiego zapisu — „wycofał się z interesu po ulokowaniu kapitału w papierach wartościowych” — znajdowała się jeszcze informacja, że osiadł w pobliżu miejscowości T., gdzie nabył dużą posiadłość. Rzut oka wystarczył, by dostrzec, że do T. jechało się opodal Żółtych Wzgórz. Naturalnie wszystko razem stanowiło jedynie słabą poszlakę — aliści obserwacja Grove’a i rewizja na miejscu mogłyby niejedno wyświetlić. Kto miał jednak tego dokonać? Komu miała zaufać, a kogo się bać?

Maria wstała i poczęła chodzić po mieszkaniu. Komisarz czy Loser? A może jeszcze ktoś inny?

Po śmierci Martineza nie miała wątpliwości, że jeden z dwóch mocodawców zdradził. Od początku współpracował z przeciwnikiem. Fizycznie likwidował funkcjonariuszy i wreszcie...

Rozwiązanie przyszło niespodziewanie i było oczywiste. Szybkie jak powiew wiatru przez nagle otwarte drzwi. Odwróciła się i zamarła z rozchylonymi ustami. Jeden rzut oka niespodziewanego gościa na ekran z nie wymazanym jeszcze biogramem Grove’a wystarczył.

— A więc już wiesz. Szkoda!

Otwór lufy wymierzonej prosto w nią nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Wiedziała, że umrze, a jakikolwiek cud jest wykluczony.

— Dlaczego? — zapytała głucho.

— Nie wiem. Muszę!

— A te zdjęcia, ten koniec świata?

— Sam nie wiem, co o tym sądzić. Żądali, abym im pomógł w eskalacji rozgłosu, a zarazem kontrolował śledztwo osobiście. Twierdzili, że to konieczne. Nie wtajemniczyli mnie, dlaczego.

— Więc czemu dla nich pracujesz?

— Długo by mówić, Mario. Najważniejsze, że mają mnie w rękę. Kiedyś popełniłem parę błędów. Teraz za nie płacę.

— To nie ty płacisz! — wybuchnęła. — Płacą inni. Mark, Pierre, Raul...

— Nic nie wiem o Marku. Oni zresztą chyba też nic o nim nie wiedzą — mruknął. — Życzę mu jak najlepiej.

— Jesteś sprytny — powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że na próżno usiłuje zyskać na czasie. — To niesłychanie pomysłowe, aby zmontować grupę „antyfoto” ze wszystkich tych, których nienawidziłeś...

— Nienawiść nie jest właściwym terminem. Przeszkadzali mi. Martinez był zbyt dociekliwy, Legrand zabił kiedyś mojego współpracownika...

— A Ronson zabierał ci wszystkie kobiety, czyż nie tak, komisarzu?

Szef sapnął. Wyglądał tego wieczoru starzej niż zwykle.

— Dlaczego ode mnie odeszłaś?

— Bo odkryłam w tobie kanalię. I nie mów mi, że nawet teraz chcesz mnie ocalić w zamian za uległość i zachowanie dyskrecji. Nie wierzę ci.

— Nie masz pojęcia, jak mi jest przykro, Mario. To się niej musiało tak skończyć — powiedział komisarz i pociągnął za spust.

23.05

Maria ocknęła się, czując objawy charakterystyczne dla ogłuszenia gazem paralizującym. Było ciemno, ale już po chwili zorientowała się, że jest we własnej kuchni. Nogi i ręce miała zabandażowane i unieruchomione. Oczywiście, kiedy znajdą ciało, nie będzie śladów żadnych więzów. Syk z palników dowodził, jaki rodzaj śmierci dla niej wybrano. Malutki domowy Oświęcim! Zza zamkniętych drzwi dolatywał bas komisarza rozmawiającego przez telefon (a więc defekt aparatu został już usunięty). Jak to wszystko zostało ładnie zaaranżowane. Eksperci na pewno stwierdzą, że popełniła samobójstwo w przyływie przygnębienia.

— Wszystko załatwione, niedługo wrócę — mówił komisarz. — Na razie.

Delikatnie drgnęło kuchenne okno podważone jakimś narzędziem. Na moment zrobiło się jeszcze ciemniej. Potem ktoś wszedł do wnętrza. Potknął się. Nie dotykał Marii, ale nie tracąc czasu, pozakręcał wszystkie kurki. Dopiero potem podniósł dziewczynę.

— Raul! — Maria dziękowała losowi, że jest zakneblowana, inaczej nie potrafiłaby powstrzymać krzyku.

Bezszelestnie przecinał bandażę i uwolnił jej twarz.

— To komisarz — szepnęła.

— Wiem, krążę tu już pół godziny. Nie mam broni. Wspomniała mu o dubeltówce wiszącej w salonie. Trzeba tylko wywabić komisarza.

— To proste. Biegnij do mojego wozu i naciśnij klakson. Gdzie są naboje?

— W górnej szufladzie komody.

Poszło łatwiej, niż przypuszczali. Sześć minut później były szef wydziału leżał w kałuży krwi na schodach wiejskiego domku. Martinez nie chciał go zabijać. Ranić, wytrącić broń,

potem przesłuchać. Komisarz jednak zachowywał się jak dzikie zwierzę. Raniony jeszcze próbował wydobyć zapasowy pistolet. Raul nie miał wyboru.

Urywanymi zdaniami Maria powiedziała o swoich domysłach, wnioskach, wreszcie o wizycie zwierzchnika.

— Co zrobimy? — zapytała na koniec.

— Pojedziemy do T.

— A Loser?

— Wolałbym jeszcze poczekać z wtajemniczeniem doktora... Może dużo popsuć.

Okazało się to niewykonalne. Nie minęło trzydzieści sekund, a przed domem zahamował wóz doktora.

23.20

— Szczerze się cieszę, naprawdę szczerze — powtarzał Loser, ściskając ręce Raula i Marii. — Nawiasem mówiąc, mogliście poczekać. Miałem na oku komisarza już od pewnego czasu. Nie tylko wy go podejrzewaliście. Oczywiście, wszystko zostanie dogłębnie wyjaśnione i mogę zapewnić, że krzywdy zostaną naprawione. Od tej chwili, aż do zakończenia akcji „Foto” pozostaniecie pod moim bezpośrednim dowództwem. A teraz przekażcie mi wszystko, do czego doszliście.

Nie było sposobu ukrycia czegokolwiek. Notatki Marii leżały na wierzchu, a biogram Grove’a ciągle widniał na monitorze. Zresztą nie pozostawało im nic innego, jak zdać się na Losera i jego ludzi. Raul czuł, że mimo wszystko cała afera zmierza do szczęśliwego końca.

— Uważam, że powinniśmy jak najszybciej złożyć wizytę w T. — powiedział.

— Tak. Zrobimy to jutro, za dnia — odparł doktor. — Oczywiście weźmiemy was ze sobą. Jesteście fantastyczni, naprawdę fantastyczni.

1.15

— Nareszcie sami — powiedział Martinez, kiedy zniknął ostatni wóz ekipy śledczej. — Dziękuję za kawę, Mario, wypiję i będę leciał.

— Dokąd?

— Musi tu być jakiś hotel w pobliżu.

— Nie trzeba szukać hotelu — stwierdziła Maria. — Pościelę ci w pokoju wuja Franciszka. Chyba nie boisz się duchów?

Kiedy stała tak na pierwszym stopniu schodów wiodących na pięterko, Martinez zauważył z pewnym zaskoczeniem, że jest bardzo zgrabna. Konstatacja ta tym większą sprawiła mu przyjemność, że po raz pierwszy od dłuższego czasu jakaś dziewczyna odniosła się do niego tak miło, a on spoglądał na nią inaczej, niż na przystawkę do maszyny biurowej. Coś się w nim zmieniało. Może ta walka była potrzebna. Odniósł zwycięstwo. Poczł się po raz pierwszy normalnie. Tak jak przed laty, gdy miał Joan i razem byli szczęśliwi.

Maria też zauważyła zmianę w Raulu. Ten pijaczyna i abnegat był na swój sposób fascynujący... Jednak nie amory były mu w głowie.

— Czy twój wóz jest sprawny? — zapytał.

— Owszem, ale... Naprawdę możesz zostać.

— Uważam, że powinienem zajrzeć natychmiast do T., zanim doktor Loser tam się zjawi. Nie bardzo ufam jego metodom.

— Pojadę z tobą.

— Nie mogę odmówić koleżance z pracy.

WTOREK. NOC.

Gdyby nie przebite koło, którego zmienianie zajęło im kwadrans, pewnie by zdążyli. Inna sprawa, że zaraz za T. zatrzymał ich posterunek policji.

— Droga zamknięta — powiedział młody żołnierz, prawie dziecko.

— Jestem z policji — Martinez machnął swoją starą legitymacją.

— Do akcji wprowadzono jednostkę specjalną — padła odpowiedź. — Wstęp wzbroniony.

Raul zaklął w duchu. A zatem Loser skłamał. Ledwo otrzymał potrzebne informacje, a już za ich plecami uruchomił swoje oddziały. Zapewne nie chciał z nikim dzielić się sukcesem. Nie zważając na protesty żołnierzyka, Martinez wcisnął gaz do dechy. Był ciekaw, czy chłopak będzie za nim strzelać. Nie strzelał.

Od starego browaru, który pół roku temu wynajął Grove, dzieliły ich nie więcej niż dwa kilometry — kiedy rozpoczęła się gwałtowna strzelanina. Loser najwidoczniej przypuścił otwarty szturm. Może zresztą został sprowokowany. Po intensywności kanonady można było wnioskować, że toczy się regularna bitwa. Jeszcze pół kilometra... Gwałtowna eksplozja targnęła wzgórzami. Martinez omal nie stracił panowania nad kierownicą...

Kurz opadał. Skwierczała dopalająca się trawa. W miejscu starego browaru rozpościerał się jeden wielki dymiący krater. Z bastionu „fotografów”, ich ciał, urządzeń, pozostały jedynie mizerne ślady.

— Musieliśmy przypadkowo trafić w ich arsenał. — Doktor Loser z niesłychanie ważną miną kręcił się na skraju pogorzelska. Ledwie tolerował obecność Marii i Martineza.

— Czy Mark mógł być tam? — zapytała w końcu dziewczyna.

— A skąd mam wiedzieć? — burknął Loser. — Nasi ludzie nie zdążyli nawet zająć pozycji, kiedy ci rozpoczęli strzelaninę. Musieliśmy odpowiedzieć ogniem. Najważniejsze, że wszyscy zginęli. Z tego co ustaliłem, Grove i pasierb Charmontiera również. Cała ekipa załatwiona.

— Ale tajemnicę zdjęć zabrali ze sobą — zauważył Martinez.

— Najważniejsze, że zostali unieszkodliwieni i nie zagrażą więcej porządkowi publicznemu, a ja już zadbam... Co to za światła...

Drogą od lasku pędziła w stronę ruin kilkudziesięcioosobowa wataha ludzi. Błyskały flesze fotoaparatów, kręciły się kamery.

— Pieprzeni dziennikarze — krzyczał jakiś podoficer. — Podjechali od nie zabezpieczonej strony.

— Skąd się tu wzięli dziennikarze? — doktor spojrział groźnie na Raula i Marię. Ci tylko wzruszyli ramionami.

Komandosi grupy specjalnej byli bezradni wobec nadciągających przedstawicieli agencji prasowych. Martinez pochylił się do Losera i wspominając zdanie profesora Carducciego, rzekł:

— A nie zastanawiał się pan, doktorze, że swoją akcją dopomógł pan w sfinalizowaniu scenariusza „fotografów”? Teraz już się nie uda zatuszować ich działań. Ich memento pozna cały świat.

— Bzdura! — zachnął się zapytany. — Dać się zabić dla jakiejś idiotycznej wizji. Wykluczone.

Do ich stanowiska dobiegł tymczasem najszybszy z prasowej szarańczy Rex Thompson z „Washington Post”.

— Gratuluję zmiany stosunku do mass–mediów, doktorze! Tym razem miło nas pan zaskoczył. Te telefony do nas wszystkich w środku nocy z dokładnym wskazaniem drogi. Nie pojmuję tylko, w jaki sposób już pół godziny temu dziewczyna, która zatrzymała mnie przy skrzyżowaniu, posiadała to zdjęcie, skoro do detonacji doszło dopiero pięć minut temu.

Maria wiedziała, co zobaczy na fotografii. Zgliszcza i lej po detonacji w samym środku. Nie wiedziała tylko, że na skraju będzie również uwieczniona grupka widzów lustrujących miejsce dramatu — a w niej ona, Martinez, Loser i redaktor Thompson. Pod spodem widniał tradycyjny napis:

„Jeszcze tylko półtora roku”.

Niczego więcej nie wyjaśniono. Nie odkryto ani metod, jakimi dokonywano owych zdjęć, ani celu, jaki im przyświecał. Nie natrafiono również na nic, co by wskazywało, że ktokolwiek inny poza Ledontierem i Grove'em mógł być inspiratorem makabrycznego happeningu.

Dwa dni później w alpejskim pustkowiu odnaleziono parę nieprzytomnych osobników — nagich i pogrążonych w głębokiej amnezji. Mężczyznę zidentyfikowano jako Marka Ronsona — ongiś inspektora policji, dziewczyna natomiast — piękna, platynowa blondynka — nie została rozpoznana. Dokładne badania mówią o nieodwracalnych zmianach w ich mózgach i braku szans na odzyskanie pamięci. Jedno wydaje się bezdyskusyjne. Kiedy na spacerze w zakładzie spotykają się razem, wyglądają na szczęśliwych. Jak dwie, splecione w wiosennym słońcu rośliny.

EPILOG

1 lutego 1991 roku Raul Martinez nie pił. Nie pił, mimo że półtora roku wcześniej, wracając z Marią do metropolii, obiecał sobie, że zrobi to, gdy nadejdzie dzień zagłady. Przez siedemnaście miesięcy, w tajemnicy przed żoną, śnił o tym dniu. Marzył, tak jak tylko potrafią marzyć zaleczeni alkoholicy. A jednak, gdy nadszedł Dzień Zero, postanowił czekać na trzeźwo. Martynika w lutym jest przepiękna. Zresztą piękna jest podobno o każdej porze roku.

Ostatnie dwa tygodnie spędzili ze sobą tu w Saint Pierre jak najwspanialszy kochankowie. Czy była to tylko świadomość nieuchronnego? W końcu cały ten czas przeżyli razem i był to okres naprawdę piękny. Zawsze we dwoje... Wiedząc o nadchodzącym końcu świata, nie zdecydowali się na dzieci.

Opuszczając Europę nie odczuwali lęku. Najwyżej bezbrzeżny smutek. Za dwa tygodnie miała ustać ta mrówcza krzątanina, opustoszeć bulwary i magazyny. Wszystko miało się skończyć.

Na Martynice zapomnieli o zagładzie, wygonili ją gdzieś poza świadomość podczas wesołych dni zabaw, plażowania, nocnych spacerów wśród oszałamiających zapachów i miłości pod kwiatami hibiskusa.

Było jeszcze dość wcześnie. Na opustoszałej brunatnej wulkanicznej plaży leżeli sami. Sami, jeśli nie liczyć ponurej sylwetki wulkanu — mordercy wznoszącej się nad miejscina Saint Pierre. Patrzyli w łamiące się fale i czekali.

Koło południa, daleko na plaży pojawił się drobny przecinek. Przecinek ten rósł i rósł, aby przekształcić się w starszego, utykającego mężczyznę...

— Ależ wybrali sobie państwo miejsce na urlop — powiedział doktor Loser, gdy stanął przy policjantach. — Prawdziwy koniec świata.

— Ma pan jakieś informacje, że Martynika ocaleje? — zapytała Maria.

— Ach ta zapowiadana apokalipsa! — zaśmiał się Loser. — Właściwie powinienem was poinformować od razu. Odwołana!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — Martinez zmienił się na twarzy.

— Że na razie jej nie będzie! Można usiąść koło państwa? — nie czekając na pozwolenie, przykucnął obok nich i wydobyl z teczki kanapkę. — Jesteście pewnie ciekawi, skąd to wiem? Ze źródła!

Opowieść Losera była dość długa. A sprowadzała się do paru istotnych faktów.

Wynalazku futurofotografii dokonano w USA pod koniec lat osiemdziesiątych, ale bardzo prędko polski agent wywiadu na usługach KGB, za równowartość ceny willi w Bel Air i jachtu na przystani w Santa Monica, wykradł całą dokumentację i przekazał do ojczyzny światowego komunizmu. Tam zbudowano prototyp i zaczęto fotografować przyszłość. Okazało się to interesujące, ale całkowicie nieprzydatne. Przyszłość bowiem dawała się fotografować tylko wariantowo. To znaczy, fotografując przyszłość faceta stojącego przed drzwiami z wyprzedzeniem minuty można było otrzymać fotkę, na której otwiera lub nie otwiera drzwi, potem jak idzie w prawo, w lewo, czy prosto. Każda sytuacja miała swe warianty. Futurofot co prawda fotografował przyszłość, ale we wszystkich możliwych wersjach. Milion któraś przynosiła wizję totalnej zagłady. Ale to był tylko jeden z wariantów i to mało prawdopodobny. Zresztą ta apokaliptyczna wersja doprowadziła do zainteresowania się wywiadów pewnym laboratorium na Bliskim Wschodzie, gdzie bawiono się antymaterią. Sprawę nadano komu trzeba i grupka fachowców z Mossadu wyeliminowała tę alternatywę bardzo szybko. Tymczasem radzieccy analitycy dusili się nadmiarem zdjęć. Eksperyment kosztował miliony dolarów, a praktycznie przydatny był tyle co wróżka. Co gorsza, przedstawiając wszystkie możliwości (niemożliwe do racjonalnego zanalizowania), w istocie nie wybierał żadnej. Nie mylił się, ale cóż począć z futurofotem, który na jedno pytanie o kres Michaiła Gorbaczowa dawał ponad miliard wariantów? A tylko jeden mógł być prawdziwy. Futurofot nie nadawał się nawet przy ruletce. Fotografia wyniku gry dawała dokładnie

pięćdziesiąt wariantów. Żeby wycofać choć trochę środków, KGB postanowiło spożytkować zdjęcia w inny sposób. Do badania reakcji ludzi na apokaliptyczne zapowiedzi. Taki był główny sens programu „Foto”, realizowanego przez niezależny zespół w obcym kraju. Miał on odpowiedzieć na pytanie, na ile pokazanie zagrożeń może zmienić postępowanie społeczeństwa? Niektórzy z szefów podupadającej firmy żywili spore nadzieje, że zamęt wywołany fotografiami przyczyni się do uratowania resztek dawnej potęgi mocarstwa. Nadaremnie. Ludzie okazali się odporni. Nie uwierzyli. Zlekceważyli sygnały.

— Dziś Abraham nie znalazłby nawet ćwierć sprawiedliwego we współczesnej Sodomie — zaśmiał się Loser. Nie wybuchła panika ani nie nastąpiły masowe nawrócenia. — A na wyznaczony termin końca świata czekacie tylko wy dwoje.

Martinez uśmiechnął się głupio.

— I dlatego zlikwidowano ten eksperyment naszymi rękami — ciągnął Loser. — A potem imperium zaczęło się kruszyć. Czy ktoś dalej prowadzi program „futorofoto”, czy próbuje go udoskonalić? Nie wiem. Może w USA, może w Chinach? W Rosji i w Europie brak pieniędzy. A swoją drogą, wszystko jest możliwe. Ten wulkan — wskazał głową — jest nieczynny blisko wiek. Ale widziałem zdjęcia z jego świeżym, wybuchem...

Anna i Raul popatrzyli w kierunku stożka... Przez moment zastanawiali się, czy siwy dymek to zapowiedź erupcji, czy praca komina jednej z nielegalnych destylarni rumu usytuowanych na zboczu.

Loser wyciągnął drugą kanapkę. Z tuńczykiem.

NAJWIĘKSZE ZDARZENIE OD CZASÓW ADAMA

Można zapytać: kiedy zwariowałem? Kiedy naukowa ciekawość przemieniła się w szaleństwo? Kiedy puściły wszelkie hamulce, znikło poczucie przyzwoitości, normy moralne, czy wreszcie głęboko zakodowany w każdym człowieku lęk przed przekroczeniem bariery ryzyka? Czy mogę złożyć wszystko jedynie na karb emocji, chwilowej desperacji lub też ekshibicjonistycznie wyznać: zawsze o tym marzyłem?

Instytut Nowej Technologii mieścił się wbrew nazwie w bardzo starym gmachu. Niska, wkopana w ziemię budowla musiała pamiętać czasy profesora Freuda lub Alzheimera, choć w jej wieku o pamięć raczej trudno. Inna sprawa, że dla takiego zapaleńca jak ja, warunki nie odgrywały większej roli. Liczył się program, koncepcja, przyszła sława. Nie można tego powiedzieć o personelu pomocniczym, laborantach, sprzętaczkach. Ci młodzi ludzie, pracujący tu tymczasowo lub odbędniający zastępczą służbę wojskową, leserowali za dnia, nocami zaś oddawali występny orgiom, których ślady były aż nazbyt widoczne nazajutrz. A to chomik zadusił się nałożoną na głowę prezerwatywą albo kompletnie pijane białe myszy pogryzły doświadczalnego kota. Fatalnego piątku, naszym młodym przyjaciółom zabrakło snadź laboratoryjnego szkła (trzymałem je pod kluczem) i użyli probówek umieszczonych na noc w dojrzwarcie. Zrobili to po swojemu, tak przynajmniej zeznali. Najpierw przelali roztwór G-6b-23 i C-8-11 do wspólnej zlewki, następnie raczyli się wysokoprocentowym spirytusem z dodatkiem seven-up, wreszcie — nie umywszy probówek — rozlali na powrót zmieszany preparat, a ponieważ mikstura wyglądała zbyt blado i nieco jej się wylało, szef ochrony dosikał do pełna. Rano, nie podejrzewająca niczego Evvi podała płyn naszym chomikom.

— Al, chodź tu szybko — zawołała mniej więcej w godzinę później. — To po prostu niesamowite...

— Co jest niesamowite?

— Reakcja na odczynnik. Trzy samczyki padły, natomiast samiczka, Ketty... Zresztą, sam zobacz.

Wszedłem do wiwarium i wziąwszy chomika do ręki, zgłupiałem. Ketty, wczoraj dorodna samica, zamieniła się w jeszcze dorodniejszego samca.

Pięciokrotne przesłuchanie personelu pozwoliło mi z grubsza ustalić przebieg wydarzeń. Nawiasem mówiąc, wypłaciłem im premie za pracę w nadgodzinach, ale na wszelki wypadek zwolniłem. Cóż, przypadkiem dokonali odkrycia, nad którym głowiłem się od lat, a doktor Schilling chyba nawet nie wierzył w możliwość powodzenia.

Od pewnego czasu pracowaliśmy nad sposobami regulacji płci u ludzkiego embriona. Oczywiście, metody profilaktyczne są już znane od dłuższego czasu. Nas pasjonowała możliwość terapii hormonalnej, która mogłaby zmieniać płeć płodu (na wymarzoną przez rodziców) jeszcze przed urodzeniem oseska. Naturalnie badania prowadziliśmy w tajemnicy. Organizacje religijne, kościoły, mogłyby nazwać nasze prace niegodziwymi, wbrew naturze, a władze cofnąć fundusze... Władze! Od dłuższego czasu uważałem, że każda władza w całości jest przeważnie głupsza od najgłupszego obywatela, a przynajmniej sprawia takie

wrażenie. Na dobitkę, ostatnio, śmiertelne zagrożenie dla naukowych eksperymentów pojawiło się ze strony rozmaitych Towarzystw Opieki nad Zwierzętami, Ligi Ochrony Królików Doświadczalnych czy Anonimowej Asocjacji Ochrony Białych Myszek. Organizacje te żądały coraz głośniejszych poprawek w konstytucji, które zabroniłyby doświadczeń nawet na szczurach laboratoryjnych. Demokracja, cholera!

Oczywiście to, czego przypadkiem dokonał nasz personel pomocniczy, zostało przeze mnie wkrótce powtórzone, na szczęście analiza spektralna pozwoliła ustalić właściwe proporcje użytych komponentów.

Nie zanudzając czytelnika szczegółami, powiem, że powstał w ten sposób transformator z izotopowym przyspieszaczem. Reakcja, która według moich najśmielszych planów miała zachodzić tygodniami, teraz dokonywała się prawie natychmiast.

Wypróbowaliśmy działanie odczynnika na chomikach, na myszkach, szczurach, królikach, kaczkach. Za każdym razem w oka mgnieniu samiec stawał się samicą, a przy odwróconych proporcjach — samica samcem.

— Możesz sobie pogratulować, władco seksu! — powiedziała do mnie Evvi.

Evvi była szatynką, drobną, smukłą, o nieprawdopodobnie sterczących piersiach i pupce, która wręcz prosiła się o klapsa. Evvi była moją wielką skrywaną miłością, i asystentką doktora Schillinga.

Niestety, traktowała mnie jak kolegę. Jak bardzo dobrego kolegę, nic więcej. Mimo że spędzaliśmy ze sobą godziny, nie potrafiłem wytworzyć między nami owego szczególnego klimatu porozumienia, stanowiącego wstęp do czegoś więcej. Każdy komplement obracała w żart. Wymykała się pieszczocie. Rękę podawała jak kumpel z wojska. Do pocałunku ustawiała się policzkiem. A gdy parę razy próbowałem napomknąć jej o swych uczuciach, śmiała się, mówiąc, bym się nie wygłupiał.

— Masz kogoś, Evvi? — pytałem niekiedy.

— Oczywiście, białe myszki, odczynniki i ulubionych kolegów, takich jak ty — odpowiadała.

Czy mówiła prawdę? Nie miałem powodu, by jej nie wierzyć. Mieszkała z ciotką, kobietą zasad tak surowych, że królowa Wiktoria mogłaby przy niej uchodzić za gejszę.

— Evvi, a może ty jesteś cyborgiem, androidem bez grama popędów?

— Może — odpowiadała tak filuternie, że potniały mi okulary. Do samoczynnego odkrycia doszło 12 października. Pod koniec miesiąca miałem zamiar przedstawić raport i wnioski Schillingowi... Niestety zdarzyło się 22-go. Jak co piątek miałem zaplanowane seminarium w Eastwood. Wyjechałem o drugiej po południu, nieco już spóźniony, ale nie

przebyłem nawet pięciu mil, kiedy zdezelowana pompa paliwowa odmówiła posłuszeństwa. Opodał zółciła się budka telefoniczna. Zadzwoiłem do college'u, odwołując zajęcia, wozem zaopiekował się pobliski warsztat, sam zaś, koło czwartej wróciłem taksówką do laboratorium. Budynek zdążył już opustoszeć. Nie napotkawszy nikogo, dotarłem do naszego skrzydła i już chciałem zawołać Evvi, która uwielbiała przesiadywać w pracy po godzinach, gdy dziwne odgłosy z gabinetu szefa zwróciły moją uwagę. Skrzyp, skrzyp — cisza. Skrzyp, skrzyp — cisza, stłumiony okrzyk...

Drzwi nie były zamknięte. Uchyliłem je i stanąłem jak wryty.

Na olbrzymim fotelu dyrektora klęczała tyłem kompletnie goła Evvi, a na niej spocony i owłosiony jak satyr doktor Schilling, z zapalem wykonywał owe śmieszne ruchy, niegodne dżentelmena.

Cofnąłem się. Zakręciło mi się w głowie tak, że naraz zaatakowały mnie szafy, a zielony chodnik stanął dęba. Myślałem, że zemdleję.

Gdybym nie był tchórzem, a przynajmniej sądził, że to coś pomoże, wróciłbym ze skalpelem i zabił oboje. Niestety, my, intelektualiści, jesteśmy przeważnie introwertykami. Gniew kierujemy do wewnątrz. Poszedłem więc do mojego pokoju, z oczyma pełnymi łez. Nie tamowałem ich. Po drodze spadły mi okulary, zdeptałem je... Świat naraz uczynił się nieostry, pełen przemieszanych plam światła i ciemności.

Jakoś otworzyłem szafę i wyjąłem butlę ze spirytusem. Nalałem sobie pięćdziesiątkę. Wychyliłem. Zapieкло. Ogień przeleciał jak przez komin przez mój przewód pokarmowy. Popiłem wodą z kranu i nalałem następną pięćdziesiątkę. Niewiele pamiętam, ale chyba jeszcze piłem. A czym popijałem? Co było pod ręką. I naraz zrobiło mi się dziwnie. Uderzyła mnie fala gorąca i zimna. Wywinąłem koziołka, światło zgasło i zapadłem się w głąb nirwany...

* * *

— Ale sobie dogodziła, malusia pijaczka — z oddali dotarł do mnie głos. Tak się zapaskudzić, dziewczyno, jak można, jak można...

Głos i ciepła woda. Znałem skądś ten głos. Tylko skąd? Usiłowałem otworzyć oczy, ale światło mnie poraziło. Byłem kąpany. Jak niemowlę. Spływał po mym ciele ciepły, rozkoszny tusz. Czułem, jak czyjaś silna ręka myje mnie pieśczośliwie, poufale...

— Dobrze ci tak, maleńka? Już jesteś czyściutka.

— Gdzie jestem? — mój znajomy głos zabrzmiał piskliwie.

— W instytuciku — zadudnił bas. — Jesteś pewnie tą nową praktykantką, o której mi wspominała Evvi.

— Schilling!

— Mów mi, Davidzie. Wspólna kąpiel zbliża ludzi. — Poczulem delikatne klepnięcie w pośladek.

Przemogłem się, otworzyłem oczy. Zdrętwiałem. Z całościennego lustra patrzyła na mnie bynajmniej nie brodata twarz dwudziestodwujęcioletniego Alberta Turnera, lecz okrągła, dziewczęca buzia rudawej kobiety o niezłym biuście, szerokich biodrach i płomiennym zarostie łonowym.

— Odczynnik z przyspieszaczem zamiast popitki... — przemknęło mi przez głowę jak błyskawica.

Usta Schillinga wycisnęły mi na szyi gorący pocałunek.

— Pan przestanie, ja przecież... — pisałem.

— Co przecież? — chwycił mnie mocno, jakby był imadłem. — Zaręczam, to nie będzie bolało... Jak ci na imię?

— Puszczaj.

— Nie puszczę, dopóki się nie dowiem, jak ślicznotka ma na imię.

— Berta! — odezwała się prawdopodobna część mej natury.

— Bertusia. — Obrócił mnie jak frygę. Był nagi i bardzo podniecony. Ogarnął mnie strach.

— Ależ panie doktorze!

— Daj spokój z tytułami. Łóżko jest najstarszym forum demokracji. Zobaczysz! Chodź! — tu porwał mnie w ramiona i ruszył w stronę służbowej kozetki.

Byłem zbyt zaskoczony i skacowany, aby stawić poważniej opór. W gabinecie nie zauważyłem nawet śladu Evvi.

— Będę krzyczeć — ostrzegałem.

— A krzycz, krzycz sobie, o tej porze nawet psy śpią.

— Poskarżę się szefowi.

— Ja tu jestem szefem.

Jego małpia łapa przesuwiała się po najbardziej intymnych zakamarkach mego ciała. Odczuwałem wstręt... ale i ciekawość. Który z mężczyzn mógł doznawać takich wrażeń jak ja? I nagle patrząc na brodatą twarz Karola Darwina na ścianie gabinetu, pomyślałem sobie, że dla dobra nauki Empedokles wskoczył do Etny, a Ikar zgubił skrzydła. Schilling pieścił

moje uda, brzuch... Czułem narastające drżenie wszystkich mięśni. Wewnętrzna wilgoć. Podniecenie? Tak, mimo wszystko, chyba było to podniecenie.

— Tak, tak — sapał utytułowany satyr. — Zaraz będzie nam tak dobrze, jak się filozofom nie śniło.

Przeturlaliśmy się na kozetce. Z myślą o moim aniele stróżu szukałem kontaktu, żeby przynajmniej wyłączyć światło. Kątem oka dostrzegłem jeszcze raz portret Darwina. Przysięgłbym, że twórca teorii ewolucji zaczerwienił się.

* * *

Jako naukowiec nade wszystko cenię sobie obiektywizm i muszę powiedzieć, że wszelkie legendy na temat seksualnych możliwości doktora Schillinga nie były w najmniejszym stopniu przesadzone. Olbrzymi samiec znęcał się nade mną do białego świtu, wyczyniając bezceństwa na miarę najgorszych opowieści swawolnych pań i panów. W międzyczasie zapadaliśmy w przelotne drzemki, ale nie trwały one długo.

Wszystko jednak ma swój kres. Mocniejszy sen chwycił nas gdzieś o szóstą nad ranem i z jego głębin wyrwał mnie dopiero histeryczny głos Evvi.

— Davidzie, jak możesz!

Ocknąłem się w mgnieniu oka. Schilling zresztą też. Ale nie zdążył powiedzieć ani słowa, gdy smagnęło go uderzenie w policzek.

— Ty świnió! Świnió! — dyszała Evvi. — I to gdzie, w tym gabinecie, na naszej kozetce. Nie przebaczę ci nigdy. Nigdy!

Trzasnęły drzwi.

W głowie mi się kręciło. Ale Schilling już był na nogach.

— Ubierz się, co się gapisz, dziwko! — warknął, rzucając mi jakiś kitel. — I jazda stąd!

Nie było to zbyt sympatyczne podziękowanie za upojną noc. Zniknąłem w głębi laboratorium. Na szczęście, było jeszcze pusto. Znalazłem moje ubranie, którego najwyraźniej pozbyłem się w czasie transformacji, uprzątnąłem ślady libacji i torsji. A potem bocznym wejściem pobiegłem do mego pawilonu mieszkalnego położonego za parkiem. Nikt mnie nie widział. W ręku trzymałem sporządzony parę dni wcześniej antypreparat.

Zamknąłem drzwi i stanąwszy przed lustrem, pociągnąłem dobry łyk. Nie bawiłem się w dawkowanie. W nocy przecież też nie musiałem się nim przejmować.

Preparat był obrzydliwy i cuchnął jak kocie siki. Ale nie mogłem się wahać! Przez moment nie działało się nic, potem poczęły pulsować znajome już fale zimna i gorąca. Poczulem dojmujące bóle, jakby miażdżono mi kości, uderzył zimny pot. Półprzytomny

staralem się jednak nie stracić żadnego z wrażeń. Piersi zaczęły mi się kurczyć jak baloniki, z których spuszczone powietrze. W potwornych bólach przemieszczały się kości miednicy. Upadłem na dywan. Całym moim jestestwem odczuwałem swędzenie, wewnątrz i zewnątrz. Zaczęłem krzyczeć. Odczuwałem coś jak orgazm do szczęścia, jak przypalanie żywym ogniem. A potem przez minutę zaczęła mną targać febra, dzwoniły mi zęby, dygotały wszystkie nerwy... Boże, Boże! Daj umrzeć!

Wszystko skończyło się, jakby nożem uciął. Ból znikł, dygot też. Pozostał pot jak po kąpieli w parafinie. Spojrzałem w lustro. Poza brodą, która nie odrosła, byłem sobą. Stuprocentowym mężczyzną, Albertem Turnerem. Poza tym chciało mi się spać i tylko spać.

Obudził mnie dzwonek. Musiało być dobrze koło południa. Czując jeszcze otumanienie, otworzyłem drzwi.

— Evvi?

— Co ci się stało, Al? Nie przyszedłeś do pracy. Nie odpowiadasz na telefony?

Asystentka Schillinga wyglądała jak zwykle prześlicznie. Tylko intensywniejszy niż zwykle makijaż mógł sugerować, że jest blada i płakała.

— Trochę źle się czuję — mruknąłem. — Znaczący... czułem. Ale chyba jest już dobrze.

Stała na progu i rozglądała się niepewnie.

— Mogę wejść?

— Oczywiście.

Zrobiła parę kroków, poprawiła włosy przed lustrem, potem zaczerpnęła powietrza, odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. Zacerwieniłem się.

— Parę dni temu pytałeś mnie, Al, czy kogoś mam?

Skinąłem głową i chyba zarumieniłem się.

— Wtedy wykręciłam się jakimiś głupotami. Ale dziś wiem, że powinnam odpowiedzieć zupełnie inaczej. Nie mam, ale chcę mieć. Kogoś uczciwego, stałego w uczuciach i naukowego pasjonata, jak ja.

Objęła mnie i pocałowała.

Nie był to pocałunek wymuszony. Przeciwnie, zawarta w nim była szaleńcza desperacja, chęć rekompensaty (domyślałem się powodu) i smak miętowej gumy do żucia.

— Kocham cię, Al — powiedziała. — Bardzo cię kocham!

* * *

Nastał chyba najpiękniejszy okres mego życia. Miłości i pasji. Miłością była Evvi, pasją (ściśle naukową) docent Schilling.

Używałem swej cielesnej substancji jako materiału doświadczalnego z coraz mniejszymi oporami. Czyniłem to wszak dla dobra nauki. Nie przeczę, żal mi było trochę Schillinga. Przeżył mocno rozstanie (jak się okazało definitywne) z Evvi. Choć, dzięki mnie, mówię to bez fałszywej skromności, bardzo szybko doszedł do siebie. W jego mniemaniu byłem młodą zadurzoną w nim praktykantką, która odwiedzała go w jego apartamencie i podobnie jak Evvi nie miał pojęcia, że nasz wynalazek został wypróbowany na ludziach. I to ze znakomitym skutkiem.

Byłem z siebie dumny, gdyż wśród erotycznych uniesień nie zapomniałem ani na chwilę o naukowym posłannictwie — sporządzałem notatki, a jeśli tylko mogłem, dokonywałem odpowiednich pomiarów.

Niestety. Sprawy nigdy nie idą aż tak dobrze, żeby nie mogły pójść źle. Moje doświadczenia były już na ukończeniu i dzień, w którym transformator płci mogłem przedstawić światu w kwartalniku „Male and Female”, zbliżał się wielkimi krokami. Ponieważ chciałem przedstawić dzieło gotowe, wszechstronnie sprawdzone, nie zaniedbywałem niczego.

Nie wziąłem jednak pod uwagę złej woli ludzi i potencjalnych komplikacji związanych z moim podwójnym życiem.

Czy sprawcą przecieku był ktoś ze zwolnionych laborantów, czy zawistny, podglądający nas naukowiec? W każdym razie wieść o eksperymentach zmiany płci u zwierząt, w zwulgaryzowanej formie dostała się do prasy, miejscowa telewizja zaatakowała Schillinga, a po kazaniu w tutejszym kościele tłumy ludzi obiegły Instytut. Doktor, na swoje szczęście, uciekł. Ja wraz z Evvi przebywałem akurat daleko, u jej rodziców i tylko z popołudniowych dzienników mogłem dowiedzieć się o prawdziwej katastrofie. Atak na instytut, dewastacja, pożar...

Kiedy przybyłem na miejsce, zastałem jedynie okopcone zgliszcza. Wszystko przepadło, odczynniki, notatki, dyski komputerowe z wzorami i reakcjami...

Nagle znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Oczywiście, znając teoretyczne podstawy i pamiętając z grubsza zasady doboru komponentów mógłbym pokusić się o odtworzenie obu odczynników, potrzebowałbym jednak na to laboratorium, czasu i pieniędzy.

Władze niestety cofnęły wszelkie dotacje dla naszego ośrodka, Schilling wyparł się wszystkiego, mnie zwolnił. W środowisku byłem skończony. I to wyłącznie za samą teorię oraz za doświadczenia ze zwierzętami. Mój Boże, gdyby domyślono się całej prawdy! W tych

czarnych dniach jedyną osłodą była mi Evvi. Wierna, kochająca, czuła, znalazła pracę w jakiejś prowincjonalnej szkole i nadal była gotowa mnie poślubić. Czy zapomniała o Schillingu?

Którejś nocy miałem dziwny sen. Śniło mi się, że jestem lampartem trenującym wysoko na cyrkowym trapezie, smaganym co jakiś czas przez tresera. Kołysałem się coraz szerzej, wyżej...

— Co ci jest, kochany!

Obudziłem się zlany potem. Nade mną pochylała się twarzyczka Evvi. Nieba za oknem różowiało.

— Nic, nic, jakiś głupi sen — wymamrotałem. Pocałowała mnie i musnęła nóżką pod kołderką. Szelma, bardzo lubiła kochać się o brzasku. Obróciłem się do niej...

— Albercie. Co się dzieje z twoimi piersiami?

— Zapaliła światło i odrzuciła kołdrę. Jej twarz skurczyło przerażenie.

— Albercie, co się stało, jesteś kobietą!? A może to twoja siostra?

Popatrzyłem po sobie ogłupiały. Miała rację. Uciekłem. Uciekłem tak jak stałem, narzuciwszy na siebie płaszcz i schwyciwszy teczkę. Za dużo musiałbym tłumaczyć, o sobie, o Schillingu.

Nie miałem dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Znikąd pomocy. Za resztki gotówki nabyłem jakieś babskie fatalaszki. I błąkałem się po mieście, z przerażeniem myśląc o przyszłości. Najwyraźniej częste transformacje zakłóciły działanie mego organizmu i teraz zmiana nastąpiła samoczynnie.

Po drugiej nocy spędzonej na dworcu, nieustannie nagabywany przez facetów, pomyślałem o Davidzie Schillingu. Jeśli zachował resztki dawnego sentymentu, mógłby mnie przyjąć do pracy w swoim nowym laboratorium. Może po godzinach udałoby mi się odtworzyć preparat...

— Bertuniu! Jak się cieszę, że wróciłaś? Gdzie moje maleństwo podziewało się przez tak długi czas — doktor przywitał mnie z otwartymi ramionami.

Niestety, nie był to dobry pomysł.

Już trzeciej doby w środku nocy, samoczynnie rozpoczął się proces odwrotny. Schilling najpierw wpadł w osłupienie, potem wymyślając mi od homoseksualistów i hermafrodytów, pobił i wygonił...

Zaczął się jeszcze gorszy okres mojego życia. Egzystencja włóczęgi. Zmieniałem miasta i dworce, doraźnie próbowałem pracować. Bez przerwy musiałem się kontrolować, a i tak pewnego razu transformacja chwyciła mnie nad pisuarem w męskiej toalecie...

Jednak, gdzieś po trzech miesiącach uspokoiło się. Organizm powrócił do normy. Znów byłem mężczyzną. I chyba miało już tak zostać. Odczekałem jeszcze dwa tygodnie i dałem się odnaleźć prywatnemu detektywowi Evvi. Potem wszystko jej wytłumaczyłem. Zrozumiała. Wybaczyła. A nawet była dumna.

Inna sprawa, że chyba wróciła do swych paskudnych kontaktów z Schillingiem. Dostałem ponownie pracę w dziale przekształcania ssaków drapieżnych w trawożerne.

I tak żyliśmy w trójkącie przez następny miesiąc. Nadszedł jednak dzień próby. Bardzo trudny dla mnie dzień. Akurat wróciłem do domu trochę później i zastałem Evvi przy prasowaniu bielizny Schillinga (a przy okazji mojej).

— Musimy porozmawiać — rzekłem, siląc się na spokój. — Właśnie wracam od doktora Hoffmana.

— Ty też do niego chodzisz? — zdziwiła się

— Tak! Powiedział mi bardzo ważną rzecz. Ale wpierw usiądź.

— Coś niedobrego?

— Nie wiem, będziemy mieli dziecko.

— Co ty mówisz? To cudowne — rozpromieniła się. — Tylko dlaczego Hoffman nie powiedział tego mnie, gdy byłam u niego na badaniu kontrolnym w zeszłym tygodniu?

— Bo to nie ty będziesz je miała, tylko ja!

I co powiecie, drodzy państwo, na to? Czy nie jest to pełne wariactwo? Płód ma już ósmy miesiąc. Niby jestem stuprocentowym mężczyzną, ale wyglądam, jakbym połknął czołg. Podobno nie obejdzie się bez cesarskiego.

Schilling, kiedy się mu się żalę, powtarza:

— To ty miałaś uważać, Berto, nie ja!

Zaś Evvi zapewnia, że będzie kochać maleństwo jak swoje. Tak to się mówi. Jak swoje? Ale piersią nie nakarmi.

Z dnia na dzień odczuwam coraz większy strach. Wszelako nie bez domieszki ciekawości. W końcu będzie to przecież największe zdarzenie na Ziemi od czasów Adama.

— Masz go?

— Na czwórce. Chwytnak gotów?

— Gotów. Uważaj tylko, żeby nie zrobił żadnej sztuczki.

— Nic nie zrobi!

— Zostało nam 59 sekund.

— Wystarczy...

Nośnik wykonał półobrót, od celu polowania dzieliło go nie więcej niż piętnaście metrów. Pościg trwał już około kwadransa, ale dopiero teraz udało im się podejść tak blisko. Ścigany, mężczyzna koło trzydziestki, o ogorzalej twarzy, w mocno znoszonym skafandrze i elektromagnetycznych butach, przywarł u dolnego wspornika szesnastej gałęzi. Gdyby przed chwilą skręcił w prawo, mógłby zanurkować w kanał wentylacyjny, poszedł jednak w lewo i praktycznie stracił ostatnią możliwość ucieczki. Zresztą, i kanał okazałby się pułapką. Trzech komandosów — gałęźnych z drugiej jednostki, którzy przed pięcioma minutami wylądowali na szesnastce, czekało na niego cierpliwie przy komunikadzie.

— Uwaga, przełączam na program!

— Jest program!

Dowodzący TUP–er postępował rutyniarsko. Mając przestępcę jak na widelcu i mogąc rąbnąć go „z rękawa”, wołał jednak powierzyć rozgrywkę automatowi. Wiadomo, komputer w walce jest szybszy, wyprzedza ludzkie reakcje, a więc praktycznie nie można przed nim uciec. Ścigany chyba pojął beznadziejność swojej sytuacji, splótł bowiem ręce na piersiach w geście rezygnacji. Jasność i mrok! Paroksyzm destabilizacji wstrząsnął nośnikiem, a tablica kontrolna oszalała od sprzecznych impulsów. Wytracony z kursu statek powietrzny wykonał zdumiewającą bączkę i jak kamień zaczął spadać w dół, wymijając cudem piętnastą i czternastą gałąź. Na szczęście młodszy TUP–er nie stracił zimnej krwi i po paru sekundach przerzucił na program sterowania ręcznego. Po kolejnej sekundzie wyprostował maszynę i znów przyjął kurs do góry.

— Bydlę użyło cyberłomu! — warknął dowódca.

— Czego? — zapytała posiniała ze strachu panienka z Konwentu Miejskiego, towarzysząca ekipie. (Po co, u licha, wsadzają do załóg takie dupeczki, zaraz pewnie zaczną wymiotować?).

— Cyberłomu — wyjaśnił w miarę spokojnie. — To małe, proste, przyjemne urządzenie, powodujące parosekundowy paraliż systemu komputerowego, a także bezapelacyjne zniszczenie ostatnich zapisów.

— Przecież takie urządzenia są zakazane. Dowódca zdusił śmiech.

— I owszem, dlatego ścigamy takich typów jak ten... „Hobbysta”! — dorzucił z pogardą. — Wróg publiczny numer jeden.

— Dochodzę do szesnastki — powiedział młodszy TUP-er.

— To bez znaczenia, wiesz przecież...

Na pulpicie zapłonęło trójbarwne światełko.

— Służba skończona, służba skończona... Over! Przejmujemy wasze zadanie, ERS przekaże program — powiedział głos z centrum.

— Weźcie zapis z matki, ścigany dysponuje cyberłomem, zniszczył naszą pamięć...

— Sporządźcie w tej sprawie faktogram.

— Okay. Wychodzę.

Zmienili kurs i ruszyli w górę pnia. Po chwili minęli snobistyczną siedemnastkę z jej tarasami i lokalami, następnie osiemnastkę „parkową”, dziewiętnastkę plaż, basenów i wreszcie dwudziestkę — gałąź wyłącznie dla największych szych i multiprofitowców. Wyżej rozciągało się już tylko niebo. Na wysokości dziewiętnastki minął ich nośnik ERT pilotowany przez starego Grooda, który przez najbliższą godzinę miał strzec spokoju i porządku Górnego pnia Numer 11. Natomiast ERS po skończonej służbie ochoczo pomknął w stronę głównej bazy TUP-u. Trade-Union-Police. Nieustraszonej policji związków zawodowych.

— A co się stanie z tym człowiekiem?! — zapytała panienska z KOM-u.

— Zajmie się nim ERT, jeśli wcześniej nasi piesi komandosi go nie dorwą. A to są chłopaki kompletnie bez poczucia humoru.

— Kiedy mają zmianę?

— Za kwadrans. Ale to im powinno wystarczyć. Była godzina 18.30, 5 maja 2188 roku.

* * *

Mart uśmiechnął się, widząc, co się stało z nośnikiem. Nie zamierzał jednak czekać na następny atak. Błyskawicznie zwolnił elektromagnesy butów i ześlizgnął się ze wspornika. Poleciał głową w dół. Gwałtownie zbliżyła się i zgęstniała gigantyczna pajęczyna miasta. Pnie pionowych alei, z których wyrastały obrotowe gałęzie ulic, obrośnięte owocami, czy jak kto woli listowiem mieszkań i punktów produkcji. A wszystko skąpane w słońcu i ciepłe. Nie

opodal dalej, na wysokości czternastki rzucił magnetkotwę, która przyssała się do tworzywa pokrycia. (Oczywiście słowa elektromagnes używamy umownie; był to kompletnie nowy rodzaj tego urządzenia, przyciągający najrozmaitsze, ongiś rzekomo niemagnetyczne tworzywa). Gwałtownie poczęła wysuwać się linka przeciągnięta przez karabińczyk, z opóźniaczem wyhamowującym tempo spadania. Po dwustu metrach Mart znieruchomiał. Teraz mógł wyłączyć silniczek, który zwijając linę, wyciągnął go na dach czternastki. Uniwersnożem przeciął tworzywo pokrycia i warstwy izolacyjne. Potem rozchylił je tak, jak gdyby chciał wypatroszyć wieloryba. Wskoczył do wnętrza. Puszczono tworzywo opadło z lekkim plaśnięciem, po czym masa zablizniła się sama. O metr obok znajdował się czujnik antyzłodziejski, Mart leciuteńko przygłuszył go cyberłomem. Potem szybko zdjął kombinezon, który po wywróceniu na drugą stronę dał się bez trudu przekształcić w torbę podróżną. Następnie uciekinier zdjął z szyi cyberłom, zzuł ciężkie elektromagnetyczne kalosze i wrzucił wszystko do środka torby, którą zapiął. Niepiesznie wyszedł na komunikadę. Bystrotrotem sunęli nieliczni pasażerowie. Dołączył do nich. Po pięciu minutach znalazł się przy alei pionowej. Podszedł do najbliższego pneumostu. Wybrał numer przechowalni z jedenastej gałęzi piątego pnia i wystukał indywidualny kod bagażu. Po minucie jego zdeponowana walizka zjawiała się na miejscu, a zbędna torba podążyła do przechowalni. Z kieszeni wyciągnął jedną z doskonale podrobionych plakiet identyfikacyjnych. (Oj, trzeba chyba będzie sporządzić parę nowych), po czym wszedł do windobusu podążającego w górę. Każdy uciekinier pragnąc się ukryć, pojechałby do Korzeni lub Kretowisk. Ale nie Mart. Z rozmysłem wybrał siedemnastkę. Miał tam zresztą pewną sprawę do załatwienia.

* * *

W garderobie cumowniczej Liba spojrzała w lustro. Lustro w rewanżu spojrzało na nią. „Matka Boska Egipcjanka” — tak ochrzczono ją podczas pierwszego dnia pracy w KOM—ie. I przylgnęło. Rzeczywiście, miała urodę trochę cygańską. Podobała się mężczyznom. Mniej sobie samej. Puściwszy cześniki — cztery podobne do chrabąszczy grzebienio—wibratory — w swoje niezwykle bujne włosy, przykneła, oczy i wróciła myślami do ostatniego rejsu. Jej pierwszego lotu akcyjnego.

Liba były niesłychanie dumna ze swojej pracy w KOM—ie. Załatwiła ją przez duże znajomości, nie bez pomocy Evy, dla której nie było rzeczy niemożliwych. Kochana Eva, nie uwierzy, kiedy jej opowie. To było straszne, ale jakże zajmujące. Naprawdę Libie się udało!

Mieć pracę i to tak ciekawą, jak asystowanie operacyjnym grupom TUP-u. Zazdrościły jej tego wszystkie koleżanki. Ileż z nich byłoby szczęśliwymi mogąc tu pracować, choćby raz w miesiącu. Liba, z dwoma godzinami tygodniowo, należała do wyjątkowych szczęściar. Inna sprawa — wiele kobiet godziło się z bezrobociem. Mężczyźni znosili je gorzej. Na szczęście łatwiej też znajdowali zajęcie. Czy to w TUP-ie, czy w którejś ze służb nadzoru, w polityce lub showbiznesie.

Wyjątkowi farciarze znajdowali pracę w Programach Kosmicznych lub w służbie granicznej.

— Oto sukces tej choleralnej ekonomii! — Libie ciągle przypominał się głos ojca, który zdenerwowany czymkolwiek, wsiadał na swego ulubionego konika i uspokajała go dopiero puszka solidnego syntetycznego piwa o niepowtarzalnym aromacie Pilsnera. Wyratowali go dwadzieścia lat temu, gdy automaty zastąpiły ostatnich barmanów. — I komu to przeszkadzało? — darł się stary Rynn.

Ano, przeszkadzało. Automatyczny barman był tańszy i sprawniejszy, bardziej nowoczesny. A społeczeństwo hołdujące zasadzie optymalizacji nie miało już wyboru. Kolejne rządy dochodziły do władzy pod hasłem skracania czasu pracy. Następnie je przelicytowywały. Na każdym kroku automaty okazywały się lepsze, tańsze, wydajniejsze. Opłacało się dawać ludziom zasiłki, byle tylko nic nie robili, nie utrudniali, nie psuli.

Jeżeli w ogóle zostało coś do roboty, należało to zawdzięczać politykom z ugrupowania „Bordowych”. Zorientowali się w porę, że całkowite pozbawienie człowieka zajęcia wpędza go w permanentny stres, wywołuje głębokie frustracje, zwiększa przestępczość bez powodu i choroby psychiczne. Toteż ustalono pewne robocze minimum, aby większość mogła być raz w tygodniu, miesiącu lub kwartale przydatna społecznie. I choć było z tym więcej kłopotu niż pożytku, konflikty zelżały. Ba, pozwolono również starym jajogłowcom bawić się w naukę, twórcom tworzyć, kompozytorom komponować, chociaż wiadomo, że osobniki nawet o talencie Rembrandta czy Mozarta przegrywają z byle maszyną typu GENIO.

Nie wszyscy się z tym godzili. Ale posiadacze pracy skrzętnie bronili jej ze wszystkich sił. Związki Zawodowe, chroniąc swych członków, powołały nawet policję (TUP), której zdaniem było tropienie wszystkich podejrzanych o pracę „na czarno” i surowe karanie sprawców. Oczywiście „na czarno” mogli pracować tylko maniacy, ponieważ konkurencja automatów czyniła taką działalność wręcz charytatywną.

Ale kryminaliści żerowali na snobach. I mimo, że pedikiurzystka — człowiek, pod względem sprawności miała się do automatu jak maczuga do lasera, wiele elegantek za cel stawiało sobie obchodzenie przepisów i korzystanie z usług tych niekonwencjonalnych

amateerek. Konwencjonalnych też żyło parę (choćby dla KONWENTU KONWENTÓW), ale te znów były tak pioruńsko drogie, że nawet w rodzinie Miliardników portfel pocił się na samą myśl o takim wydatku.

Tymczasem do garderoby zajrzał Mennarr.

— Hej, maleństwo! — zawołał i wszedł bezceremonialnie. Liba poczuła gęsią skórkę. Nigdy nie potrafiła zrozumieć takich obleśnych typów, jak ten wiecznie spocony albinos. Jak można było być erotomanem w dobie rozkwitu technik holo i biowizji, gdzie cielesne obcowanie z fantomami mogło zadowolić najbardziej wyrafinowane gusty seksualne. Ponadto, jako dobrze sytuowany urzędnik TUP-u, Mennarr miał dość środków zarówno na wivki, jak i dziwki.

Kiedy bezceremonialnie złapał ją za biust, wykonała półobrót i rzuciła lubieżnikiem o elastyczną ścianę.

— No, no, co tak mocno dzisiaj? — powiedział zaskoczony.

Kopnęła go w twarz, potem w podbrzusze, a kiedy zawył, wywaliła za drzwi.

— Czyś ty naprawdę zwariowała? — zawołał, umykając. Mennarr, rzecz jasna, należał do masochistów. Lubił brać w skórę. Istnieją jednak jakieś granice. W trakcie zadawania ciosów cześniki pospadały z głowy Liby i — ku największemu zdziwieniu dziewczyny — opadły na fotel, masowały same siebie. Zboczenie automatów, do tego już doszło?!

— Narry — zawołała po chwili — chodź tu!

Wszedł przygarbiony, gotowy do odparcia następnego ciosu.

— Słyszałeś o naszej dzisiejszej akcji?

— Śledziłem na monitorze.

— Co to był za człowiek? Ten, którego ścigaliśmy? Wzruszenie ramionami.

— Wybierz informogram, znasz przecież klucz do archiwum. To akurat nie podlega utajnieniu.

Wydruk nieco ją rozczerował. Niewiarygodne, że w dobie pełnej informacji można było równie mało dowiedzieć się o człowieku.

Mart (nazwisko nieznane) urodził się gdzieś na Pograniczu. Za Pograniczem przemawiała również sprawność fizyczna, nie do pomyślenia u ludzi z miasta. Wskazywały na to jego rysy i lekko śpiewny akcent. Musiał mieć około trzydziestu lat. Od pięciu lat poszukiwany był za rozmaite przestępstwa przeciw prawu pracy. Nie istniały żadne dane o jego dzieciństwie, wykształceniu. Po raz pierwszy niepokojące sygnały dotarły z czwartej metropolii przed pięcioma laty. Mart prowadził wówczas domokrężny warsztat naprawczy wszystkiego. Reperował wiekowe budziki z XX-wieku i stare elektroniczne biowizory. Było

to absolutnie zabronione. Stary sprzęt, z wyjątkiem egzemplarzy uznanych za muzealne, ulegał niszczeniu po określonym czasie użytkowania, niezależnie od tego, czy był w pełni sprawny, czy nie. Zatrzymywanie gratów było „przestępstwem przeciwko produkcji”. Tworzyło sytuacje kryzysogenne. Mart żerował na psychicznej ułomności ludzi, którzy mimo odpowiedniej edukacji przyzwyczajali się do starych sprzętów, nawet jeśli były już przestarzałe, zawodne i estetycznie obrzydliwe.

Szczególnie wredni bywali starcy, którzy ukrywali podczas dorocznych kontroli dawne wyroby, tłumacząc, że się zgubiły lub zniszczyły. A potem czekali na Marta lub jemu podobnych wyrzutek. Majsterkowicz był początkowo jedynie ostrzegany. Potem parokrotnie konfiskowano mu warsztacik. Wreszcie miarka się przebrała. Został ujęty i odstawiony do Ośrodka Reeducacji.

Liba miała niewielkie pojęcie o tym osnutym grozą obiekcie, na jego temat krążyły najfantastyczniejsze legendy. Często sprzeczne. Jedno było pewne; nikt po zabiegach nie wychodził z niego sobą. Patologiczni mordercy mogli potem niańczyć niemowlęta, wrogowie systemu występować w charakterze społecznych agitatorów.

Mart przetrzymał pierwszą serię. Co więcej, w trakcie terapii wykonał bliżej nieznaną zabieg, który sprawił, że zaaplikowany program jeszcze go wzmocnił. Zamiast konformistą został zdeklarowanym buntownikiem. Potem uciekł i przez trzy lata nie zarejestrował go żaden czujnik. I dopiero teraz...

Liba zadawała sobie pytanie, dlaczego tak zainteresował ją ten człowiek? Widziała go przez krótką chwilę, on nawet nie mógł jej zobaczyć. A przecież interesował ją stokroć bardziej niż mdła zgraja funkcjonariuszy KOM-u czy nieokrzesani TUP-erzy. Dlaczego Mart się buntował? Czego naprawdę poszukiwał? Na wideogramach miała odtworzoną sylwetkę zbiega — nieruchomą i w ruchu, ubraną i nagą... Nie drażniła jej ani szrama na twarzy, ani niemodna dziś muskulatura. To był ktoś ciekawy.

— Jaka szkoda, że nigdy z nim nie porozmawiam! — westchnęła.

* * *

Grood nie krył wściekłości. Uciekinier przepadł. Wszystkie czujniki ERT-a przeszukujące przestrzeń wokół pnia milczały. A przecież policyjne autorytety zgodnie stwierdziły, że sztucznym zmysłom TUP-u nie można uciec. Podczas pościgu automaty zebrały całą gamę informacyjną Marta — w programie przekazanym „matce” zakodowano jego wideogram, ruchy, falę bioenergetyczną, zapach, częstotliwość oddechu. Przed nośnikiem, wyposażonym w taki program nie było ucieczki. Czujniki istniały praktycznie

wszędzie. A jednak złoczyńca zniknął. Czyżby jego elektroniczny wizerunek został sfalszowany?

Gorycz przepęliła serce funkcjonariusza, ci z ERS-u już go prawie mieli. Gdyby nie rygorystyczne regulaminy domagające się nieprzedłużania czasu pracy, pościg mogliby kontynuować ci, co zaczęli, a tak... Grood zaklął:

— Jesteśmy więźniami własnych przepisów!

Oczywiście wierzył, że prędzej czy później któraś z załóg dostanie Marta; kolejne porażki (w ciągu trzech dni zdarzyło się ich już parę) powiększały zasób informacji na temat zbiega. ERS na własnej aparaturze przekonał się, że zbrodzeń dysponuje cyberłomem, następnym razem jednak ścigający nie popełnią błędu automatyzacji pościgu. A centrala obiecywała nowe rozwiązania.

Dopiero po dziesięciu minutach dostrzeżono bliznę w powłoce zewnętrznej gałęzi. Uniwersnóż był zatem kolejnym sprzętem, jaki miał na wyposażeniu ścigany.

Komputery, które otrzymały problem do rozwiązania — podobnie jak ludzie — postawiły jedynie kilka znaków zapytania. Dlaczego Mart wyszedł z ukrycia właśnie teraz, czego szukał w arbopolis nr 11 i co jeszcze mogło ich spotkać z jego strony?

Grood miał wrażenie, że Centrala może wiedzieć coś więcej na jego temat, ale nie kwapił się z zadawaniem pytań.

— Najchętniej kropnąłbym sukinsyna! — asystent Berri zwerbalizował marzenie dowódcy.

— Co pan mówi?! — obruszyła się milcząca dotąd asystentka z KOM-u.

— Żartuje i tyle — usprawiedliwił go Grood. — Prędzej czy później Ośrodek Reeducacji dostanie go całego i zdrowego.

* * *

Pułkownik Virder Boddox wyszedł z kabiny odświeżającej.

Stał przed sferolustrem i z zadowoleniem obserwował ze wszystkich stron swoje osiemdziesiąt pięć kilogramów dorodnego samczego mięsiwa. Patrzył na brodatą twarz, herkulesowe ramiona — wynik po części stosowania odpowiednich odżywek, po części dzieło genetyków — na skołtunione włosy na piersi, w które lubiły nurkować lekkie, łatwe i chętne panienki rozrywkodajne. Pułkownik wołał wprawdzie amatorki od profesjonalistek, ale surowe zasady Kosmicznego Zakonu nie zezwalały na mieszanie się z pospółstwem. Od

najmłodszych lat kandydaci Programu hodowani byli wedle innych od powszechnie obowiązujących reguł.

Ich celem było nie przetrwanie w królestwie konsumpcji, ale otwieranie nowych horyzontów. Tam w kosmosie, a nie na zagęszczonej i ciągle podzielonej Ziemi, czekało JUTRO. A ci, którzy mieli je zdobyć, musieli się do tego należycie przygotować.

Co tu jednak mówić o jutrze? Dziś, przed wylotem musiał się odprężyć. Ostatni kawalerski wieczór. Coś jednak mu się od życia należało!

— Idziesz, malutki? — zabrzmiał głos Evy. — Czekam!

Boddox uniósł impulsator, wyrafinowane narzędzie sadomasochistów i wszedł do sypialni.

* * *

Cokolwiek by się nie rzekło, schyłek XXII wieku należał do okresów niebywałego wręcz rozrostu wolności i demokracji. Człowiek, dzięki postępowi nauk, stał się nie tylko pełnym panem natury, ale również siebie. Rodzina — jako twór sztuczny i niefunkcjonalny — rozpadła się. Istniała oczywiście w sensie prawnym, jednakże poza nazwą nie istniały właściwie zobowiązania rodziców wobec dzieci czy dzieci wobec rodziców. Wszystko zapewniały agencje ubezpieczeniowe, a Karta Praw Dziecka pozwalała, praktycznie od dwunastego roku życia, na pełną samodzielność. Naturalnie, jeśli ktoś nie gustował w terminowym konkubincie i chciał mieć stałą żonę, mógł ją posiadać, a nawet kilka — istniało wszak wielożeństwo, poligamia, poliandria, nikogo też nie dziwiły związki homoseksualistów. Ani to, że miewali dzieci. (U partnera biernego potrafiło już pobierać geny żeńskie i tworzyć homunkulusów posiadających cechy obu partnerów). Naturalnie kwitła dobrowolna eutanazja — życie trwało teraz dość długo (do stu pięćdziesięciu lat albo dłużej), więc każdy mógł je dobrowolnie skracać. Istniała też eutanazja przymusowa, ale wymagała stuprocentowej zgody całej rodziny pacjenta do czwartego stopnia pokrewieństwa i — jak twierdziły mass media — nie była nigdy stosowana pochopnie.

Za to Akt Intymności z 2105 roku zapewniał nienaruszalność mieszkań, toteż aparatura podsłuchowa i podglądowa instalowana była wyłącznie na żądanie właścicieli. Jedni instalowali ją z lęku przed złodziejami, inni dla perwersji. Głównym problemem Marta było rozróżnienie na pierwszy rzut oka rezydencji będącej — lub nie będącej — pod kontrolą.

Wspomniane wolności oczywiście ograniczały pewne fundamentalne prawa. Prawo do Pracy, Prawo Własności Rzeczy Nowych — które pozostawało trwałym fundamentem systemu i Kodeks Miłości. Pod tą eufemistyczną nazwą krył się dawny kodeks karny, chociaż

poza grzywnami (symbolicznymi, żadna bowiem kara nie mogła naruszyć standardu ekonomicznego skazanego) istniał tam właściwie jeden rodzaj wyroku. Wychodząc z założenia, iż przestępstwo jest chorobą — schwytani mordercy, gwałciciele, włamywacze lub anarchiści kierowani byli do Ośrodków i wychodzili stamtąd całkowicie odmienieni. To prawda, wielu z nich po krótkim czasie sięgało po luksus dobrowolnego samobójstwa — ale i tu Usługi szły na rękę swym klientom. Autolikwidatornie zapewniały szeroki wachlarz bezbolesnych sposobów usunięcia się ze świata, od samotniczej eliminacji, po harakiri, mało kłopotliwe dzięki współpracy wykwalifikowanych robotów–anestezjologów, dysponujących szerokimi możliwościami miejscowych zniczuleń. Staranne planowanie urodzin i kontrola nad płodem sprawiała, że większość dzieci rodziła się dokładnie takimi, jakimi zaplanowali je rodzice; stanowiły ich repliki albo odwrotnie — przeciwieństwa.

Jeśli w tym wszystkim istniały jakieś wylomy, winowajcą była ciągła niedoskonałość natury ludzkiej, która nie do końca poddawała się inżynierii genowej oraz tradycjonalizm niektórych obywateli, wychowywanie dzieci w domu lub co gorsza, edukowanie ich na konserwatywnych wzorcach. Były też dwa marginesy ultrapostępowego życia: Korzenie i Pogranicze.

Od czasu zwycięstwa oszczędnych technik i powstrzymania ekologicznego regresu, nowy wspaniały świat oderwał się od tradycyjnych naziemnych struktur. Poszedł wzwyż. Ogromne miasta w formie gałęzi, czasem przypominające strukturalne modele cząsteczek, sięgnęły wysoko w niebo, korzystając hojnie z energii słonecznej. Wszystkie segmenty obdzielane były nią równo, dzięki obrotowości struktur. Światło to nie gasło nigdy — nocą zawieszono w kosmosie lustra przejmowały funkcje słońca.

Dwudziestowieczne miasta praktycznie nie istniały, niewielka ich część tworzyła żywe skanseny zamieszkane przez zbzikowanych tradycjonalistów, większość zniwelowano, splantowano i pokryto roślinnością, to znaczy najróżniejszymi koloniami upraw — glonów, planktonu, grzybów i tym podobnych świństw dostarczających wysokokalorycznego pożywienia.

Atoli w wielu miejscach pozostało swoiste inferno — świat Korzeni i Kretowisk, częściowo przeznaczonych na magazyny, częściowo zapomnianych. W tych enklawach gnieździli się rozmaici łotrzykowie, wyrzutki społeczne, które uszły przed reedukacją, dewianty i imbecyle, których miłość rodzicielska uchroniła przed eutanazją. Świat ten zapewne z łatwością można by wykorzenić, aliści Władze (Konwent Konwentów) tolerowały go z paru powodów. Po pierwsze, demokratycznych, po drugie, manipulacyjnych (trzeba było

czymś straszyc społeczeństwo), po trzecie beletrystycznych. Gdyby nie podziemie, twórczość sensacyjno–rozrywkowa nie miałaby prawie żadnej pożytki.

Inna sprawa, że o ile dostanie się na sam dół nie nastęczało specjalnych trudnośc (była przeciez wolność), o tyle powrót, dzięki systemowi wentyli, graniczyl z nieprawdopodobieństwem. Bariera czujności biologicznej wykluczala przeciśnięcie się wirusa, a co dopiero człowieka (choć w roku 2176 w szóstym pniu pojawila się nieoczekiwanie horda szczurów). Nawet oficjalne ekspedycje z upoważnienia Konwentu penetrujące Kretowiska miały kłopoty z powrotem. Jedna — dzięki pomyłce komputera, który wykasował informacje na jej temat — przez trzy lata kołatała u podnóża, zanim ktoś na górze sobie o niej przypomniał. A Pogranicza? Tu trzeba sięgnąć do historii. Dwudziesty pierwszy wiek nazwano erą „ziemskiej konfrontacji”, przy czym nie była ona prostą kontynuacją rywalizacji dwudziestowiecznej. Świat w efekcie lokalnych konfliktów rozpadł się na dwie części. (Dwie nierówne połowy — jak pisali ówczesni kpiarze). W pewnym stopniu Północ i Południe stanowiły ciąg dalszy dawnego podziału na biednych i bogatych — na kraje surowcowe i wysoko — technologiczne. Wielki kryzys surowcowy dekady 2015–

2025 miał w zamyśle wielkich karteli producentów ropy, uranu, miedzi, cynku i aluminium zdusić Bogatych. W istocie zapoczątkował, czy raczej przyspieszył rewolucję antysurowcową. Przełom w energetyce, przestawionej na energie naturalne — słoneczną, ciepło wewnątrzziemskie, wiatry, pływy i w mniejszym stopniu atom — zadał cios eksporterom ropy. A Konwencja z 2024 roku wzniosła barierę handlową między tymi dwoma światami. Bogaci zrezygnowali z Biednych. Surowce coraz częściej pochodziły z odzysku, z nowo przetworzonych zasobów, z Księżyca, potem z Marsa. Biedni bronili się — jak to biedni — eksportem anarchii, kradzieżą technologii, infiltracją, penetracją, sabotażem. Doprowadziło to w końcu XXI wieku do pełnej separacji. Między dwoma światami jednego globu zapadła elektroniczna kurtyna. Znikła jakakolwiek współpraca kulturalna i turystyczna. Bogaci zapomnieli o Biednych, Biedni wyklęli Bogatych. Przepaść technologiczna pogłębiała się. Zapóźnienie Biednych wykluczalo jakakolwiek możliwość dogonienia Bogatych, którzy skutecznie bronili stanu posiadania. Prymitywna broń zapóźnionych wystarczała jednak, aby i Bogaci nie próbowali żadnego misjonarstwa drugiej półkuli.

Bo i owszem, co pewien czas różne Humanitarne Ruchy występowały z inicjatywą Otwarcia, Pomocy, Wyrównania. Cóż z tego? Biedni robili się coraz bardziej nieufni. Gdy wybuchła wielka epidemia w afrykańskim interiorze, nastąpiła aktywizacja humanitarystów i zrzuty lekarstw. Niestety, adresaci niszczyli przesyłki, obawiając się dywersji. Wszelkie inne próby nawiązywania łączności odrzucali, a perspektywa ekspedycji otwierających była

niemożliwa, albowiem władze Biednych zapowiadały wysadzenie całej Ziemi, jeśli ktokolwiek z Bogatych pogwałci niezbywalną suwerenność Biednych.

Od piątej dekady XXII wieku nie było więc żadnych inicjatyw. Obie połówki zajęte swymi sprawami przestały się sobą interesować. Ustała nawet wojna w eterze, coraz rzadziej zdarzały się afery szpiegowskie.

Pozostało Pogranicze.

Początków tego dziwnego tworu należy szukać w okresie dekady bojkotu, kiedy Samodzielne Terytorium ogłosiło neutralność wobec obu stron. Neutralność ta była szanowana po dziś dzień. W efekcie powstała kraina–hybryda, ni bogata, ni biedna, kontaktująca się ostrożnie z obiema sferami. Pogranicze nie było nigdy specjalnie ludne, większość społeczeństwa wyemigrowała do Krajów Wyższej Technologii, pozostali trudnili się przemysłem, łowiectwem, handlem żywym towarem lub pośredniczyli w szpiegostwie.

Właściwie kobiety, na które Bogaci zawsze mieli zapotrzebowanie, stanowiły najpewniejszą monetę, którą dysponowali Ubodzy. Toteż nawet w okresie, nazywanym hermetycznym, poprzez Pogranicze nieprzerwanie płynął strumyczek panienek urodziwych i powabnych, których naturalna prostota ceniona była ponad uroki genetycznej hodowli i chirurgii plastycznej. Chociaż proceder ten był zakazany, ulgi w prawodawstwie Pogranicza pozwalały rychło zdobywać dziewczynom tamtejsze obywatelstwo, a następnie, już bez przeszkód, emigrować do ultracywilizowanych pni i zaludniać tamtejsze dzielnice rozrywek i rozkoszy. Eva, przyjaciółka Liby, należała do najpiękniejszych z imigrantek.

* * *

Gałąź siedemnasta wyróżniała się szeroką komunikadą, pokrytą całkowicie przezroczystym dachem, na którego powierzchni próżno szukałbyś śladu wsporników lub połączeń. Otaczały ją nieregularne bulwy luksusowych willi, porośnięte wewnątrz i zewnątrz bujną roślinnością. Soczysta zieleń, oszałamiające kwiaty, niezmiennie dobry klimat! Rozkoszna siedemnastka!

Mart zeskoczył z bystrotrotu przy numerze 1011, wykutym na ścianie imitującej granit. Oto i cel podróży. To właśnie stąd przed trzema dniami popłynęło zaszyfrowane wezwanie do skrzynki kontaktowej. Wzywał go Gorre, dobry stary Ditt Gorre — jeden z niewielu ludzi, dla których „Majsterkowicz” uczyniłby wszystko. Z wiadomości wynikało, że Ditt znajduje się w nielichych opałach, a jego synowi grozi Ośrodek Reeducacji. Tylko wpływom w otoczeniu Miliardnika zawdzięczali odroczenie aresztowania. Jedynej skutecznej pomocy mógł udzielić

naturalnie Mart. Toteż przybywał. Przecież parę lat temu, na Pograniczu, Gorre ocalił mu życie.

Komunikada toczyła się pusta, a w zaroślach ćwierkały imitowane ptaki. Elektrokamerdyner musiał być uprzedzony, ponieważ drzwi wejściowe otworzyły się samoczynnie, a ruchome schodki uniosły gościa do obszernego atrium. Cios przyszedł nagle. Na progu niewidzialna sieć oplotła i sparaliżowała gościa. Pułapka! Każdy mięsień został porażony biopolarnie, toteż Mart znieruchomiał niczym szaleniec uwięziony w niewidzialnym kaftanie, bagaże wysunęły się z rąk na wewnątrzdomowy trawnik z najdelikatniejszych mchów. Ten trawnik wszystko popsuł. Majsterkowicz był przygotowany na ewentualność zasadzki z udziałem środków paraliżujących. W jego walizce znajdował się mechanizm eksplodujący po wstrząsie żrącym dymem, na który odporne były (wskutek treningu) jedynie przewody oddechowe Marta. Niestety, wstrząsu nie było. Bagaże opadły miękko, łagodnie. „Przegrałem!” — przemknęło buntownikowi. Z wnętrza mieszkania wyszło parę osób. Wśród nich mocno posiwiały Gorre, z twarzą zapadniętą, pomarszczoną niczym jabłuszko, które przezimowało w śmietniku.

— To dla twego dobra, chłopie — powiedział z uśmiechem, w którym nie sposób było dojrzeć cienia fałszu. — Ktoś musiał ci pomóc. Męczyłeś się! — jego oczy patrzyły jasno, przyjaźnie. Zwykły, szczery wzrok człowieka zredukowanego. — Pamiętasz nasze wspinaczki po górach? To były czasy...

Szef komandosów otworzył pojemnik z „sokolikami”. Małe lotne roboty uwinęły się gracko z Martem. Rozebrały go, obmacały, pozbawiły supernoża, cyberłomu, dwóch cennych drobiazgów ukrytych w szczęce i paru dodatkowych rozmieszczonych w intymnych szczelinach. Kiedy automaty zakończyły robotę, najmniejszy wysunął kolec iniekcyjny...

— Stop! — powstrzymał go szef. — Potrzebujemy go przytomnego do zeznań.

— A jeśli ucieknie? — zaniepokoił się Gorre.

— Nagi, bez sprzętu, pilnowany przez „sokoliki”? — zaśmiał się komandos. Zwrócił się do dyspofonu: — ERT, gdzie jesteś...?

— Podchodzimy do cumowni XVII-1011 — zabrzmiała odpowiedź Grooda. — Zostało nam na akcję dwanaście minut.

— Wystarczy — zdecydował szef. Jego ludzie wyłączyli biopolary i Mart osunął się na miękką, żywą wykładzinę.

* * *

— Co ty tu jeszcze robisz. Liba? — irytował się Mennarr.

— Chcesz się narazić nadgodzinami?

— O ile wiem, kibicowanie akcjom naszych dzielnych chłopców nie jest zabronione — odpaliła dziewczyna. — Spłyn mi z oczu!

Nawet nie raczyła go uderzyć. Zgasiła monitor i wyszła na taras przy cumowni.

Nie ona jedna została dziś po pracy. Wieść o pojmaniu Marta ściągnęła prawie wszystkie zmiany TUP-erów, które uganiały się za nim w ostatnich dniach. Liba nie poznawała swych kolegów. Ileż nienawiści wyzwolił w nich ten buntownik. Ileż podziwu zamienionego w pogardę!

Ledwo przycumował nośnik, Grood wymanewrował zwinnie do relaksowni panienkę z KOM-u. Teraz niepotrzebny był im świadek. Profilaktycznie wyłączono całą elektronikę. Żadnych dowodów, przekazów, utrwaleń.

— Dajcie mu wycisk, chłopcy — rzucił zgromadzonym.

— Wicemiliardnik przybędzie po niego za kwadrans. A ja swoją służbę skończyłem. Panna Velli też.

Liba domyślała się, do czego to wszystko zmierza, poszukała wzrokiem kogoś starszego rangą. Ale wszyscy oficerowie zniknęli, a może woleli się nie pokazywać. Pomyślała o wideofonie... Na próżno... Ktoś wyłączył aparat na tarasie. Natomiast dla wysiadającego Marta urządzono prawdziwą ścieżkę zdrowia. Osłabiony, chwiejący się na nogach, kopany i popychany, posuwał się między dwoma szeregami TUP-erów wśród gradu ciosów. Zupełnie się nie bronił. Nie miał sił? A może został już czymś naszprycowany? Wreszcie walnięty silnie przez ryżego podoficera z TUP-u runął i znieruchomiał. Liba zamknęła oczy. Na szczęście, nikt nie zwracał na nią uwagi. Tłum rozstał się. Na trotuarze pozostało zakrwawione ciało jeńca.

— Zabili go, dranie! — bolesny skurcz targnął sercem Liby. Nie poznawała siebie. A może po raz pierwszy poznawała całe okrucieństwo zaprogramowanego świata. Sprawcy śmiali się i lżyli leżącego. Niewiarygodne, ale Mart podźwignął się, klęknął. Robił wrażenie półprzytomnego. Z rozciętego w paru miejscach czoła spływały strumyczki krwi, nadając bladej twarzy wstrząsający wygląd.

„Ecce homo!” — pomyślała Liba. Była wstrząśnięta. Jeżeli nawet mogła podejrzeć, że ten i ów z jej schludnych, wysoko kwalifikowanych kolegów jest bydlakiem, nie dopuszczała myśli, że tacy mogą być wszyscy.

— Weźcie i umyjcie go — zawołał ktoś ze starszych funkcją. — Wścibskim dupkom z KOM-u powiedzcie, że sam się podrapał.

Tłumek rozchodził się. Niektórzy sarkali na przedwczesny koniec zabawy. Wśród trójki facetów, którzy podnieśli pobitego niczym worek, Liba rozpoznała Mennarra. Wciągnięto bezwładnego zbiega do garderób. Poza bezgranicznym żalem dziewczyna czuła też pewną pretensję do Marta — dlaczego on, taki heros, równie łatwo pogodził się z losem?

* * *

Odpoczywali w łagodnym powiewie dozodorantola, zdejmującego z ich ciał kropelki potu.

— Jadę na kurewsko długo — mrucał pułkownik Virder Boddox, wpatrując się w rozszerzone narkotykiem i seksem oczy Ewy.

— Ostatnio nie było cię trzy lata.

— Teraz w najlepszym razie będzie to trzydzieści.

— Tajny program „Siódme niebo”?

Popatrzył na kurtyzanę z uznaniem. Chyba plotki, że żyje z samym Miliardnikiem, nie były pozbawione podstaw.

— Dlaczego trzymacie to w takiej tajemnicy? — zapytała.

— Na wszelki wypadek. Wiesz, że lobby TUP-u jest przeciwne kolonizacji kosmosu. A i wróg nie śpi.

— Wróg! — zdziwiła się — Przecież oni żyją w ziemiankach albo powrócili na drzewa.

— Ale co pewien czas wystrzeliwują z procy statek kosmiczny i potem odkrywamy ich stacje na Tytanie...

— Trzydzieści lat... — w jej gardłowym pomruku wyczuł odrobinę żalu. — Po piętnaście w jedną stronę. Nie ma czegoś bliżej?

Roześmiał się.

— Niestety, Nea jest pierwszą planetą odkrytą w kosmosie, która ma zbliżone warunki do ziemskich. Posiada nawet życie roślinne i zwierzęce.

— A są tam ludzie?

— Na razie nie. Według ocen zwiadu trwa tam epoka podobna do naszej jurajskiej: wielkie jaszczury, łuskowate gadoptaki, a z ssaczyh przodków człowieka — myszy, krety, torbacze...

— Był tam już ktoś?

— Jedna z sond zebrała dość solidny materiał. Wysłano ją w czasach, gdy twój dziadek jeszcze raczkował. Dopiero od pięciu lat opanowaliśmy prędkości przyświatlne. A od dwóch lat trwa na Księżycu budowa ARGO.

— Skąd taki pośpiech?

— Czy masz pojęcie, co oznaczałoby dla ludzi, gdyby plany ARGO trafiły na Południe?

— Przy ich technologicznym zapóźnieniu?

— Mimo wszystko, koncentrując środki, mogliby za parę lat zmajstrować coś takiego, a potem przy odrobinie szczęścia dotrzeć tam przed nami. A wówczas, kto wie, jak potoczyłyby się losy Wszechświata. Są biedni, zapóźnieni, ale zdesperowani. Jeden dawny pisarz stwierdził: „Czyż syte brytany potrafią oprzeć się zgrai głodnych wilków...?”

— Mój ty brytanie! — Ugryzła go, ale delikatnie. Zachichotał.

— Tylko mnie przypadkiem nie kontuzjuj, jestem już po wszystkich kontrolach, za dwie godziny wylatuję na Księżyc, a tam tylko zaokrętowanie i w gwiazdy!

Dwa bicze wodne siekły nieruchome ciało Marta. Liba śledziła te ablucje przez małe okienko z relaksowni. Pojmany ciągle pozostawał bierny. Mennarr najwyraźniej uznał, że klientowi przydałoby się trochę gorącej pary. Podszedł do ręcznych wyłączników (elektronika nadal pozostawała wyłączona) i wtedy „Majsterkowicz” uderzył. Nagle bezwładna kupka skóry i kości stała się prawdziwym młotem. Uderzony bykiem rudzielec z ERG-u poleciał na terakotową ścianę. Cios w splot słoneczny unieszkodliwił krępego łyska...

— Nie, nie — zapiszczał przerażony Mennarr. — Daruj!

Mart nie zwrócił na to uwagi. Cios, prawie niezauważalny, odwrócił masochistę wprost na wylot otworu z parą.

Nieludzkie wycie musiało być słyszalne również na zewnątrz przemysłowej myjni. Upredzając możliwość nadejścia posiłków, Mart zarygłował drzwi zewnętrzne. Potem rozejrzał się. Liba wiedziona nie do końca kontrolowanym impulsem otworzyła drzwi do garderoby.

— Tędy — szepnęła.

Nie wahał się ani chwili. Przy zewnętrznych drzwiach powstał już tumult. Okrzyki. Łomotania.

Pobiegli wąskim, pustym korytarzykiem pomiędzy garderobami.

— Jesteś desperatem — rzuciła w biegu. — Szaleńcem. Atakować trzech przeciwników na raz.

— Nie jestem szaleńcem. Po prostu zauważyłem panią w tamtym okienku.

— Skąd wiedziałeś, że zechcę ci pomóc, skoro ja sama tego nie wiedziałam?

— Na coś trzeba postawić. Gdzie wasz najbliższy pneumopost towarowy?

Znaleźli punkt po przebiegnięciu stu metrów. Nadal nikt nie włączył automatyki, nie podniósł alarmu. Widocznie TUP-erzy sądzili, że i tak dopadną zbiega, unikając zarazem kłopotliwych pytań na temat swych sadystycznych, nieregulaminowych poczynań.

— Masz jakiś pewny adres? — zapytał Mart. — Muszę zyskać choćby pół godziny.

— Moje mieszkanie?

— Odpada. Nie będę cię narażać. Powiesz, że cię sterroryzowałem. Nie masz jakiegś starej ciotki albo kuzyna, który wyjechał?

— Mam przyjaciółkę... Ona jest bardzo miła i dużo może.

— Adres?

— XX-244.

— Ho, ho! Najwyższe sfery. Teraz pozwól, że się skoncentruję. Zamkniesz za mną klapę.

Otworzył pojemnik bagażowy, zaprogramował adres i wszedł do środka kapsuły. Liba zaoponowała:

— Oszalałeś! Nie zmieścisz się tam, a poza tym zaraz zabraknie ci powietrza. Nie mówię już o przyspieszeniu.

— Trenowałem kiedyś bobsleje. I nurkowanie na bezdechu — uśmiechnął się szelmowsko. — Poza tym znam parę hinduskich numerów z regulacją oddechu. Pięć minut to nie tak długo. Teraz pochyl się. Przepraszam, ale będę cię musiał uderzyć. Potem zamkniesz za mną klapę i włączysz start. Adres jest zakodowany. Następnie policzysz do trzech i rozbijesz butem programator tak, żeby nie mogli ustalić, dokąd się udałem. Pamiętaj, nie później! W piątej sekundzie impuls idzie do banku danych. Potem przewrócisz się i udasz omdlenie. Potrafisz zrobić to wszystko?

— Potrafię... a zobaczymy się kiedyś?

— Da Bóg!

Zamknął się, ale nim uderzył dziewczynę, ucałował jej rozchylone w zdziwieniu usta.

* * *

Nie miał żadnej pewności, że mu się uda. Owszem, znał fakirskie sztuki, uprawiał kiedyś jogę, nurkował. Potrafił też zwolnić uderzenie pulsu, a nawet zapadać w sztuczny letarg, ale to wymagało czasu, którego teraz nie miał. Skurczony w dusznym pojemniku, przekonany, że ma jedną szansę na sto, leciał pneumatycznymi tunelami poczty ku samej koronie urbanistycznego drzewa.

Biedna Liba. Jej tłumaczenia przed Komisją nie wypadną przekonywująco. Zresztą wykrywacze kłamstw rozpracują ją szybko. Jeśli skończy się jedynie na wywaleniu z KOM-u i bardzo krótkim pobycie w Ośrodku Reeducacji, będzie to zawdzięczać sporemu szczęściu i pobłażliwości Wicemiliardnika, który doskonale znał ułomności kobiecego charakteru.

Później wszystko się ułoży. Po paru latach Liba dostanie nawet pracę, pozwolą jej urodzić dziecko. Ale nie zabrają jej jednego: snów, kolorowych snów o tych dwóch niezwykłych godzinach jej życia i o mężczyźnie, którego po raz pierwszy spostrzegła na wsporniku gałęzi, a po raz ostatni w kapsule pneumopostu. I który obiecał wrócić. Ale będą to tylko sny, których nie będzie pamiętała na jawie, nie wywabione do końca rojenia z najgłębszych rewirów jej mózgu. Ani ona, ani najbliżsi nie potrafią wytłumaczyć sobie, dlaczego w niektóre dni będzie budzić się szczęśliwsza?

* * *

Charakterystyczny sygnał dźwiękowy, zwiastujący nadejście poczty, dobiegł Evę w momencie, gdy sięgała po tacę z owocami. Nie zaskoczył jej. Często otrzymywała niezapowiedziane przesyłki od licznych wielbicieli. Wyszła z sypialni do perystylu i zwolniła klapy pneumopostu.

Właściwie powinna krzyknąć. Nie krzyknęła. W pojemniku leżało ludzkie ciało. Ugniecione i posiniałe. Cofnęła się, by wezwać na pomoc Boddoxa, ten jednak akurat zniknął w toalecie.

— A może to kawał? — pomyślała sekundę później. — Może któryś z żartownisiów, jakich wielu przewinęło się przez jej sypialnię, przysłał jej wiwka?

Uniosła głowę mężczyzny zaklinowaną między kolanami. Człowiek z paczki nie był wiwkiem! Zamiast tworzywa dotykała realnego ciała. Co ciekawsze, zaczynał właśnie odzyskiwać przytomność. Na policzki wrócił rumieniec. Drgnęły mięśnie. Wreszcie potrząsnął głową, westchnął i otworzył oczy.

Eva stała jak sparaliżowana. Mężczyzna tymczasem uniósł nieco drżącą rękę i przytknął ją do ust.

— Ciii... Przysyła mnie Liba — szepnął.

Skinęła głową, choć wersja wydała jej się nieprawdopodobna. Liba i goły, umięśniony mężczyzna? Jej przyjaciółka była osobą tak porządną, że nie domyślała się nawet, że Eva to najbardziej renomowana kurtyzana pnia. Ich dziwaczna przyjaźń trwała już lata, a hetera kontynuowała ją trochę dla żartu, a trochę dlatego, że nudziło ją „zawodowe” towarzystwo.

Przybysz nie zostawił jej wiele czasu na zastanowienie. Wolno, każdy ruch sprawiał mu najwyraźniej ból, był zresztą pokaleczony na całym ciele, wylazł z pojemnika.

— Jesteś sama? — zapytał Evę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pułkownik Virder Boddox wyszedł z toalety w kosmatym białym szlafroku. Widząc golca dyskutującego z równie nie ubraną kochanką spurpurowiał z gniewu.

— Kto to jest?! — wrzasnął.

— To wiwek — zaczęła Evvi — przysłała mi go...

Trzasnął policzek, Boddox odepchnął kurtyzanę i kocim susem dopadł do Marta.

— Wiwek — dyszał. — Ty dziwko, zaraz ci go zdemontuję!

Majsterkowicz uchylił się i morderczy cios kosmonauty strzaskał jedynie piękną orientálną wazę. Również uderzenie stopą chybiło celu. Mart uskoczył.

— Pan wybaczy, zaszła pomyłka... Ja wszystko wytłumaczę — zaczął łagodnie.

Virder czuł się ośmieszony. A na to nie mógł sobie pozwolić. Zawsze uwielbiał imponować kobietom, teraz nie marzył o niczym bardziej niż o zmiążdżeniu intruza na oczach dziewczyny. Zerwał ze ściany wąski nóż (sztuka ludowa, przemyt z Południa) i zaatakował ponownie. Parada obcego okazała się skuteczna. Wyraźnie jednak unikał zwania. Może był niepewny swych sił? Boddox od razu zmiarkował, że nie ma do czynienia z nowicjuszem. Zrzucił szlafrok i nagi zaczął okrążyć Marta, który wycofywał się wśród palm i wazonów wypełniających wewnętrzny ogród.

— Wezwę pomoc — zaofiarowała się Eva.

— Siedź cicho! Wiesz, że nielegalnie opuściłem bazę. Jestem już po badaniach.

— Ale spóźnisz się na odlot ARGO!

— Załatwienie tego szczura nie zabierze mi więcej niż minutę!

Nie zwrócili uwagi na zmianę w twarzy Marta. Na jego wzrok, który z postaci Virdera przesunął się na wiszący mundur...

W programie szkoleń kosmonautów znajdowała się walka wręcz, boks, karate, toteż w zderzeniu z normalnymi zniewieścicielami, czy nawet TUP-erami, bracia Kosmicznego Zakonu uchodzili za nadludzi. Inna sprawa, że rzadko sprawdzali swe umiejętności w rzeczywistej walce. Boddox po paru minutach pojął, że ring czy mata a prawdziwa walka, to są zupełnie różne sprawy. Intruz wyslizgiwał mu się, parował ataki, oddawał ciosy. Bił jednak słabo.

— Zmęczę go — postanowił pułkownik.

Finał nastąpił wcześniej. W pewnym momencie udało mu się zapędzić Marta do sypialni. Pomieszczenie nie miało dodatkowego wyjścia i stanowiło oczywistą pułapkę. Wówczas wzrok ściganego padł na leżący wśród miłosnych akcesoriów impulastor sadomaso. Majsterkowicz chwycił go w prawą rękę, przesunął potencjometry aż do końca skali, daleko poza czerwoną linię i wymierzył aparat w Virdera.

— Nie! — krzyknął Boddox. Wiedział, że użycie maksymalnej dawki było groźne dla zdrowia i życia. Mart ścisnął rączki. Targnięty megaorgazmem pułkownik wyskoczył w górę jak wyszarpnięta z wody ryba i padł martwy.

* * *

Dla obserwatorów z wahadłowców księżycowych wisząca ponad powierzchnią Srebrnego Globu ARGO, przypominała olbrzymiego wieloryba, w momencie zbliżania się do statku przysłaniała całe niebo. Ostatnia partia załogantów weszła sprężystym krokiem przez rękaw trapu do Wielkiej Śluzowni. Na małym, pokrytym czerwoną wykładziną podeście stał Admirał Lodder, obok niego Miliardnik Rutto, delegowany przez Konwent Konwentów i Starszy z Agencji „Kosmos”. Ściskali dłonie wchodzącym, a SzeF Programu, siwy kurdupłowaty profesorek liczący już ponad sto trzydzieści pięć lat, półgłosem przedstawiał wchodzących. Padały nazwiska — małe, duże i średnie — weteranów lotów załogowych, jak i szanowanych ekspertów, przy czym nawet weterani nie przekraczali czterdziestu lat. Z całą pewnością w składzie ekspedycji nie było amatorów. Komputery wybrały najlepszych fachowców, ekspertów i praktyków — ludzi zdrowych, sprawnych, zahartowanych w niejednej ekspedycji i na dodatek niekonfliktowych, co zważywszy na długotrwały czas lotu, należało do warunków *sine qua non*. Jeden utajony schizofrenik w wyprawie na piąty księżyc Jowisza przed stu laty doprowadził do takiej psychozy na statku, że skończyła się ona wzajemnym wymordowaniem się załogi ekspedycji.

W puli, z której wybierano załogę, znajdowało się parę tysięcy „włóczęgów kosmosu”, toteż nie ulegało wątpliwości, że wyłoniony skład musiał być optymalny. Admirał Lodder znał osobiście jedynie dwójkę z załogantów. Ekipa również przeważnie nie znała się nawzajem. Przed startem ani razu się nie spotkali. Cel wyprawy znali nieliczni, i to tylko z przecieków. Dopiero podczas teleodprawy w przeddzień odlotu poinformowano ich, że tym razem wycieczka w gwiazdy potrwa minimum trzydzieści lat. Trudno nie mówić o szoku. Paru ekspertów nie wytrzymało psychicznie i trzeba było powołać do składu dwójkę załogantów z listy rezerwowej...

Lodder wpatrywał się uważnie w twarze swych podwładnych. Ileż wzruszenia musiało kryć się pod kamiennymi marsami czy sztucznymi uśmiechami. Dla tych, którzy odbili z Księżyca, by wylądować na pokładzie ARGO, klamka zapadła. Ostatnim wahadłowcem miał wrócić tylko Szef Programu i Starszy Agencji. Mało prawdopodobne, żeby staruszek Luggini miał doczekać powrotu wyprawy, nad czym zresztą nieustannie bolał.

Mocne uściski rąk. Śmiałe wejrzenia inteligentnych oczu. Lekarzy i astrofizyków, nawigatorów i nauczycieli. Szkoda, że ludzkość Ziemi i okolicznych planet dowie się o starcie dopiero za tydzień, gdy ARGO osiągnie prędkość podświetlną i stanie się nieosiągalnym celem dla potencjalnych konkurentów. Lodder chrząknął, opanowując wzruszenie.

— Panie i panowie — rzekł. — Witam was. Szanownych uczestników największego przedsięwzięcia ludzkości od czasu budowy wieży Babel...

Później przemawiać będzie profesor Luggini, który z właściwą sobie próżnością opowie o programie jako swym ukochanym, cudownym dziecku, oraz Starszy Agencji, który nie zapomni powiedzieć o kosztach i nadziejach. Potem załoga rozejdzie się na stanowiska, a Lodder rozpocznie oficjalną wycieczkę po Jednostce.

* * *

Miliardnik Rutto został zaszokowany jej ogromem. Z programem związany był wprawdzie od roku, nadzorował całą ekspedycję z ramienia Konwentu Konwentów, został także delegowany na jej kuratora (co wywołało histeryczne reakcje żony i dzieci), a jednak musiał przyznać, że do tej pory nie miał pojęcia, czym naprawdę była montowana na orbicie wokółksiężycowej ARGO.

Część „mieszkalna” statku liczyła około dwóch kilometrów długości i blisko jeden szerokości. Ponadto należało dodać jeszcze dwa kilometry kwadratowe składów oraz wydzielone bloki siłowni i generatora pola ochronnego, zabezpieczającego statek przed bombardowaniem kosmicznym pyłem, co przy prędkości podświetlanej musiałyby się skończyć katastrofą.

Wspomniane dwa kilometry kwadratowe biosfery wypełniało miniaturowe miasteczko: ogrody, lasek i łąka, a nawet małe jezioro bogate w ryby. Wewnętrzna grawitacja zapewniała pełną stabilność, z ciążeniem zbliżonym do ziemskiego, a sztuczne słońko upodabniało całość do malowniczej, prowincjonalnej osady z epoki przedindustrialnej. Na łące pasły się zwierzęta, w zaroślach śpiewało ptactwo. Nic nie zdradzało wszechobecnej

elektroniki, która stanowiła układ nerwowy tego pęcherzyka życia wysyłanego w bezmiar Wszechświata.

Osada stanowiła kompromis między ideałem samowystarczalnej gminy, a superzaprogramowanym światem XXII wieku. Naturalny obieg białka wspomagać miały syntetyki, a procesom asymilacji i fotosyntezy towarzyszyć miały mechanizmy uzupełniające, na przykład kontrolujące proporcje gazów w atmosferze. Oczywiście, można było ulokować ekspedycję w bardziej funkcjonalnych kapsułach i zrezygnować z rustykalnego zakątka, jednak zaprotestowali przeciw temu psychologowie. Twierdzili zgodnie, że tylko takie otoczenie da możliwość bezkonfliktowego przeżycia piętnastu lat podróży, a także właściwy rozwój kolonistów.

Na ryneczku delegację opadł tłum dzieci. Jasnych i brązowych, płowowłosych lub skośnookich. Rutto wiedział, że wybrano ich dwieście pięćdziesiąt, choć optycznie wyglądało, że jest ich dwa razy tyle. Na pokładzie (czy właściwiej byłoby rzec w miasteczku) przebywały od paru dni i wyglądały na zachwycone swoją rolą. Wszystkie w wieku od siedmiu do dwunastu lat traktowały wyprawę raczej jako przygodę niż historyczną misję, przecież właśnie one miały stanowić Ojców Pielgrzymów (i Matki) przyszłej cywilizacji, Patriarchów Nowej Ziemi. Dwudziestu pięciu dorosłych załogantów stanowiło jedynie ekipę przewoźników.

Dzieci wyselekcjonowano równie starannie jak załogę. Były to najzdrowsze i najinteligentniejsze sieroty z wyoskorozwiniętych pni. Podrzutki i rezygnaty (kategoria dzieci oddanych przez rodziców na wychowanie KOM-owi). W trakcie piętnastu lat podróży miały nauczyć się wszystkiego potrzebnego dla ich misji, obsługiwania wspaniałej aparatury ukrytej w ładowniach ARGO, a nade wszystko zachowania tradycji Starej Planety.

Dlaczego zdecydowano się na dzieci? Psychologowie twierdzili, że starsi koloniści przynieśliby ze sobą nieuleczalną nostalgię za Ziemią, rozmaite nawyki i obciążenia psychiczne. Młodym łatwiej przyjdzie się zaadaptować. Zwłaszcza tym, którzy urodzą się już w trakcie podróży.

Godzinę później odbyła się ceremonia pożegnania ostatniego wahadłowca. „Argonauta” gotowy był do drogi. Znów wszyscy zgromadzili się przy podium. Brawa żegnały tych, co mieli pozostać.

— ...A przede wszystkim kochajcie się — kończył swe wystąpienie Starszy Agencji. — Wierzmy, że pod przewodem Admirała Loddera i Miliardnika Rutto nie zabraknie wam ani wzajemnej życzliwości, ani wszelkiego komfortu. Osobiście jestem przekonany, że nie zdołacie się przez te lata wzajemnie zanudzić. Każdy z was jest entuzjastą swej pracy,

miłośnikiem gier oraz doskonałym sportowcem. Jeśli idzie o seks, również powinniście tworzyć jedną wielką rodzinę. Lapidarnie zaś mówiąc, Admirał będzie waszym ojcem, ale ma również szansę stać się dla wielu teściem, zięciem, a przede wszystkim szwagrem...

Rozległy się śmiechy. Pękł dotychczasowy, sztywny dwuszereg załogi. Smukła Adda Tsi wykorzystała ten moment, aby znaleźć się jak najbliżej pułkownika Boddoxa. Stał w środku grupki sześciu specjalistów bezpieczeństwa wewnątrzstatkowego, która żegnała się z Szefem Programu. Już na pierwszy rzut oka wydał jej się drobniejszy i szczuplejszy niż wówczas, gdy spędzali swój rozkoszny tydzień na Fobosie. No, ale od tamtej wyprawy upłynęło pięć lat.

— Ciekawe, czy mnie jeszcze pamięta?

* * *

Fakt, że poszło mu tak gładko, stanowił zaskoczenie dla samego Marta.

Jego szaleńczy plan dojrzał, zanim jeszcze ciało Virdera Boddoxa sięgnęło dywanu. Byli mniej więcej podobnego wzrostu, obaj jasnoocy, nadto poważną część twarzy pułkownika zajmowała broda. Kosmonauta odznaczał się wprawdzie potężniejszą muskulaturą, ale umiejętnie wypychając mundur, można było skorygować te różnice.

W tych dramatycznych chwilach Eva zachowywała się imponująco spokojnie. Nie żywiła do Boddoxa żadnych głębszych uczuć i jedyne, na czym jej zależało, to szybkie wyplątanie się z nieprzyjemnej afery. Mart przysiągł, że nie zostanie w nic zamieszana. Ciało Virdera musiało zostać usunięte — tłumaczył. — On zaś spróbuje wejść w jego rolę. Szczęściem Boddox był specjalistą od bezpieczeństwa, a nie kosmicznej nawigacji. Majsterkowicz wiedział cokolwiek o kompletowaniu załóg i bezustannym tasowaniu składów, toteż żywił nadzieję, że uda mu się zaokrętować bez przeszkód. A kiedy już z prędkością podświetlną wypłyną na bezmiar kosmosu, wszystko się jakoś ułoży.

Od dzieciństwa marzył o kosmosie. Czuł, że tam może znaleźć wolność. Tej pożądał najbardziej. Właściwie wszystkie jego działania, które z niegroźnego majsterkowicza uczyniły zeń hobbystę buntu, wynikały z mniej lub bardziej uświadomionego pragnienia wolności i nieustannego głodu wiedzy. Mart należał do nielicznych osobników nie fascynujących się protezami cybernetycznej pamięci. Kochał literaturę dawnych wieków — potrafił recytować z pamięci Homera i Szekspira, Rimbauda i Rilkego. Znał całą Biblię i niezliczoną ilość innych książek. W końcu przez trzy lata ukrywał się w nieczynnej bibliotece...

Nade wszystko jednak wierzył w Boga i przeznaczenie. Kiedy jako mały chłopiec bawił się na wysypiskach mechanicznych odpadów, w które obfitowało Pogranicze, i w samotności konstruował pierwsze zabawki, nieraz miał wrażenie, że towarzyszy mu jakiś niewidzialny przyjaciel, który w chwilach zwątpienia szeptem mu do ucha: — Jesteś wybrany. Jesteś wybrany. Nie upadaj! W czasie swych pierwszych wędrówek spotkał też proroków. Byli to zazwyczaj nieprzystosowani, starzy ludzie sprzed epoki reglamentacji pracy, głoszący wizję rychłej zagłady zniewieściałej, gnuśnej cywilizacji. Ale mało kto traktował tych maniaków poważnie, nawet władze nie śpieszyły się z ich reedukowaniem. Cóż, nieprzystosowani głosili tylko słowo i nie próbowali czynu. Tuż obok oranżerii Ewy znajdował się zakotwiczony nośnik wynajęty przez Boddoxa, przypuszczalnie na fałszywy identyfikator (zresztą znaleźli taki w kieszeni jego munduru). Eva pomogła wtaszczyć zwłoki do nośnika, zdziwiła się, gdy Mart odmówił gratisowej miłości (czas przecież opłacił jeszcze Virder). Przynęła za to zachować milczenie. Zresztą nie miała wyboru. Wyspa groziła jej uznaniem za współwinną śmierci kosmonauty.

Na programatorze nośnika znajdowała się dokładna trasa przebyta przez Boddoxa, od wynajęcia statku do tajnej cumowni przy kwaterach kosmonautów, i do buduaru Ewy. Należało tylko tam wrócić, zabrać bagaż i stawić się na piątym nadbrzeżu Kosmodromu Nr 2, skąd rejsowy prom wyruszał na Księżyc.

No i udało się. Po przybyciu do cumowni zamknięte grodzie otwarły się na impuls pochodzący z wszczepionego pod skórę mikrochipa, który Mart wydłubał spod skóry kosmonauty, a następnie połknął. Później posadził trupa za sterami, wymazał z pamięci maszyny dotychczasowy program i wyznaczył kurs prosto nad Atlantyk. Po trzystu kilometrach powinno zabraknąć paliwa... Majsterkowicz odłączył też zabezpieczenia, które samoczynnie, po włączeniu rezerwy, winny wezwać na pomoc tankowaczki, dokonał jeszcze paru korekt w działalności innych urządzeń i pożegnał ciało Boddoxa krótkim, ale szczerym westchnieniem. W pół godziny potem dotarł na kosmodrom. Identyfikator kategorii KB eliminował jakiegokolwiek kontrole. Równie łatwo poszło na Księżycu. Nikt nie zauważył podmiany. A nadzwyczajnych kontroli (siatkówka, odciski palców) nie zastosowano.

Gładząc brodę — blizny zniknęły pod bujnym zarostem — efekt parogodzinnego działania porostowych szybkości — dotarł wahadłowcem do śluzowni ARGO. Lodder uściśnął mu dłoń na powitanie — schudłeś bracie! Inni potraktowali go uprzejmie, ale naturalnie. A potem rozpoczął się stały rytuał — rodem z zamierzchłej ery kosmicznych debiutów — odliczanie.

* * *

Adda Tsi z niemałą ulgą zakończyła lekcje. Dzieci zachowywały się dzisiaj dziwnie nieswojo, były poddenerwowane, niektóre zaś zachowywały się apatycznie. Może dlatego, że skończyła się pierwsza fascynacja lotem, pojawiła tęsknota za dawnym otoczeniem. W paru oczach dostrzegła nawet strach. Ale może było to mylne wrażenie.

Siódmy dzień lotu przebiegał dla niej bliźniaczo podobnie do innych. Rano zajęcia szkolne, potem rekreacja sportowa, wieczorem gry i tańce. Zapewne Miliardnik znów ponowi szturm. A ona da mu kosza, jak w poprzednie wieczory. Rutto rozpuszczony przez kobiety wściekał się oporem młodej Azjatki. Brał to zresztą za babskie droczenie się, celem urozmaicenia nieuchronnej nudy. Adda tymczasem nie miała ochoty na amory. Zastrzyk wyzwalaający, który brała przed snem, zaspokajał jej zmysły lepiej, niż mógł to uczynić podstarzały ogier. Poza tym denerwował ją Virder. Co właściwie sobie myślał? Nie poznawał jej przez tydzień.

Tsi nienawidziła nawet najmniejszych pozorów narzucania się, toteż za nic nie podeszłaby do pułkownika z tekstem: „Słuchaj Boddox, wtedy na Fobosie obiecywałeś, że jak się znowu spotkamy...”. Na to nie pozwoliłaby jej duma. Natomiast, kiedy parokrotnie przecięły się ich szlaki — trudno nie spotkać się dwojgu ludziom wśród zaledwie dwudziestu pięciu dorosłych załogantów, nawet jeśli pracują w różnych sekcjach — Boddox traktował ją normalnie, uprzejmie, sympatycznie, nie zdradzał jednak nawet mrugnięciem oka, że kiedykolwiek się poznali. Trzeciego dnia przyszło Addzie do głowy, że być może pułkownik miał w swym życiorysie krótki pobyt w Ośrodku Reedukacyjnym, toteż sprawdziła jego elektrokartotekę, ale nie znalazła nic na ten temat, ani nawet wzmianki o pobycie w Ośrodku. Czas pułkownika dzień po dniu wypełniały rozmaite ważne akcje, wprawdzie figurujące pod kryptonimami, ale przeważnie rozgrywają się poza Starą Ziemią.

Szóstego dnia spotkali się na brydżu. Hobbysta grał z dużym płotem, w parze z Tsi dosłownie roznieśli przeciwników, kiedy jednak po zakończeniu rozgrywek zostali sami, nie wykazywał żadnej inicjatywy na kontynuowanie rozmowy. Uśmiechnęła się, patrząc na niego wyzywająco. Nie odwrócił swego spojrzenia, przeciwnie, przyglądał się Addzie z normalnym, męskim zainteresowaniem.

— A może jeszcze spróbowaliśmy garibaldki? — powiedziała.

— Nie cierpię garibaldki, Addo.

Spasowała. Elektro–garibaldika była ich ulubioną grą na Fobosie — grając, odpoczywali w intermediach miłosnych uniesień. Słowa Virdera zabrzmiały nieomal jak odrzucenie zalotów. Boddox musiał dojrzeć jej reakcję. Błyskawicznie zmitygował się:

— Ale oczywiście, chętnie zagram.

— Nie trzeba — odpowiedziała, i odwróciła się na pięcie.

Rano znalazła w osobistym pneumatyku piękną orchideę bez nadawcy. Na Fobosie Virder co rano przysyłał jej orchideę...

Nie mogła wiedzieć jednego; Mart zorientował się wreszcie, że coś musiało wcześniej łączyć Tsi z Boddoxem i porównał życiorysy obojga. Bez trudu znalazł informacje o pobycie w tym samym czasie na Fobosie. W elektrodossier pułkownika znalazł też zapis jego wydatków. Stałe przelewy szły w owym czasie na konto kwiaciarni na satelicie Marsa. Po cenie zorientował się, że codziennie kupowany był kosmiczny storczyk.

Cała sprawa Addy Tsi była Majsterkowiczowi bardzo nie na rękę. Burzyła jego spokój. Wymagała dodatkowego udawania. W grupie specjalistów od bezpieczeństwa zaaklimatyzował się doskonale. Zresztą ich służba ograniczała się do intensywnych ćwiczeń i przeglądów sprzętu co dwa dni. Nikt, a zwłaszcza Lodder, który znał Boddoxa z widzenia, ale chyba niezbyt dobrze, nie poznał przemiany.

Tymczasem już pierwszego dnia zdarzyło się coś, co zastanowiło Marta.

Po kolacji wrócił do swej kabiny. Przytulnego pomieszczenia, którego jedną ścianę vis-à-vis łóżka wypełniało sferokino. Był to rodzaj ekranu, który na żądanie mieszkańca upodabniał się bądź do normalnej firanki, bądź przekształcał w dowolny pejzaż — łąkę, park, wielkowiejską ulicę, dziewiętnastowieczne podwórko — studnię, a nawet uciekający krajobraz, widziany z okien tradycyjnego ekspresu. Mart najchętniej przełączał na widok „zewnątrz” i wtedy między storami utkanymi z iluzji widać było wielkie rozgwieżdżone niebo. Nie trzeba dodawać, że w sferokinie można było oglądać również filmy, a także rozgrywać automatyczne gry.

Przez pierwsze dni podróży Hobbysta odczuwał piekielne zmęczenie. Zbyt wiele godzin żył na stymulatorach, a w międzyczasie przeżył kilka pościgów, jedną masakrę, prawie uduszenie w ciasnej kapsule pneumopostu i walkę z rycerzem kosmosu. Zmęczenie jednak nie było aż tak wielkie, aby nie zauważył małego niebieskiego guzika leżącego obok łóżka. Nie miał takich guzików w swym rynsztunku, był też pewien, że niczego takiego jego wzrok nie zarejestrował podczas pierwszej bytności w kabinie. Jak należało to zinterpretować? Majsterkowicz rzucił guzik na popielniczkę i zasnął. Rano niebieski paciorek znajdował się na swoim miejscu. Po śniadaniu jednak zniknął.

Czy miał to być jakiś znak dla Boddoxa, czy może dla niego? Od kogo? Przez następne dni niecierpliwie czekał kolejnego sygnału. Ten nie nadchodził. Szóstego dnia poważnie zaczął zastanawiać się, czy autorką sygnału nie była przypadkiem Adda Tsi. Ale siódmego poranka...

Jak wielu, posługiwał się na co dzień memuarnikiem. Był to dyktafoniczny brulion spisujący, a czasem nawet porządkujący różne werbalne sformułowania, sprawy na jutro czy złote myśli. Często, rzucane bezładnie wieczorem, można było odtworzyć następnego ranka w formie wyciągu.

Aliści tego ranka, po przebudzeniu, już pierwszy rzut oka na memuarnik zaskoczył Marta. Wśród paru zanotowanych poprzedniego wieczora problemów pojawiły się cyfry, a właściwie liczba 72245.

Nic więcej.

Jedno było pewne. Numer ów nie został podyktowany przez niego. Beznadziejne okazały się próby odgadnięcia znaczenia. Nie była to ani pozycja katalogowa, ani program, ani zakodowany wzór... Na Warkocz Bereniki! Ktoś szukał z nim kontaktu, a on nie znał właściwego odzewu. Kto to mógł być?

Od rozszyfrowania nadawcy sygnału istotniejszą kwestią wydawała mu się — dlaczego? Czy ktoś rozpoznał, że nie jest Virderem? No i co z tego? W takim razie, dlaczego go nie zdemaskował? Szantaż w kręgu dwudziestu pięciu ludzi nie miał większego sensu? A może to jakiś rodzaj sprawdzianu? Przez moment rozważał nawet, czy nie wyznac swych rozterek Lodderowi...

Komputerowo sprawdził kosmiczne dossier wszystkich załogantów. Poza Addą, przelotnie Admiralem i jednym z psychologów nazwiskiem Habbu, nikt nie miał większych szans zetknąć się z Virderem. Pochodzili z różnych pni, pracowali na różnych szlakach. No, może poza Miliardnikiem, komputer nie posiadał dziennych zapisów poczynań Rutto.

Postanowił zanalizować działania tej trójki — Adda owszem, zachowywała się trochę dziwnie, natomiast Habbu już drugiego dnia rzucił coś na temat jakiejś wspólnej ekspedycji, ale Mart szybko wywnioskował, że psycholog miał z pułkownikiem bardzo ograniczony kontakt. Więc może należało szukać od innej strony. Na przykład, w rzekomym Boddoxie ktoś rozpoznał inkryminowanego Hobbystę? Albo na pokładzie przybywał jeszcze ktoś, kto nie był tym, za kogo się podawał.

W południowej części jeziora (terminy północ czy południe na pokładzie statku kosmicznego były absolutnie umowne) znajdował się niezwykle romantyczny zakątek. Z kamiennym mostkiem, płaczącymi wierzbami i malowniczym wiatrakiem. Tam właśnie Mart

napotkał Addę, gdy przechylona przez balustradę rzucała okruchy bułki kaczkom, kołyszącym się na wodzie.

— Chciałem porozmawiać — rzekł wprost.

Zmieszała się.

— Wiem, że to brzmi głupio, ale chwilami wydaje mi się, jakbym znał cię dobrze, a czasami w ogóle... Popatrzyła na niego uważniej.

— Co czasami?

— Nie ma tego w moim biogramie, ale dwa lata temu przeżyłem awarię psychotronu i mam skasowaną sporą partię pamięci...

Nagle rozluźniła się.

— Virri...

— Byliśmy sobie bliscy, prawda? — strzelił na pewniaka.

Przywarła do niego swym szczupłym ciałem.

— Wybacz moją głupotę, to ja powinnam zacząć... Ale myślałam...

— Co myślałaś?

— Że po prostu mnie nie chcesz.

— A ten guziczek miał być próbą.

— Jaki guziczek?

— 72245.

— Nic nie rozumiem, mówisz okropnymi zagadkami! Zamiast brnąć dalej w grupie przesłuchanie, zamknął jej usta pocałunkiem. Dużo wysiłku kosztowało go opanowanie pokusy natychmiastowego pójścia z Addą do łóżka. Niestety, ryzyko przekraczało ewentualną satysfakcję. Musiałaby go zdemaskować. Zresztą, kwestia kto szuka z nim kontaktu, pasjonowała go w tym momencie o wiele bardziej niż śniade ciało Azjatki.

W ciągu popołudnia obszedł wszystkie stanowiska kolegów. Jeszcze raz porozmawiał z Habbu, ale psycholog nie powiedział mu nic szczególnego. Wpadł do zakątka gier i zabaw, obszedł rekreatorium. Rozmawiał oczywiście na różne tematy, starając się, aby możliwie neutralnie zabrzmiało wśród zdań słowo niebieski i guzik... Np. „Szukanie inteligencji cywilizacji w kosmosie to jak maleńki guzik wśród niebieskich ciał”. U nikogo nie dostrzegł reakcji. Może jedna z medyczek na moment uciekła wzrokiem, może ledwie dostrzegalnie drgnął mięsień muskularnego Gomi z oddziału bezpieczeństwa.

Dobrze po ósmej zaszedł do Loddera. Admirał siedział w kabinie nawigacyjnej, której olbrzymie sferokina dawały złudzenie, że od kosmosu oddzielają ich nie potężne płyty, grodzie, izolacje, sztuczne pole energetyczne — a jedynie cieniuteńkie tafle szkła.

Dowódca przyjął go skupiony, cichy. Jego sucha twarz wydawała się jeszcze bardziej wydłużona. Wyglądał na cierpiącego.

— Czy coś się stało, panie admirale? — zapytał Mart.

— Nie wiem, ale nie lekceważę swego organizmu...

— Jakież dolegliwości?

— Nie, raczej stary „impuls szczura”. — Mart nie znał terminu, choć Virder powinien bezsprzecznie go znać, ale admirał chyba nie zwrócił na to uwagi, ponieważ ciągnął dalej): — To biologicznie niewytłumaczalna zdolność przewidywania nadchodzących nieszczęść, połączona z nieomal paniczną chęcią ucieczki z pokładu. Tak właśnie dziś się czuję.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Aparatura działa normalnie, odnotowaliśmy tylko jedno małe uszkodzenie, roboty już je usuwają...

— Gdzie?

W trzydziestym czwartym magazynie „Karma dla drobiu i maszyny ogrodnicze”. Dziś rano zepsuło się tam zasilanie i czujniki. Takie drobiazgi zdarzają się niekiedy. Ale nie tę usterkę miałem na myśli, mówiąc o mych obawach. Podobnie nie chodzi mi o jakiegokolwiek zagrożenie z zewnątrz. Kosmos jest spokojny, pusty. Żadnych niepożądanych obiektów.

— Więc o co?

— Nie wiem. Ale... jeśli mógłbyś, zajrzyj tu do mnie po dziesiątej...

* * *

Adda wpadła na prosty sposób zwalczanie chandry — drobne porcje narkotyku. Choć rozszyfrowanie zagadki Boddoxa powinno ją uspokoić — to fakt, iż wykazał tak umiarkowane zainteresowanie jej ciałem, zdenerwował ją. Już przez tydzień żyła na pokładzie w obrzydliwej wstrzeźliwości.

Kiedy całe towarzystwo parzyło się, wymieniało partnerów lub stawiało na trwalsze związki — ona, głupia, czekała na Virdera. Kiedy całowali się — mogła przysiąc, że wyczuwa jego pożądanie — potem jednak gwałtownie ochłódł. Czyżby jego amnezja dotknęła również ośrodki emocjonalne?

Wściekłość, w miarę jak narkotyk rozchodził się po organizmie, bynajmniej nie malała.

— Zrobię mu numer, z byle kim, z pierwszym lepszym! Niech nie myśli, że trafił na idiotkę!

Wzięła dla kurażu jeszcze jedną dawkę. Otaczały ją teraz rozkoszne wizje, a rzeczywistość mieszała się z marzeniem. Włączyła videofon i połączyła się z Miliardnikiem...

— Czy wpadłbyś na chwilę do mnie, Rutto?

Dokładnie o pół do siódmej leżała na posłaniu rozciągnięta w kuszącej pozie, otoczona chmurkami zwiądów, zapachów, upojeń. Na chwilę wizje zmaćcił obrazek ciasnej, starej kapsuły mieszkalnej ze stacji na Fobosie. Przegnała go czym prędzej.

Zwłaszcza że otworzyły się drzwi. Wybuchnęła śmiechem. Wchodząca postać dygnitarza zdeformowała się jak w krzywym lustrze, miała świński ryjek, rozdęty brzuch i nóżki upodobnione do kopytek. Śmiała się, zapominając o dawnym wstręcie. Śmiała się nadal, gdy Miliardnik zrzucając ubranie, począł ją pośpiesznie całować, penetrować, brać!

* * *

Mart oczywiście nie miał pojęcia o sukcesie Rutto. Około dziesiątej kierował się do apartamentu admirała, kiedy odebrał wezwanie od dygnitarza.

— To pilne — twierdził Miliardnik.

Majsterkowicz zachodził w głowę, co aż tak ważnego ma mu do zakomunikowania cywilny zwierzchnik wyprawy.

Idąc na spotkanie, ze zdziwieniem zauważył, że udzielił mu się nastrój Admirała. Poddenerwowanie bez powodu, niczym nie uzasadniony niepokój. Szybko jednak przekonał sam siebie, że są to pierwsze objawy choroby aklimatyzacyjnej. Z nawigatorni przez sale dyspozycyjne i laboratoryjne dotarł do windy, którą zjechał na właściwy poziom.

Cywilny Komisarz Lotu zajmował obszerny apartament. Łysy, sprawiający wrażenie lekko ograniczonego Rutto, miał wygląd dobrodusznego wujka z ilustracji Hoggharta.

— Chciałeś, zdaje się, ze mną pogadać — rzekł, wskazując na autofotel, który podjechał i usłużnie wymodelował się pod siedzeniem Marta. Majsterkowicz nie lubił tego typu urządzeń, mogących w określonym momencie zmieniać się w chwytną, owadożernym roślinom podobną, pułapkę. Toteż przysiadł skromnie na drewnianym stoliczku.

— Podobno odwiedzałeś dziś Admirała? Jak się czuje nasz pan i władca? — zapytał Rutto.

— Jak najlepiej.

— Zapalisz? — Miliardnik podsunął szkatułkę z cygarnionami, wąskimi eleganckimi papierosami nadziewanymi lekkim narkotykiem. Gość nie odmówił. Rutto też się poczęstował, po czym przełamał swój cygarnion na połowę i zapalił.

— Lekarz poradził mi, abym palił mniej — powiedział, uważnie przypatrując się gościowi.

— Doskonały pomysł, i jak tak zrobię.

Dygnitarz kiwnął głową i pogрузzył się w aromatycznym obłoczku.

— Właściwie to i ja mam do ciebie sprawę. Słyszałeś o awarii na trzydziestce czwórce. Roboty już ją usunęły, ale nie dokonały remanentu. Specyfikacja podczas wyłączenia dopływu energii uległa częściowemu wymazaniu, oczywiście mamy zabezpieczone dokładne spisy. Dobrze by jednak było, aby jakiś człowiek rzucił okiem i sprawdził, czy nic nie zginęło.

— Chętnie się tym zajmę. Choć trudno sobie wyobrazić złodzieja na naszej jednostce.

— Tu masz specyfikator, rozejrzyj się wyrywkowo, a potem znów wpadnij do mnie.

Trzydziesty czwarty magazyn leżał mniej więcej w odległości kilometra w poziomie i ćwierci w pionie, od apartamentów Miliardnika. Posuwając się korytarzami Mart przeglądał specyfikator. Nic nadzwyczajnego — kombajny konstrukcyjne, roboty ogrodnicze, przetworniki białkowe. Wtem drgnął. Doszedł do działu — broń myśliwska, środki wybuchowe i samoobronne. Czego tam nie było! Rusznice osobiste, sztucery na dinozaury... Prawdziwy arsenał!

Niegroźna usterka trzydziestki czwórki nabrała nagle zgoła nowego znaczenia.

Szybko dotarł do szybu windy towarowej. Włączył przywołanie dźwigu i czekając, patrzył na wpół bezmyślnie w migdał wiszącego czasownika. 22.19. I nagle przyszło olśnienie. 72245!!! Czy to przypadkiem nie miało oznaczać — 7 dzień wyprawy, 22.45. Ale jeśli tak, to znaczy, że za dwadzieścia pięć minut coś się wydarzy...

Dźwig nadchodził z lekka hałasując. Mart zajęty swymi myślami, nawet nie zauważył, że stojący w niszy nieruchomy wieloczynnościowy robot poruszył się bezszelestnie. Cios trafił Hobbystę w skroń, potem, zanim jeszcze nadjechała winda, automat wyrwał ażurową bramkę i pchnął bezwładne ciało w przepastną głębię szybu. Jeśli nawet zaczepi się gdzieś po drodze, klatka dźwigu rozgniecie go jak muchę.

* * *

Psycholog Habbu nie mógł zasnąć. Od paru dni gnębiła go tęsknota. W ankiecie personalnej zataił fakt posiadania konkubiny i małego dziecka. Owszem, pragnął bardzo tej wyprawy. Zrobił wszystko, aby zwyciężyć w testach, wiedział, że ubiega się o przyjęcie do priorytetowej akcji, nie miał tylko pojęcia, że ekspedycja ma trwać tak długo. Kiedy w przeddzień poznał szczegóły, przeżył prawdziwy szok. Oczywiście mógł się jeszcze wycofać, ale zbyt wiele zapędu i zabiegów włożył w przygotowania, zbyt gorąco marzył o uczestniczeniu w czymś wielkim, aby teraz rzucić proste: „dziękuję”.

Myślał, że łatwiej przetrzyma okres aklimatyzacji. Tymczasem coraz częściej wspominał szloch pięknej jasnowłosej Gabbi — „Przecież za trzydzieści lat będziemy tacy starzy”.

Jako psycholog mógł jej oczywiście polecać kurację ammetyczną, autoterapię, partnerstwo zamienne — bądź tuzin podobnych metod leczenia. Jako człowiek czuł się podle. Tak podle, że nie usłyszał rozsuwania się drzwi (ktoś uprzednio wyłączył brzęczyk) i zobaczył śmierć dopiero, gdy ta stanęła tuż obok niego.

* * *

Gdyby atakujący Marta był człowiekiem — Majsterkowicz ze zdruzgotaną jak orzeszek czaszką doszybowałby do dna szybu. Człowiek zawsze uderza za mocno, robot jedynie w sam raz. Ot, tyle, ile trzeba. Oczywiście mechaniczny morderca nie wiedział, że zamiast z kruchą czaszką ma do czynienia ze sprasowanymi włosami, mocnym podkładem peruki i wreszcie drugą warstwą włosów. Majsterkowicz lecąc w dół był tylko ogłuszony, a nie martwy. Instynktownie łapał się wsporników (lata podświadomych nawyków wyrobionych podczas stałych ucieczek w gałęziomostach). Wreszcie zawisł półprzytomny, ale żywy. Tymczasem z góry narastał brzęk nadciągającej windy, która zatrzymała się tylko na moment, po czym zaczęła opadać w dół. Mózg Hobbysty pracował błyskawicznie — wiedział już, że dokonano na niego zamachu, zrozumiał, że odkryto mistyfikację, a po trzecie, że Boddox musiał być uczestnikiem jakiegoś wcześniejszego sprzysiężenia. Nie miał jednak czasu na deliberację. Kątem oka dojrzał niewielkie wgłębienie na ścianie szybu — małą półkę, metr pod nim. Z trudem utrzymał równowagę i wtulając się w ścianę, czekał na osuwający się prostopadłościan. Nie znał szerokości luzu, nie wiedział, czy nie zostanie sprasowany. Głowę obrócił z profilu, ręce wbił w jakieś wystające wsporniki, wciągnął brzuch i czekał jak egipska płaskorzeźba... Dźwig musnął jego twarz o milimetr, zerwał naszywki z bluzy... a potem zgilotynował lekko wystające palce prawej stopy. Uderzenie bólu było straszliwe, Mart puścił się wsporników i runął na dach klatki. Ogarnęła go noc i pustka.

* * *

Gomi skradał się korytarzem, klnąc w duchu cały wszechświat. Diabli nadali! Taki wspaniały plan, a tu nagle komplikacje. Niezidentyfikowany facet zamiast Boddoxa. W czterech musieli wykonać robotę przeznaczoną dla pięciu. Popatrzył w narozny migdał czasownika — 22.45. Zaczynamy!

Oczywiście nie wątpił w sukces akcji, ale nie lubił zmian w harmonogramie. Z szafki na korytarzu wyjął ręczną rusznicę i machnąwszy ręką cieniowi wyłaniającemu się po drugiej stronie pasażu, skręcił ku pierwszym drzwiom apartamentu mieszkalnego.

Dobrze po wpół do jedenastej Lodder zorientował się, że Boddox spóźnia się ponad miarę. Wywołał go indywidualnym sygnałem. Brak odpowiedzi! Dziwne... W ciągu paru dni upewnił się co do sprawności i punktualności pułkownika. Jeśli nie zgłaszał się — prawidłowo rozumujący szef miał do wyboru trzy odpowiedzi: Nie chciał, nie mógł albo nie żył. Admirał zwrócił się do Koordynatora, maszyny od całokształtu spraw na ARGO. „Znajdź Boddoxa” — rozkazał. Na odpowiedź komputer potrzebował zastanawiająco dużo czasu.

— Nie ma go w obszarze zakresu czytelnego — odparł wreszcie.

Lodder zdenerwował się.

— Co za obszar czytelny, sprawdź cały statek!

— Niektóre sektory są wyłączone.

— Jakie?

Na monitorze zaczęły pojawiać się cyferki, a potem cała mapa przekrojowa ARGO z obszarami zaciemnionymi.

— Awaria? — zapytał Lodder.

— Nie, ręczne wyłączenie. Trzy minuty temu. Nie wiem przez kogo.

Dialog z maszyną przerwał Anioł Stróż, czuwający najwyraźniej nad Lodderem. Admirał odwrócił głowę i zobaczył cień wyrastający na ścianie korytarza. Nie zastanawiając się, nacisnął ręczną dźwignię. W dwie sekundy nawigatorynia stała się opancerzoną twierdzą.

— Kto idzie? — rzucił pytanie przez videofon.

Nie było odpowiedzi, a potem rozległ się brzęk tłuczonej kamery, która mogła przekazać do dyspozytorni widok części korytarza przed drzwiami. Lodder dłużej się nie wahał. Sięgnął po leżący na biurku indywidualny informnik, by włączyć alarm na ARGO.

Nie zdążył. Nim ruszył palcem, zapłonęły czerwone światła i rozległ się świdrujący dźwięk syreny. Najwyraźniej ktoś wpadł na taki sam pomysł wcześniej.

* * *

Pisk informnika ocknął Marta. Ktoś go poszukiwał. Wróciła świadomość i ból. Rzucił okiem na chronometr. 22.51! Nie namyślając się, włączył przycisk alarmowy, jaki posiadał przy sobie każdy z załogantów. Alarm pierwszego stopnia od razu musiał być przenoszony przez Koordynanta na cały system statku. Majsterkowicz łudził się nadzieją, że nie uczynił tego za późno. Jęcząc z bólu zaczął tamować krew i owijać skaleczoną stopę strzępem kombinezonu. Bardzo się śpieszył, nie przestając jednocześnie analizować sytuacji.

Wiedział niewiele. Wystarczająco jednak dużo, aby wyciągnąć wnioski. Wykryto, że nie jest Boddoxem, atoli nie wykrył tego Lodder, tylko jakaś grupka konspiratorów, która na dziś wyznaczyła sobie akcję. Tylko jaką? Mógł jedynie domniemywać — na pewno ważną, skoro przed przystąpieniem do niej uznano za celowe likwidację fałszywego pułkownika.

Skończył bandażowanie. Stojąc na dachu windy, zdołał uchwycić się progu na poziomie Z i wciągnąć na górę. Rozdzierający ból zgilotynowanych palców co chwila porażał jego mózg. Przewyciężając cierpienie dokuśtykał do windy osobowej. Wszędzie rozbłyskiwały sygnały alarmowe. Bez trudu dotarł jednak na poziom mieszkalny. Po kilkunastu metrach był już na korytarzu załoganckim... Mój Boże!

Na progu kabiny nr 2 leżał trup ślicznej Mii — lekarza pediatry. Przez uchylone następne drzwi widać było skurczone zwłoki psychologa Habbu, Majora Tezze śmierć zaskoczyła, gdy usiłował zasłonić się stołkiem. W kolejnych apartamentach — następnych pięć ciał. Szóstego, pocziwego safandulowatego belfra (w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć jego imienia) znalazł krok od windy. Półnagi, z wytrzeszczonymi oczami, robił wrażenie zagapionej lalki. A reszta...?

* * *

Kiedy zabrzmiał sygnał, reszta załogi, zgodnie z pryncypiami superzdrowego trybu życia, pogrążona była we śnie. Spała również Adda Tsi, która wściekła na Virdera i na siebie za numer z Miliardnikiem, łyknęła przed snem coś mocniejszego.

Niemniej sygnał poderwał wszystkich na równe nogi. Odruch był oczywisty. Ratować dzieci! Toteż z wyjątkiem nauczyciela safanduli, wszyscy zamiast na korytarz, domowymi katapultami dostali się na poziom miasteczka, lądując w kamieniczkach stanowiących jakby poddasza ich rzeczywistych kwater. Z nich dopiero wybiegli na ryneček. Miasteczko spało,

świecił księżyc (czyli przygaszone do ułamka swej mocy sztuczne słońce) i tylko nerwowo poszczekiwały psy. Rozbudzone dzieci tłumnie cisnęły się do okien.

— Falszywy alarm — pomyślał niejednen z załogantów. Nikt przecież nie wiedział, że koledzy z apartamentów o niższych numerach zostali już zlikwidowani.

— Uwaga, wszyscy! — zabrzmiał naraz głos Loddera. — Mam powody sądzić... — zamilkł, widocznie miał miasteczko na podglądzie i zobaczył to samo co oni.

Z trzech stron rynku wysunęły się zakapturzone postacie. W rękach trzymały krótkie lekkie karabinki myśliwskie nie stworzone, żeby obezwładniać, paraliżować, pacyfikować, lecz by zabijać. Takiej broni dziewiątka załogantów, która wbiegła na rynek, nie znała nawet z przepojonych humanitaryzmem biofilmów...

Zalały ich strugi ognia. To nie była walka, lecz egzekucja. Na oczach stłoczonych w oknach dzieci załoganci osuwali się na bruk jak marionetki, którym podcięto sznurki. Zaspana Adda Tsi wytoczyła się właśnie z drzwi różowej kamieniczki i zamarła w bezgranicznym osłupieniu, nie pojmując, czy to co widzi, nie jest tylko sennym majakiem. Jeden z egzekutorów wymierzył w nią broń.

— Poczekaj! — zabrzmiał władczy głos innego. — Ona jest moja. Idźcie i pomóżcie Gomi uporać się z tym starym capem, Lodderem. Bez nerwów, ale nie przeciągajcie sprawy.

Spętawszy Addę zmyślną biokrepu, pchnął ją z powrotem do wnętrza kamieniczki.

— Co robisz, morderco?! — krzyknęła dziewczyna poznawszy napastnika po głosie.

— Realizuję swoją świętą misję! — wycedził Rutto.

— Jaką misję?

— Odwrócenia losów wszechświata. Przejmuję tę jednostkę w imieniu Najszlachetniejszej Rady Zjednoczonych Ludów Południa... Słyszysz mnie Lodder?!

* * *

Gomi uważał zdobycie nawigatorni za formalność. Krótką rusznicę w jego rękach znów zastąpił masywny sztucer na dinozaury. Gdyby to nie poskutkowało, miał w odwodzie znaczną ilość środków wybuchowych. Komunikat z miasteczka mówił o opanowanej sytuacji.

Samotny Lodder mógł tylko skapitulować. Ale Gomi nie zamierzał przedkładać propozycji kapitulacji. Otrzymał wyraźny rozkaz: Nikt z wyjątkiem dzieci nie może przeżyć. Lodder nie miał wielu szans — właściwie żadnej. Wszystkie roboty manipulacyjne mogące wziąć udział

w walkach na pokładzie zostały uszkodzone, a jedyny czynny egzemplarz — przeprogramowany (skutków owej manipulacji doświadczył Mart). Użycie masowych

środków eliminujących nie wchodziło w grę — chyba, że Admirał gotów był poświęcić wszystkie dzieci. Mógł również próbować zdetonować cały statek, ale do tego potrzebny był drugi klucz, przechowywany przez Miliardnika lub przynajmniej zakodowany sygnał przyzwolenia z Ziemi.

— No, staruchu — mruknął przez zęby Gomi. — Przygotuj się, zaczynamy.

Trzy strzały ze sztucera w zamki wystarczyły, aby droga do nawigatorni stanęła otworem. Gomi pochylił się, aby odłożyć sztucer i podnieść lżejszą ruszniczkę... Nie zdążył. Cios dłoni Marta nieomal odrąbał mu głowę... Majsterkowicz przeskoczył przez zwłoki i wybiegł do środka, wołając: — Przybywam, Admirale!

Lodder wysunął się z kryjówki, ścisnął w rękach mały paradny laseromiot, zresztą nie naładowany. Jego twarz stała się popielato szara.

— Wszyscy nie żyją! — wybełkotał. — Wszyscy oprócz morderców! Nie wiem tylko, co z Miliardnikiem? Nie mam jego sygnału.

— Przypuszczam, że jest po ich stronie — rzucił Mart. — Wysłał mnie na pewną śmierć.

— To całkiem możliwe. Ładnych parę lat temu pojawiły się anonimowe ostrzeżenia przed szpiegiem w Konwencie Konwentów, ale zostały zlekceważone, a Rutto oczyszczony z zarzutów.

— Ile może być spiskowców?

— Trudno mi dokładnie obliczyć, ale przypuszczam, że czterech, może pięciu.

— No to o jednego mniej!

Nie tracili czasu. Chociaż Admirał uważał, że należy ponownie zabarykadować się w nawigatorni, skąd istniała możliwość podglądu sytuacji na całym statku i kontaktu z Koordynantem. Mart przekonał go, iż powinni jedynie udawać przed dywersantami, że chcą bronić centrali, a tymczasem zająć stanowiska obronne zupełnie gdzie indziej. W dyspozytorni prędzej czy później wrogowie dostaliby ich, dysponując przewagą środków wybuchowych. Co się tyczy utraty kontroli nad jeszcze działającymi systemami łączności, Majsterkowicz wyrażał przekonanie, że i tak atak rozpocznie się od wysadzenia rozdzielni w powietrze.

Tak się stało. W szale niszczenia napastnicy zdetonowali całą nawigatornię. Wiele nie ryzykowali, istniała przecież zaplombowana nawigatornia rezerwowa, a także automatyczne sterowanie Koordynanta. Tymczasem Lodder i Mart już znaleźli się na tyłach wrogów. Celnym strzałem został trafiony jeden z morderców nazwiskiem Karr, niestety drugi strzał, mniej celny, ugodził w zapas amunicji. Eksplozja wstrząsnęła kilkoma poziomami ARGO,

przy okazji pękł jakiś zbiornik łatwopalnej cieczy i wnet jęzory ognia rozlały się szeroko. Miliardnik i jego towarzysze rzucili się do ucieczki, pozostawiając rannego Karra na pastwę płomieni. Z nacierających, stawali się ściganymi.

* * *

Bitwa o ARGO! Nie czuję w sobie siły ani talentu Homera, aby zrelacjonować ją sekunda po sekundzie, oddać wszelkie barwy pożogi i skalę napięcia. Ogłupienie komputerów i automatów gaśniczych, determinację przeciwników. Nienawiść i strach. Wściekłość Miliardnika, który w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że mu się nie powiodło. A wszystko w scenerii prawdziwego piekła. Eksplozja w rozdzielni unieruchomiła system kamer, na wielu poziomach nastąpiły awarie, na innych szalały potoki ognia. Wskutek tego zwierzyna i myśliwi tropili się nawzajem po omacku. Dwójka ostatnich, spanikowanych dywersantów ostrzeliwała się chaotycznie, pomnażając rozmiary zniszczenia. Rozwalono po drodze część magazynów hodowlanych, toteż ogólny chaos powiększały jeszcze goniące wzdłuż i wszerz ARGO na wpół oszalałe króliki i kury. Chwalić Boga, że na poziomie miasteczka uspokajający głos komputera wychowawcy powstrzymał dzieci przed rozbiegnięciem się po statku. Zresztą dominującym odczuciem przyszłych patriarchów pozostało przerażenie.

W którymś momencie uciekający rozdzielili się. Miliardnik skierował się do swych apartamentów, pozostała zaś przy życiu Ida postanowiła schronić się w miasteczku, tam, pod żywą tarczą dzieci zamierzała zwabić przeciwników w pułapkę.

Sparaliżowana biokrępa Adda mogła tylko przysłuchiwać się odgłosom walki. Ich rozmiar wskazywał, że nie wszyscy zginęli. Tsi pomyślała wtedy o Boddoxie. Nie zauważyła go od początku alarmu. Czyżby pułkownik przeżył? Ta myśl dodała jej nadziei.

Na razie do swego apartamentu wrócił Rutto. Osmalony, z rozprutym skafandrem, twarzą wykrzywioną wściekłością i lękiem, w niczym nie przypominał pełnego wykwintnych manier lowelasa.

— Pomożesz mi? — zapytał Addy.

Odpowiedzią było spojrzenie pełne nienawiści. Karty zostały odkryte. Drżącymi rękami dołączył do biokrepy ładunek wybuchowy i odbezpieczył go. Zakneblowanie ust dziewczyny nie sprawiło mu większej trudności. Potem cofnął się ku drzwiom z zamiarem zaczajenia się

na przeciwników. Prędzej czy później będą go tu szukać. Zastanawiał się, kiedy do akcji włączy się robot, który ponownie otrzymał biogram Marta z rozkazem — „Zabij!”

Zanim jednak dygnitarz dotarł do drzwi, te otwarły się same i lufa rusznicy dotknęła jego pleców. Lodder dostał się do jego apartamentu od tyłu!

Miliardnik nie stracił rezonu.

— Nie próbuj mnie zabijać, moje autopole związanie jest z biokrępa Addy, a wszystko zespała ładunek wybuchowy... — krzyknął.

Admirał Lodder należał do staroświeckich dżentelmenów, dla których kobiety stanowiły coś więcej niż jednorazowy przedmiot pożądania. Zamiast nacisnąć spust i wysłać Miliardnika do egalitarnego piekła Bojowców Południa, rzekł spokojnie:

— Uwolnij ją!

— Dobrze, dogadajmy się. Moje życie za jej...

Nacisk broni zelżał, to wystarczyło. Rutto podbił łokciem rusznicę, jednocześnie inteligentny nóż czekający w rękawie drugiej ręki rozpruł brzuch dowódcy...

Mart spóźnił się kilkanaście sekund. Wpadł wprawdzie jak burza, ale za późno. Potężny cios rzucił Rutto na łóżko obok. Miliardnik nie zdążył nawet zabrać broni admirała. Inteligentny nóż przyciśnięty ciałem Loddera nie mógł pospieszyć mu z pomocą.

— Detonator, uważaj! — zaskomlił uderzony. Majsterkowicz milcząc ocenił sytuację. Widział przestrach w oczach sparaliżowanej Tsi i wracającą pewnością siebie zbrodniarza.

— Dogadajmy się, Boddox, czy jak cię tam zwą — powiedział Miliardnik. — Zagwarantuję wam obojgu przeżycie. W końcu chodziło nam tylko o ARGO.

Mart pokręcił głową.

— Zabijając mnie, unicestwisz również ją... — dorzucił zdrajca.

— Teraz ja ci coś zaproponuję, Rutto — rzekł wolno Hobbysta. — Przywołasz zaraz swoich ludzi i złożycie broń, a ja wam obiecuję uczciwy sąd na Ziemi. Kara śmierci została zniesiona, zostaniecie więc jedynie zredukowani. Oddaj biokrępa!

— Zabiję dziewczynę, jeśli mnie tkniesz!

— Dziewczyna nic mnie nie obchodzi — warknął twardo Mart, puszczając równocześnie oko do Addy. — Liczę do trzech. Raz, dwa...

Drżąca ręka Miliardnika wyciągnęła się razem z pudełeczkiem zasilacza. W tym samym jednak momencie pękły i tak już nadwątlone drzwi i na progu stanął robot-morderca. Widząc to kątem oka, Mart kopnął rękę Miliardnika. Zasilacz uderzył w sufit i wyłączył się, szczęśliwie nie detonując. Majsterkowicz wykonał tygrysi skok, przeturlał się przez łóżko, porywając za sobą Addę. Jednocześnie zdążył również strzelić. Chybił. Ciężki ładunek na

dinozaury oderwał jednak prawą mackę elektronicznego mordercy. Rutto wykorzystał zamieszanie i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Natomiast jednoręki golem na moment stanął, aby się samodzielnie przeprogramować. Mart i uwolniona Adda pobiegli za szefem sprzysiężenia.

— Ach Virri, Virri! Wierzyłam w ciebie, pułkowniku! — wołała dziewczyna. Nie prostował pomyłki. Pościg trwał. Miliardnik znów zaopatrzył się w broń i dołączywszy do Idy dążył teraz ku górze. Wymiana ognia z magnosztucerów zostawiała za sobą tylko zniszczenie. Rozprute ściany, zniszczone drzwi i transporciągi... Ale i bez ich walki sytuacja ARGO była tragiczna, korytarzami snuł się coraz gęstszy dym, a z poziomów zbliżonych do nawigatorni dolatywał syk ognia, który posuwał się zygzakami, ustępując tu i ówdzie autogaśnicom, jednak szybko odnajdywał nowe trakty poprzez otwory wysieczone podczas walki. Migotały wszystkie światła alarmowe. Wyły syreny.

Adda miała ze sobą broń Rutto. Jakże się przydała, aby przeszkodzić strzałowi, który zamierzała oddać w plecy Marto zaczajona Ida.

Gonitwa ku górze postępowała z oporami. Automatyczne opadnięcie szeregu grodzi ognioodpornych odcięło najkrótszą drogę na powierzchnię. Samotny Miliardnik musiał opuścić się parę kondygnacji, aby ominąć główne ogniska pożaru. Segmentów odcinanych od działającej jeszcze reszty statku przybywało, ogień jednak nadal się rozprzestrzeniał. Rutto wciąż wierzył, że w tłumie dzieci skuteczniej wciągnie przeciwnika w zasadzkę. Wiedział już, że fałszywy pułkownik przeżył i zastanawiał się, kim właściwie jest ten śmiałek, o którego potknął się misterny plan dywersji.

Od wyjścia na łękę dzieliły go metry. Odwrócił się i czekał, mając nadzieję, że kulejący przeciwnik wyjdzie na linię strzału lub powstrzyma się przy drgającej już płycie ochronnej grodu. Mart zaatakował z przeciwnej strony, niż się spodziewał. Strzelił z półdystansu. W biegu jednak marnie wycelował. Niemniej strzał, chociaż chybił, obrócił Miliardnikiem i ogłuszonego cisnął na schody. Majsterkowicz pragnął wycelować staranniej, ale zza opuszczającej już płyty dobiegł go krzyk Addy Tsi. Uwięzła wśród strug ognia, zaklinowana w jakimś przejściu. Mart skoczył z powrotem. W ostatniej chwili przecisnął się przez zbliżające się krawędzie grodzi i doskoczył do Azjatki. Ostatnie zapory zamknęły dostęp dymu i ognia do miasteczka. To ciągle funkcjonujący komputer zlokalizował obszary objęte pożogą, wyciął je z pozostałej tkanki statku, okrążył, pozostawiając rezerwę ochronną i puścił do akcji resztę gaśników... Wyrwane ze snu dzieci kręciły się wśród trupów. Parę dziewczynek płakało. Najmłodszy wzywał na pomoc opiekunów. Dyżurny komputer włączył im uspokajającą muzykę. Tymczasem kilkunastu starszych chłopców odgrywało scenę

egzekucji przed tymi, którzy ją przespalili. Ich przywódca, Joxxe, wyrośnięty dwunastolatek, śledził z zazdrością jeszcze wyższego Owa, który zamiast uczestniczyć w zabawie, komenderował grupką dzieci kopiącą groby na zielonej łące pod spokojnym księżycem.

Naraz z cienia dobiegł jęk. Chłopcy rozbiegli się. W wyrwie w zapadniętym po jakiejś eksplozji trawniku pojawił się pokrwawiony człowiek, który jeszcze pięć minut temu był dumnym Miliardnikiem — jęcząc, wyciągał ku nim okaleczone ręce. Ovve ogarnął strach, mężczyzna miał na sobie jeszcze czarną bluzę kata.

— Wody, wody! — jęczał Rutto.

Joxxe, choć też przerażony, zrobił krok naprzód. Inni chłopcy, już rzucający się do ucieczki, zatrzymali się wyczekująco.

Wśród kwitnących krzewów stał sobie (jak na angielski park przystało) biust jakiegoś brodatego filozofa. Chłopcy już wcześniej zauważyli, że nasadzony na trzpień nie tworzy całości z cokołem. Joxxe nie spuszczać oczu z rannego, dźwignął popiersie. Przyciskając je do siebie, zrobił parę kroków po obramowaniu chodników, a potem upuścił ciężar prosto na twarz Miliardnika.

* * *

Adda krztusiła się, łzawiła. Uciekali teraz z Martem w przeciwnym kierunku, w głąb zrujnowanych i częściowo płonących ładowni, dzięki licznym przegrodom zamienionym w przedziwny labirynt. Porzuciwszy broń, przedzierali się poprzez zdewastowane poziomy, szukając sposobu wydostania się z płomiennej nawałnicy. Wkrótce trafili na poziom już wypalony, ogień przetrwał tu większość instalacji i pożarł wszystko, co było do pożarcia. W powietrzu wisiał duszący odór, z poprzebijanych rur sączyła się woda. Komputer–mózg przeprowadził już zapewne rachunek zysków i strat, rozważając, które strefy trzeba zamknąć, aby reszta ARGO mogła kontynuować misję. Zdewastowane rewiry, na których remont nie miał środków, po prostu odcinał, wyłączał światło, klimatyzację. Jeśli nie wszystkie pogrzały się od razu w kompletnym mroku, to tylko dzięki samoczynnym bateriom awaryjnym, które niezależnie od głównego systemu, jakiś czas mogły dostarczać energii...

— Czy uda nam się stąd wydostać? — pytała Adda.

— Sądzę, że znajdziemy jakieś miejsce, gdzie przeczekamy alarm. Roboty zgaszą ogień i wtedy ręcznie odblokujemy którąś z grodzi...

— Jestem tak zmęczona!

Nic nie odpowiedział. Ze zmasakrowaną stopą, nadwreżoną czaszką, raną w przedramieniu, przypominał wrak w równym stopniu jak nieszczęsna ARGO.

Dotarli właśnie nad małe jeziorko utworzone przez wodę spływającą z uszkodzonej izolacji. Obok, szybem zniszczonej windy, dudnił żywy ogień. Cóż u licha tak buzowało wśród tych rzekomo absolutnie niepalnych materiałów?

— Może tu odpoczniemy? — nalegała dziewczyna.

Skinął głową. Odczuwał znużenie. Wygrał, ale cóż to było za żałosne zwycięstwo. Trzeba było jeszcze przeżyć, a potem podjąć decyzję: wracać czy kontynuować lot?

Nie zauważył niebezpieczeństwa. Na szczęście Tsi je dostrzegła.

— Uważaj, Virri!

Instynktownie skoczył w bok i morderczy cios przeszył powietrze.

— Robot!

Zapomniał o nim. Tymczasem automat zaprogramowany na biogram Marta, cierpliwy i metodyczny, przeżył swoich mocodawców i wierny programowi zamierzał wykonać go do końca. W dużym stopniu fizycznie przypominał teraz Majsterkowicza. Uszkodzony, poruszał się koślawo i wolno. Ale nadal nieźle kombinował, a Mart nie miał ani skutecznej broni, ani siły, o szybkości nawet nie wspominając. Mógł zrobić tylko zasadzkę. Toteż zwabił mechaniczną bestię na skraj płonącego szybu i markując cios, zastosował unik. Robot przewidział to, przeciął trasę uniku i opasawszy Hobbystę zdrowym prawym ramieniem, pociągnął go w stronę buzującego ognia. Nie dysponował jednak wystarczającą statecznością. Mart przeważył i obaj runęli w płomienną gardziel. Na szczęście lecąc w otchłań piekła, cybernetyczny morderca zwolnił chwyt i Adda, która złapała Marta za nogę, mogła wyciągnąć go z powrotem. Ale to nie był Mart. Z ognistego pieca wydobyła bezwłosą lalkę o spalonej twarzy. Adda krzyknęła rozdzierająco i również straciła przytomność.

* * *

Lugg płakał, bo nie należał do bandy Joxxego. Płakał, bo wiedział, że jego los będzie tragiczny. Ovve z pewnością nie da rady dłużej go bronić. A Lugg sam nie miał żadnych szans. Był bowiem słaby i garbaty.

Gdyby wypadek przytrafił mu się w pierwszych dniach rejsu, kiedy jeszcze funkcjonował automat medyczny, najprawdopodobniej upadek z facjatki nie okazałby się tak tragiczny w skutkach. W wieku dziesięciu lat Lugga cechowało silne zdrowie i dobra kondycja. Niestety, zdarzyło się to już w czwartym miesiącu po katastrofie, kiedy centrum medyczne praktycznie nie istniało. Początkowo dzieci nie chciały źle. Pozbawione opieki dorosłych nie zamierzały się jedynie uczyć, to znaczy chłopcy pozwalali jeszcze na naukę

dziewczynkom. Perswazyjne działania komputera wychowawcy miały tylko taki skutek, że Joxxe, który został przywódcą paczki, postanowił trochę „podkręcić” automatycznego pedagoga. Skończyło się to zepsuciem wychowawcy, zaś późniejsze próby „reperowania” przyniosły jego pełną dewastację. Zresztą, z miesiąca na miesiąc obyczaje młodych ludzi stawały się coraz dziksze. Chłopcy polowali na zwierzęta, bez trudu podporządkowali sobie starsze dziewczynki. Korzystając z faktu, że automatyczna kuchnia wydawała bez zmian posiłki (tu niczego na szczęście nie próbowano reperować), cały czas tracono na zabawy. Często okrutne. Raz, bawiąc się w stos poparzonego mocno chłopca imieniem Teddo, który potem chorował i umarł.

Nic dziwnego, że nikt nie zajął się kontuzją Lugga. Bark bolał, potem nawet przestał boleć, ale kości zrosły się krzywo i ze zdrowego, szybko rosnącego chłopaka zrobił się kaleka, pośmiewisko innych, chłopiec do usług i bicia. Sam Joxxe osobiście nie miał nic przeciwko garbusowi, był na to zbyt ważny. W bandzie wytworzyła się ścisła hierarchia. Na czele stał Joxxe, dalej szli jego zastępcy — chłopcy najbardziej wyrośnięci i silni, potem warstwa „równiachów”, wreszcie grupka młodszych popychadeł, jeszcze należących do grupy, ale bez prawa gardłowania i bez szansy na ciekawsze role w zabawach. Ci byli najgorsi. Słabi, przestraszeni odgrywali swój strach, prześladując garbuska. Tym chętniej, że bezkarnie. W miarę jak psuły się stosunki Joxxa z Ovve, sytuacja Lugga pogarszała się. Młody herszt nigdy nie darował płowowłosemu koledze inteligencji, a także bał się konkurencji o przywództwo. Podczas sporów, a te zdarzały się coraz częściej, Ovve ciągle jednak miał wielu zwolenników. Poza tym był silny. Silniejszy nawet od Joxxa i to hamowało poczynania dziecięcego dyktatora. Atoli w miarę barbaryzacji grupy, siły Owego malały. Przyboczni „wodza” coraz śmielej nalegali na wykluczenie konkurenta z bandy. A młodszy, o sadystycznych inklinacjach, coraz ostrzej poczynali sobie z Luggim. Tymczasem od startu ARGO upłynęły dwa lata.

Nie wiadomo kto pierwszy wymyślił superpolowanie. W każdym razie Joxxe zaakceptował pomysł. Dotąd bawiono się w dręczenie zwierząt, teraz wymyślono łowy na człowieka. Garbusek świetnie się nadawał, zabawnie uciekał, no i nie był groźny. Do zabawy mogło już dojść dwa dni wcześniej, ale Ovve umiejętnie zmienił temat i poparła go Ulla, wcześniej dojrzewająca bruneteczka, której obfite jak na trzynastolatkę piersi zaczęły już robić pewne wrażenie na Joxxe. Ulla zawsze zwracała dużą uwagę na to, co mówił Ovve i ten fakt nie uszedł uwadze młodocianego herszta. W końcu doszło do gwałtownej sprzeczki, Joxxe wstał i mocno popchnął rywala, ten oddał. Wtedy szef bandy uderzył go w twarz. Ovve nie wytrzymał, zwinnie obalił przeciwnika i po chwili siedział na nim okrakiem, okładając

pięściami. Nie wiadomo kto z gęstwy kibiców zawołał wówczas: „Zabij go! Zabij!” Ovve nie posłuchał rady i wstał, otrzepując kombinezon.

— Zawsze kiedy zechcesz, udzielę ci rewanzu — powiedział z uśmiechem.

Pokonany nie powiedział nic, tylko rumieńce na jego twarzy zrobiły się większe. Ovve przez dwa dni chodził w glorii zwycięzcy. Znow miał wielu zwolenników. Ulla całowała go publicznie. Gdyby chciał, mógłby pewnie zająć miejsce szefa paczki. Dlaczego tego nie zrobił?

Ovve w ogóle był inny. A jeszcze mocniej zmienił się w ciągu tych paru lat. Może poczucie siły, może inteligencja, sprawiły, że czuł się bardziej odpowiedzialny od innych, miał swoje stronniczki wśród tych paru dziewczyn, które dalej chciały się uczyć, bolał nad spaleniem biblioteki i uszkodzeniem czytników mikrofilmowych. Szkoda, że w parze z tymi zaletami szła spora łatwowierność. Uważał, że zawsze da sobie radę. Obecnie mu były intrygi...

Lugg płakał, bo zbliżał się kolejny świt. Już wieczorem doszły go szepty słabeuszy, którzy w dotychczasowych łowach odgrywali rolę naganiaczy, że nazajutrz rozpocznie się wielkie polowanie. Cóż miał zrobić. Uciec?

Już dość dawno znaleziono przejście do zablokowanych poziomów. Paru odważniejszych chłopców zapuszczało się w pościg za zdziczałymi królikami w wypalone trzewia statku. Niedaleko jednak. Za to wracając, snuli przerażające opowieści o tajemniczym świecie bez światła, pełnym rozmaitych zjaw, duchów dziwnych zwierząt i włóczących się uszkodzonych automatów. Najstraszniejsze były jednak opowieści o Potworze. Ovve wyśmiewał te rewelacje. Inni jednak gorliwie przekazywali straszliwe podanie o wampirze zrodzonym z krwi zabitych załogantów (ostatniego wszak ukatrupił osobiście Joxxe) krążącym wokół miasteczka, a nocą zagładającym na łąkę. Chłopcy porobili sobie proce i łuki, ale nigdy nie udało im się dosięgnąć upiora. Zresztą zbyt się bali, aby urządzić prawdziwą ekspedycję.

Upiór nie był jedynym powodem lęku Lugga przed ucieczką. Czegóż miał szukać sam, kaleka, w tajemniczym świecie bez słońca, bez automatów z pożywieniem. Płakał i usiłował się modlić, chociaż nie bardzo wiedział do kogo.

Nad ranem przysnął na chwilę, a gdy zbudził się (sztuczne słońeczko dopiero zaczynało się rozjarzać), powziął pewną myśl. Porozumie się z Owem, potem ukryje, a przyjaciel będzie dostarczał mu pożywienia. Za jakiś czas banda o nim zapomni, a być może znajdzie inną ofiarę.

Dzieci mieszkały początkowo w jednoosobowych pokojach, ale po tragedii wielu skupiło się w małych grupkach. Lugg należał do mieszkających samotnie, z tej prostej

przyczyny, że nikt nie miał ochoty bratać się z garbusem. Ovve mieszkał parę kamieniczek dalej, również sam.

Miasteczko pogrążone było w uśpieniu, ciszę mąciło jedynie pianie kogutów. Garbusek wślizgnął się do pokoiku swego protektora... Opuszczone żaluzje tworzyły lekki półmrok. Nie tak wielki jednak, aby nie dojrzeć wielkiej kałuży obok materaca.

— Ovve!

Na dźwięk głosu zapaliło się światło. Półnagi nastolatek leżał w rozrzuconej pościeli, nieruchomy. Krew z kilku, a może kilkunastu ran zdążyła już zaschnąć. Nogi ugięły się pod Luggiem.

Przez uchylone drzwi zająrzył rudy Sewt — agresywny małolat, bodajże najdokuczliwszy prześladowca kaleki.

— Morderca! — wrzasnął piskliwie. — Garbus morderca! Jak udało się chłopcu uciec z kamieniczki, sam tego nie wiedział.

Ale obława pod wodzą Joxxe była przygotowana.

— Garbus zabił Ovve! — podawano sobie z ust do ust.

Lugg nie miał czasu, aby się bronić. Trafił go kamyk, rozcinając policzek. Rzucającą, dostrzegł to z rozpaczą, była Ulla. Tymczasem krąg dzieciaków zawężał się. Ze wszystkich stron rynku zbliżali się prześladowcy, a przy bramie do parku stał samotny, triumfujący Joxxe. Jego dosyć ładną twarz wykrzywił grymas okrucieństwa. Kiedy jeszcze czytano książki, Lugg widział obrazek przedstawiający Kaligulę. Teraz miał przed sobą jego żywe wcielenie. Rozpacz dodała mu sił. Skulił się, sprężył i skoczył do przodu. Pewność, że herszt był jednym z morderców jego przyjaciela, dodała mu sił. Uderzony bykiem Joxxe przewrócił się, a Lugg znalazł się na otwartej przestrzeni. Kiedyś dobrze biegał, teraz z wysadzoną łopatką, uniesionym barkiem poruszał się jak łamaga. Miał jednak przewagę zaskoczenia, a strach dodał mu skrzydeł. Dopadł jednego z otworów wiodących do podziemi i skoczył. Nie przejmował się upadkiem, nawet skręcona kostka nie powstrzymała go od dalszej ucieczki. Biegł w mrok, potykając się o kupy nie uprzątaných śmieci. Dotarł wreszcie do szczeliny przy niedomkniętej grodzi, wymacał ją i zanurkował w labirynt. Potem biegł, czołgał się, upadał, podnosił. Wreszcie natrafił na jakąś zaporę i znieruchomiał... Był spocony, obolały, stracił oddech.

Ścigający łatwo nie zrezygnowali. Joxxe i kilkunastu najstarszych chłopaków zaopatrzyło się w latarki i poszło w ślad za uciekinierem. Szli wolno, ostrożnie. Przy kolejnych rozwidleniach dzielili się na małe grupki. Jedna z nich po kwadransie trafiła na

Lugga. Nie miał już siły uciekać. Krążek świetlny wyłuskał go wtulonego w resztki wypalonych i skrzywionych od żaru mebli kabiny załoganckiej.

— Tu jest, chłopaki! — zawołał rudy Sewt.

— Idziemy! — odkrzyknął Joxxe.

Garbusek przymknął oczy. Otworzył je, kiedy usłyszał skowyt. Latarka wypadła z rąk napastnika. On sam przeraźliwie krzycząc: „Upiór! Upiór!” — rzucił się do ucieczki.

— Nie ma upiorów — odpowiedział z dystansu Joxxe. — A jeśli jest, to załatwimy go. Chłopaki, poświecić.

Kimkolwiek był interwent, nie miał czasu ani ochoty poddawać się próbie sił. Silne ręce schwyciły skulonego Lugga i przerzuciły przez ramię jak worek. Lugg nie opierał się. Potem nieznajomy ruszył szybko w głąb zgliszczy. Zdrętwiały ze strachu kaleka nie miał siły, aby wołać o ratunek. Zresztą nie wiedział już co lepsze.

Przy następnej krzyżówce nadziali się na dwóch chłopaków z nagonki. Upiór roztrącił ich dwoma kopniakami i pobiegł dalej. Posuwał się wśród idealnego mroku. Miętko, nie powodując hałasu, omijał przeszkody ze zwinnością ducha.

— Nie bój się, nie bój się Lugg — powiedział parę razy półgłosem. — Jestem przyjacielem.

Kaleka kulił się jeszcze bardziej. Nie wierzył nikomu. Wreszcie upiór (czy może raczej święty Krzysztof) zmęczył się. Złożył delikatnie Lugga na ziemi.

— Przestań drzeć, chłopie — powtórzył. — Nikt cię już nie skrzywdzi. Nie zapalę żadnego światła, bo nie chcę cię przestraszyć. Byłem swego czasu trochę kontuzjowany, ale, wbrew opinii krążącej wśród twoich kolegów, nie jestem wampirem ani upiorem tylko ostatnim załogantem ARGO. Mam na imię Mart.

* * *

Parę miesięcy minęło, zanim udało się Addzie Tsi przywrócić Majsterkowicza światu żywych. Zresztą, co to był za świat? Mroczne katakumby, w których wygasły wprawdzie pożary, ale ze wspaniałej automatyki nie pozostało śladu. Adda miała zbyt wiele kłopotów z Martem, aby nawiązać kontakt z dziećmi. Zresztą Mart nie pragnął tego kontaktu, uważając słusznie, że widok twarzy przypominającej maskę musiałby przyprawić o szok mieszkańców miasteczka. Poza tym z każdym tygodniem malała swoboda ruchów Tsi. Miliardnik zostawił jej bowiem pamiętkę...

Nie chciała tego dziecka. Czuła się, jakby pod sercem nosiła swego osobistego wroga. Mart był innego zdania. Czuli i opiekuńczy twierdził, że będzie kochał maleństwo jak swoje. Uwierzyła mu. Zresztą ze wspólnej niedoli wykluła się wśród tych ponurych miesięcy niewiarygodna miłość. W niczym nie przeszkadzał Addzie fakt, że Mart nie był Virderem. Przeciwnie, ucieszyło ją to. W pokiereszowanym mężczyźnie co dzień na nowo odkrywała coraz wspanialszego człowieka.

Optymizm Hobbysty, jego niezmacona wola przetrwania, miłość — o tym można by pisać godzinami w powieści dla młodych pańienek. Majsterkowicz w konsumpcyjnym świecie egoizmu i wąskiej specjalizacji, rzeczywiście mógł uchodzić za mutanta. Natomiast w tragicznym położeniu, w labiryncie zniszczonego statku okazywał się prawdziwym herosem. Skromnym, pracowitym, zawsze skorym do pomocy.

Ledwo się wykaraskał, zaczął na nowo działalność godną Majsterkowicza. W ich gniazdku było wkrótce wszystko, od hodowli kur i królików po łazienkę. Mart skonstruował też noktowizyjne okulary pozwalające Tsi widzieć po ciemku. Zaś dla siebie sporządził rodzaj echosondy, dzięki której przemieszczał się w labiryncie niczym nietoperz.

Niestety, jego optymizm znów został poddany poważnej próbie. Niewiele brakowało, aby znikł w ogóle. Jeszcze w siódmym miesiącu ciąży planowali wspólnie, jak po urodzeniu dziecka i jego półrocznym odchowaniu, Mart skonstruuje dla siebie maskę i w trójkę wyjdą na powierzchnię, zająć się dziećmi.

— Młodzież dorasta i musi mieć opiekę — twierdził. — We dwójkę powinniśmy dać sobie radę i powstrzymać proces ich dziczenia.

Niestety, plany te miały się załamać.

Poród był trudny. Mart, choć również lekarz — samouk, nie dysponował medycznym sprzętem, nie posiadał też właściwej grupy krwi do transfuzji. Chłopiec — Jor — urodził się duży i silny. Ale Adda zmarła po czterech dobach, pomimo rozpaczliwych wysiłków Marta.

Potem był niesłychanie trudny rok — okres żalu i obowiązków samotnego ojca. Aż wreszcie Jor zaczął chodzić, a ojczym skonstruowawszy kojec, mógł zostawiać go na dłużej samego i zapuszczać się w pobliże miasteczka. Właśnie z jednej z takich wypraw przyniósł Lugga.

* * *

Kaleki chłopiec spał. Nareszcie bezpieczny, materac w materac obok Jora. Żywe dziecko przekonało go nareszcie, że wybawca nie jest ludożerczym upiorem. Po długotrwałych

naleganiach zobaczył wreszcie twarz Marta. Najpierw przeraził się, a potem o dziwo, nabrał zaufania. Wybawca był kaleką jak on sam.

Hobbysta uczył go siły i odwagi. Tłumaczył, że nigdy nie ma sytuacji tak beznadziejnej, żeby nie opłacało się walczyć. Że istnieje coś silniejszego nad przeciwności losu i pospolitą słabość. Jest nią wola bycia odważnym i potęga inteligencji.

Dlatego Lugg z ochotą przyjął propozycję nauki.

— Biblioteka jest zniszczona, przepadły również programy, twoi koledzy dziczeją, a ja... Cóż, nie jestem młody — mówił Mart. — Muszę nauczyć cię tego wszystkiego, co sam umiem. Muszę przekazać ci wiedzę o przeszłości Ziemi, o naszym Stwórcy, o literaturze, sztuce i nauce. Twoi koledzy pod wodzą Joxxe karmieni przez automaty nie podejrzewają jednego. Gdy dotrą na Nową Ziemię i jeśli uda im się wylądować wahadłowcami, staną bezbronni wobec bezlitosnej natury. Ogromnych gadów, przyrody nie znającej dotąd człowieka. Nie będą mieli do dyspozycji służebnych maszyn, cybernetyki, wszechsprawnych robotów. To wszystko zginęło w pożarze. Będą mieli tylko własne ręce i własne szare komórki...

— To zginą!

— Tak, jeśli im nie pomożemy... — mówił Mart.

Teraz Lugg śpi, oddycha równo, podobnie jak maleństwo obok.

— Strasznie dużo mamy do zrobienia — mruczy Majsterkowicz. Poprawia koce i sam wyciąga się obok na materacu. I tak zasypiają. Ślepiec, kaleka i zaczynające dopiero mówić dziecko. Ostatnia szansa dla przyszłości człowieka. Kaganek wiedzy przeciwko fali barbarzyństwa.

Głowa Hobbysty — biedna, poraniona, poparzona głowa — teraz równocześnie Biblioteka Aleksandryjska, Zbiory Kongresu i poradnik „Zrób sam” — opadła na poduszkę z kurzego pierza.

Mart sypia krótko — czasami targają nim okropne sny. I wtedy z uporem powtarza się jeden majak. Wizja konfliktu na Macierzystej Planecie, wkrótce po starcie ARGO. Obraz wojny, która zniszczyła świat skuteczniej niż pożar ładowni statku kosmicznego. I wtedy Majsterkowicz budzi się z pełną grozy konstatacją, że jest ostatnim rozumnym człowiekiem nie tylko na tym statku, ale również we Wszechświecie... To jest oczywiście sen... ale... ale... Kontakt z Ziemią nie ma.

Już śpią.

Maleńki nośnik życia, jakim jest ARGO, posuwa się tymczasem coraz dalej i dalej w głąb Galaktyki.

PARTY

Opowiadanie to napisałem w 1990 roku. Umieszczając jego akcję w okolicy przypominającej Anin, absolutnie nie mogłem przewidzieć ani mordu na Jaroszewiczach w 1992, ani samobójstwa Ireneusza Sekuły, ani powrotu po trzech latach lewicy do władzy. Można więc stwierdzić, że choć troszeczkę okazałem się prorokiem, to słabym jakimś.

Ostatnie sto metrów przeszedł, potykając się o zlodowaciałe pryzmy śniegu. Gdzież ta epoka, gdy była to uliczka pierwszej kolejności odśnieżania w całej dzielnicy? Od czasu jego ostatniej bytności wyraźnie spsiała. Dawny drewniak ochrony straszył wybitymi oknami. Płot uginał się pod suchymi o tej porze pędami dzikiego wina. Nikt nie sprzątał podjazdu, zaś sam dom — położony w głębi posesji i ukryty wśród świerków — wydawał się niezamieszany. Mężczyzna nacisnął guzik przy furtce. Dwa krótkie dzwonki, dwa długie. Zabrzęczało elektryczne urządzenie sygnalizacyjne przy zamku, dowodząc, że ktoś jednak w środku był. Przybysz rozejrzał się wokół. Nie zauważywszy nawet psa z kulawą nogą, otworzył furtkę.

Wewnątrz domu uderzyło go ciepło i zapach igliwia. Piękna jak sen dziewczyna (najwyżej dwadzieścia lat, ale wyglądająca jeszcze młodziej) odebrała od niego płaszcz, a ze środka wytoczył się Otyły. Dziś bardziej przywiedły niż przed rokiem, lecz z zaróżowionymi policzkami i oczami ciągle błyskającymi energią.

— Jesteś, byku! Nareszcie!

Wymienili standardowy uścisk, który Łysy pamiętał z lepszych czasów i ciekawszych spotkań, od Phenianu po Hawanę.

Weszli do salonu. Tu zmieniło się niewiele. Przybył jeden obraz Kossaka, zniknęła biblioteczka klasyków marksizmu-leninizmu. Na kominku wesoło płonął ogień, a ze ścian gapiły się bezpartyjnie trofea myśliwskich wypraw Otyłego, ze skórą ussuryjskiego tygrysa i łbem angolskiego nosorożca na czele.

— Viola, zrób Mareczkowi drinka! — zadysponował gospodarz.

Dziewczyna zabrała się do tego ze skrupulatnością godną podziwu.

Skąd on bierze tak młode partnerki? — przemknęło przez myśl Łysemu. Właściwie było to pytanie retoryczne. O wyczynach erotycznych Andrzeja wiedział zarówno od samego zainteresowanego, jak i ze służbowych notatek, których wiele nagromadziło się przez lata. Udało mu się w porę zniszczyć przed niespodziewanym przejściem na emeryturę.

Jeśli chodzi o Violetę, to Otyły rozповідаł, że zgarnął ją podczas romantycznej nocy na weselu góralskim w Gorcach. Na owo wesele zabłądził „jako prosty turysta” po zgubieniu obstawy. Podobno wraz z dziewczyną uciekali całą noc przed bandą pijanych harnasiów, którzy gonili ich ze sztchetami zamiast ciupag. Prawda była bardziej prozaiczna. Poznał Violetę, kiedy wraz z jego wnuczką przygotowywała się do sesji egzaminacyjnej na wydziale prawa. Miała dość akademika, więc gdy starszy pan zaproponował jej sublokatorski, darmowy pokój, nie odmówiła. Zresztą, odmawianie nie należało do zwyczajów młodej studentki.

— Po raz pierwszy w życiu trafiła na równie dorodnego samca — komentował Otyły. — Szalejemy za sobą!

Łysy skończył rutynowy obchód mieszkania. Z dawnych lat pozostała mu podejrzliwość i dopatrywanie się podsłuchów za każdym zgrubieniem tynku.

— Jesteśmy sami? — zapytał.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi od palarni i wyszedł Cienki. Uściskali się.

Nikt nie lubił całować Cienkiego. Ów znakomity były ideolog miał cerę szarą i gąbczastą, tak charakterystyczną dla nałogowych palaczy, nie gardzących nadto kieliszkiem.

— Chyba jeszcze schudłeś — rzekł mu towarzysz Marek (Łysy).

— O tobie nie mogę tego powiedzieć — odwdzieczył się Cienki.

Violetta podała drinki. Łysy złapał się na tym, że zbyt nachalnie gapi się w jej dekolt, głęboki jak loch na Łubiance.

— Czy będzie Stary? — zwrócił się do Otyłego.

— Oczywiście. Zawsze wpadał na moje urodziny. Zresztą, rozmawialiśmy wczoraj przez telefon.

Łysy, całkowicie już odprężony, sięgnął po drinka. Było tak domowo: dyskretnie sącząca się muzyka, choinka, nadawały wnętrzu miły i staroświecki charakter. Towarzysz Marek nie należał do osób sentymentalnych, ale czasami potrzebował relaksu.

— Czyli będziemy mieli komplet — stwierdził z zadowoleniem.

— Ograniczony — sprostował Otyły. — Ze starej paki Rafał się przekręcił, Karol w Stanach, a Wiktor zgłupiał.

W dawnych czasach postępowanie eks-towarzysza Wiktora stałoby się przedmiotem sądu partyjnego zakończonego cywilną śmiercią obwinionego. Czy wieloletni pracownik aparatu, absolwent Instytutu Moskiewskiego i Budowniczy Polski Ludowej mógł nagle i bezkarnie odciąć się od swych korzeni? Skoczyć w ramiona opozycji, wypowiadać się i stać praktykującym katolikiem? Wystarczyła krótka choroba, nerwowe załamanie, rypnięcie systemu, a profesorek przeskoczył na drugą stronę barykady.

„Jak trwoga — to zażywamy opium dla mas!” — zwykł mówić o takim postępowaniu Stary.

Sędziwy aparatczyk zjawił się kwadrans po Łysym. On również odprawił taksówkę już na rogu i kuszykając o laseczce, dotarł do willi. Przywitali go ze zrozumiałą atencją. Stary to był ktoś. Zawsze otaczał się małą barierą niedostępności, zawsze stał przynajmniej pół obcasa wyżej od pozostałych. A oni akceptowali taką sytuację.

— Cieszę się, że mogę was oglądać, chłopcy. Najważniejsze, że nadal jesteśmy na chodzie i... — tu Stary niedbale machnął ręką, wskazując okno — nie ponosimy odpowiedzialności za ten burdel.

— Żałośni amatorzy — skomentował Cienki. — Nawet dekomunizacji przeprowadzić nie potrafią.

— Taak — powiedział przeciągle Łysy.

Pozostali towarzysze wbili w niego wzrok. Nie lubili, kiedy Łysy poważniał. Zawsze wtedy okazywało się, że wie dużo więcej, niż wynikałoby to z jego miejsca w hierarchii. „Powiedz, Mareczku — nagabywał go kiedyś w pijackim rozmarzeniu Otyły — czy ty przypadkiem nie jesteś Ruski?” Na szczęście, poczucie humoru kazało obu uznać tę wypowiedź za niebyłą.

Tymczasem Łysy z nagłą przypomniał sobie swój dawny zawód. Spuścił zasłony, dorzucił drew do kominka, wyjął wtyczkę telefonu i zgłosił muzykę.

— Do czego zmierzasz? — zainteresował się Otyły.

— Porozmawiamy.

Stary najwyraźniej coś wiedział na ten temat, bo tylko przyzwalająco opuścił powieki i siorbnął koniaku.

— Ale po co, skąd takie środki ostrożności? — rozległ się głos Cienkiego.

— Węszą za nami — wyjaśnił krótko Łysy.

— Kto? Ci niepoważni gówniarze z UOP-u, których znajomość policyjnego fachu wynika z biernego styku z gumową pałką? — zaśmiał się Cienki. — A może ksiądz proboszcz? Przecież tylko patrzeć, jak ten bajzel runie.

— Nie wykluczam tej ewentualności. — W głosie Łysego nie znalazł się nawet gram entuzjazmu. — Ale co wówczas nastąpi? Kto weźmie władzę? Przecież nie my. Nasz powrót to pieśń dalszej przyszłości. Jakiś człowiek znikąd, populistą, ktoś z tłumu. W każdym razie będzie zapotrzebowanie na krew i czyjeś głowy.

— Mają nową nomenklaturę — zauważył Otyły.

— Nową zajmą się dla przyjemności, a starą z obowiązku. Ale być może zbyt szybko wybiegam w przyszłość — zastrzegł się Łysy.

— Nam grunt pod nogami pali się już dziś. Dorwali Pietię.

Stary chwilę zastanawiał się, o kogo chodzi. Wreszcie przypomniał sobie tajemniczego młodego człowieka, o którym więcej mu mówiono, niż sam mógłby zauważyć. Oficjalnie spotkali się może dwa razy. I chyba nawet nie rozmawiali.

— Kto go dorwał?

— Przecież nie święci anieli obrządku wschodniego. Ruscy! Nawet nie wiem, jak się to ich nowe KGB nazywa. W każdym razie kotłuje się nielicho, jedni przeciwko drugim, drudzy przeciwko trzecim. Pietia znalazł się po niewłaściwej stronie. Może wykazał za mało refleksu. Dawniej powiedzielibyśmy — intuicji rewolucyjnej.

Cienki, wychyliwszy duszkiem pełną szklaneczkę, rzucił:

— Konkrety.

— Niestety, towarzysz Pietrow był nadzwyczaj systematyczny. Nie przeszkadza to w pracy partyjnej, gorzej, gdy dotyczy zajęć nadobowiązkowych. — Po tym wstępie Łysy przeszedł w końcu do sedna sprawy: — Miał domowe archiwum.

— A co w nim?

— Wszystko. Wszystkie interesy. Przelewy, transfery. Nasze wspólne przedsięwzięcia. Szczęściem, bez nazwisk. Ale nietrudno będzie natrafić na kontakt w Polsce, zweryfikować to i owo.

— Rafał nie żyje — wtrącił Stary.

— Sprzyjająca okoliczność, ale notatki sięgają dużo głębiej — wyjaśnił krótko Łysy. — A Ruscy lubią ostatnio robić prezenty naszym aktualnym zarządom. Podadzą nas na srebrnym talerzu za jakiś wagon ziemniaków, który pozwoli Moskwie przeżyć tydzień bez głodu. A nasi, nawet przy swym bałaganiarstwie, prędzej czy później dotrą do nas.

Cienki poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Już od dłuższego czasu zastanawiał się, co on tu właściwie robi. Żona od roku w Paryżu, synowie w Nowym Jorku. Stary był w jeszcze gorszej sytuacji: córka nie chciała rzucić uczelni, małżonka nigdy nie zaaprobowałaby ucieczki. Również Otyłemu zrobiło się nieprzyjemnie. Polubił życie zasobnego emeryta, spisującego pamiętniki w towarzystwie nadobnych kobietek. Perspektywa sądu, więzienia, a nade wszystko utraty pieniędzy wydawała się przerażająca.

A gdyby jeszcze dogrzebali się do tego nieszczęsnego wypadku...

Łysy, świadom ogarniającej ich paniki, po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Nie wszystko jeszcze stracone, towarzysze. Archiwum Pietki to spory kłopot, ale nie mają jego zeznań, nie znają nazwisk. Nie dysponują dowodami materialnymi.

— Wyduszą je z Pietrowa — skonstatował ponuro Otyły.

— Nie wyduszą. Pietka nie żyje.

— Rzeczywiście! — Cienki aż podskoczył z radości. — Czytałem gdzieś o jego samobójstwie.

Łysy wydał wąskie wargi.

— Tak, strzelił sobie w głowę z dziesięciu kroków, i to ze trzy razy. Niezły wyczyn strzelecki.

Umilkł, bo do pokoju weszła bezszmerowo Violetta, wnosząc przystawki. Wycofała się równie dyskretnie.

— Pięknie wyszkolona, jak moja wyzliczka — pochwalił Stary. W tym momencie Otyłemu przypomniało się jakieś polowanie.

Łańsk, może Arłamów. Stary o dwadzieścia lat młodszy. Prominentni cudzoziemcy. Wokół ogniska pokot jak w tajdze. I żal ścisnął serce, że to już nigdy nie powróci... Może być tylko gorzej: ktoś rozpracuje warszawskie kontakty Pieti, jakiś idiota zacznie paplać i dobiorą się...

— Kiedy byłem w tajdze — Łysy najwyraźniej miał podobne skojarzenia — starzy myśliwi opowiadali mi o obyczajach jeleni uciekających przed wilkami. W rozpaczliwej sytuacji poświęcają jednego ze stada. Ten zostaje. Wataha ma żer, a stado może uciec.

Twarz Cienkiego zrobiła się czujna i jeszcze cieńsza. Jego profil przypominał teraz sierp księżycy.

— Do czego zmierzasz?

— Poświęcenie jednego z nas mogłoby rozwiązać sprawę. Wiarygodnie napisane oświadczenie, w którym wziąłby winę na siebie, taki pożegnalny list... Ślad by się urwał.

— Zwariowałeś? — na twarz Otyłego wystąpiły krwiste cętki.

— To jest jakaś koncepcja — odezwał się Stary. — Tajemnica zabrana do grobu, kontaktów nie ma, dowodów też, pieniądze przypadły. Nie będzie powodów do dalszego śledztwa.

— Nikt nie mówi, że teoretycznie jest to zły pomysł — wykrzyknął Otyły. — Ale to oznacza, że któryś z nas musiałby się zgodzić na rolę kozła ofiarnego.

— Zawsze miałeś talent do chwytania byka za rogi — zgodził się Łysy. — Oczywiście, takiej decyzji nie powinno się nikomu narzucać, jest zbyt ważna, powiedziałbym — zbyt intymna. Nie mam jednak wątpliwości, że ktoś z was się zdecyduje. Z żarliwością młodych lat, dla sprawy, dla współtowarzyszy...

— Chyba oszalałeś, stary cyniku. Do kogo to mówisz? — obruszył się Cienki. — Szukasz frajera?

Stary wolno zmiążdżył papierosa w popielnicze.

— Tak, to byłoby niezłe wyjście — mruknął.

Nie wiadomo dlaczego, wszystkie oczy skierowały się ku Cienkiemu. Ten wcisnął się w miękki fotel. Czuł w ich spojrzeniach wyrok śmierci, nieomal słyszał ich myśli: „Znana kanalia. Nikt po nim nie zapłaci”.

— Słuchajcie — wybełkotał. — Uważam, że są poważniejsi kandydaci. Kto by uwierzył, że byłem głównym macherem? W hierarchii stałem dość nisko, mam najskromniejszą daczę, stare BMW. Moja ofiara nie powstrzymałaby pościgu. Co innego, gdyby...

Urwał pod spojrzeniem Starego, który aż uniósł się z fotela.

— Do mnie pije, cwaniaczek. Że najstarszy? Najwyższy rangą? Ale przecież wszyscy wiedzą, że byłem od lat figurantem. Uczciwym człowiekiem do protokolarnych spotkań. Szczerym, prostym, skromnym. Każdy zapytany o mózg, wskazałby na Łysego.

Adresat tych słów prawie nie zareagował. Może odrobinę ściszył głos. Przypominał teraz lekko podrażnionego węża.

— Tak, mam opinię fachowca od specjalnych zadań. Ale dla kraju i organizacji, nie dla siebie! Nadto moje ewentualne samobójstwo mogłoby tylko wzmocnić czujność organów węszenia. Jeśli ktoś taki jak ja wybiera podobne rozwiązanie, coś się musi za tym kryć. Nawet moi przeciwnicy mówią o mnie: ideowy, nieprzekupny. Co innego, jeśli ktoś był całe życie sybarytą...

Ale również Otyły nie przejawiał chęci do poświęcenia.

— Moi drodzy — powiedział tonem lekko drwiącym — taki czyn w moim wykonaniu byłby równie śmieszny, jak wstąpienie do klasztoru. Wiadomo, że byłem cynikiem, koniunkturalistą, który nigdy nie wierzył w komunę. I co, teraz na starość miałbym udawać

romantycznego bohatera? A poza tym nie podoba mi się ta syberyjska anegdotka. Mocno naciągana.

Wrócili do punktu wyjścia. Na łysinę pomysłodawcy wystąpiły krople potu.

— A może odrobina hazardu? — zaproponował. Cienki i tym razem pierwszy zażądał wyjaśnień:

— Co masz na myśli?

— Losowanie — rzucił Łysy, wyraźnie przywiązany do swojej koncepcji.

Zanim pozostali biesiadnicy wypowiedzieli się na temat nowego pomysłu, wewnątrz willi wypełniło charakterystyczne brzęczenie dzwonka: dwa długie dźwięki, dwa krótkie. Zastygli w bezruchu.

— Nikogo więcej nie zapraszałem — sumitował się Otyły.

Weszła Violetta.

— Jakiś facet do ciebie. Przez bramofon powiedział, że ma na imię Wiktor.

— Wiktor? — zdziwił się gospodarz. — A jemu co się stało?

— Po co nam ta mysz kościelna? — skrzywił się z niechęcią Cienki.

— Głupio wyjdzie, jeśli go nie wpuszczę — mruknął Otyły. Stary przyzwalającą skinął głową.

Wiktor był porządnie wlany, chyba tylko dlatego przyszedł. A może po pijaku wpadł po prosu w starą koleiną?

Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych należał do najbliższych przyjaciół Otyłego, jemu zawdzięczał posadę i pozycję. Potem zepchnięto go na boczny tor: nie był dość pewny, dość dyspozycyjny. Trzy lata temu podczas jakiejś ostrej dyskusji po wódce Wiktor stwierdził, że ma dość. I zrezygnował.

Dlaczego przyszedł? Czy przyciągnął go jedynie instynkt pijaczka, który nawet pośrodku Sahary potrafi wygrzebać pół litra?

— Chciałem ci złożyć życzenia, tłusciochu. Trzymaj się. Byli towarzysze niespodziewanego gościa zachowywali się z rezerwą. Sama obecność apostaty bardzo ich spięła. Gorzej, że Wiktor — wypiwszy jeszcze dwie kolejki — wpadł w obrzydliwie kaznodziejski ton.

— I co? Wy, naturalnie, nie wyciągacie żadnych wniosków.

— Machnął palcem przed nosem Łysego. — Wam ciągle się wydaje, że czas sobie na chwileczkę stanął, postoi, postoi i ruszy. Będzie jak dawniej.

— Daj spokój, jesteś pijany! — usiłował łagodzić Cienki.

— Ja pijany?! — ryknął Wiktor i cisnął szklanką o podłogę.

— Ja pijany?! A może i pijany — zgodził się nagle. — Za to wy jesteście impregnowani. Nadszedł czas, aby powiedzieć sobie: to już koniec. Błądziliśmy, myliliśmy się, popełnialiśmy zbrodnie. Co gorsza, nie ma sposobu na odkupienie. Na zadośćuczynienie. Krzywdy, które wyrządziliśmy, gonią nas jak Erynie. Nasza małość dusi nas samych. Dokąd, po co? To już koniec! — powtórzył. W pokoju trwała kompletna cisza. Przerwał ją dopiero Łysy.

— W porządku, Wiktor, zasunąłeś nam. Po oczach! Ale przecież ty od samego początku wiedziałeś, w co grasz. W latach pięćdziesiątych studiowałeś w Moskwie, potem pracowałeś tutaj i teraz chcesz udawać niewiniątka?

— Ja nie udaję niewiniątka. Ja z tym skończyłem. Trzeba umieć skończyć, nawet, gdy to boli. Trzeba się oderwać od własnego łajdactwa.

— Daj spokój, robisz się śmieszny — na twarzy Otyłego pojawił się wyraz niesmaku. — Gdzie piłeś cały dzień?

— Pewnie u proboszcza — zachichotał Cienki.

Wiktor wybelkotał jeszcze, że już wie, co chciał wiedzieć, że szkoda z nimi rozmawiać, ponieważ są absolutnie niereformowalni.

— Możliwe, ale bądźmy tolerancyjni — rzekł Otyły. — I kulturalni.

Po następnej kolejce Wiktor zupełnie oklapł. Powiedział, że będzie się zbierał do domu.

— W tym stanie lepiej nie wychodź, wezwę taksówkę — zaofiarował się z pomocą Otyły.

— Przez las mam niedaleko.

— Wypij przynajmniej kawę — zaproponował Łysy. — Jeszcze zamarzniesz w zaspie.

Udało się jakoś wmusić w Wiktora mocną kawę. Na odchodnym rzucił parę gorzkich myśli.

— Żyj sto lat, tłusciuchu! Ale pamiętaj o Sądzie Ostatecznym! — krzyknął jeszcze na progu i wytoczył się w noc.

Wyjście odszczepieńca wywołało westchnienie ulgi u wszystkich panów. Violetta wniosła desery.

— Skurwiel! — rzekł dobitnie Stary, który lubił podsumowania.

— Zawsze taki był — zgodził się z nim Cienki. — A na starość i po wódzie wylazło to z niego w dwójnasób.

Otyły nie powiedział nic, siedział dziwnie zamyślony.

— Pożyteczny gość — stwierdził naraz Łysy.

Spojrzeli na niego, zdziwieni tym stwierdzeniem. Nie wiedzieli, o co mu może chodzić.

— Tak, to chyba rozwiązuje nasze problemy.

Łysy wydobyl z kieszeni nieduże pudełeczko, coś przekręcił, potem włączył: „Trzeba umieć skończyć, nawet gdy to boli. Trzeba się oderwać od własnego łajdactwa”.

Popatrzyli z podziwem na towarzysza.

— Ty draniu — zawołał Stary. — Nagrałeś go! Ty cwany draniu! Oczywiście, nagranie stanowiło tylko połowę sukcesu. Resztę Łysy streścił w paru słowach:

— Za jakieś trzy godziny Wiktor źle się poczuje, straci przytomność...

— Widziałem, jak mieszałeś mu kawę — domyślił się Cienki.

— Za trzy i pół godziny odwiedzę tego pijaczka w domu. Z dawnych czasów pozostał mi klucz od jego mieszkania. Nieprzytomny, nawet nie poczuje smaku trucizny. Na fiolce pozostaną ślady jego palców. Tymi samymi palcami wystukam na maszynie krótki list do prokuratury. Szczegóły, dane, cała wina na siebie...

— A pieniądze? Nie będą węszyć? — upewniał się Stary.

— Ślad gubi się za granicą — uspokoił go Łysy. — Potem przegram te pijackie wyznania na jego magnetofon... I całość załatwiona.

— Ty masz łeb!!!

W słowach Otyłego pobrzmiwał rzeczywisty podziw. A może nawet odrobina strachu.

— Dobra, załatw to. Tylko pamiętaj, my o niczym nie wiemy — zastrzegł się Stary.

— Właśnie. A jeśli coś się rypnie? — denerwował się Cienki.

— Co na przykład?

— Wiktor nie dotrze do domu albo jego magnetofon będzie zepsuty, a maszyna w naprawie.

— Myślicie, że nie sprawdziłem? Myślicie, że on tu się zjawił przypadkiem? Pił z moim człowiekiem i to on dyskretnie podsunął Wiktorowi, że Otyły jest chory i wypadałoby go odwiedzić.

— Zaraz, zaraz, to po co ta cała zabawa z wybieraniem samobójcy? — zachnął się Otyły.

— Może chciałem się pobawić, może stary policjant jest miłośnikiem Mrożka?

Stary przesunął swój kieliszek w stronę gospodarza.

— Violka! Violka! — krzyknął Otyły. — Możesz przynieść trochę lodu? Violka, słyszysz mnie?

Wiktor szedł, co rusz potykając się przez las, dziś jakby dłuższy i ciemniejszy niż niegdyś. Był naturalnie pijany, ale nie bardziej niż zwykle. Tylko w piersi czuł jakiś ogromny, dodatkowy ciężar. Serce?

Trzęsła go wściekłość na siebie. Po co tam poszedł? Przecież do tych ludzi nie trafiały żadne argumenty. Litość? Głupota? Znow poczuł bolesne ukłucie.

— Panie Wiktorze, panie Wiktorze!

Przystanął, odwrócił głowę. Któż mógł biec za nim o tej porze?

— Violetta?

Tak, to była dziewczyna Otyłego, bez czapki, zdyszana i bardzo zdenerwowana.

— Szybko, skręćmy, cofnijmy się do tej uliczki — mówiła pośpiesznie. — Niedaleko jest postój taksówek, zawiozę pana do szpitala.

— Do szpitala? Po co? — znow się zatoczył.

— Dranie, dali panu jakiś specyfik, potem upozorują samobójstwo. Wszystko słyszałam. Szybciej!

Właściwie nawet się nie zdziwił. Po Łysym można się było wszystkiego spodziewać. Pozwolił, by prowadziła go jak dziecko.

— Wszystko będzie dobrze, panie Wiktorze. Łysy miał swój magnetofon, ale i ja miałam swój. Nagrałam całą ich rozmowę. Do ich partyjnych szwindli dojdzie jeszcze usiłowanie zabójstwa.

Wiktor z wolna zaczął rozumieć, choć nie wszystko.

— Ale dlaczego ty to robisz, dziecko? Źle ci było z Otyłym? Skrzywdził cię? Dlaczego?

— A może marzy mi się awans na sierżanta, panie Wiktorze? No, niech się pan na mnie oprze. Jestem silna, bardzo silna...

W dali zamajaczyło światełko taksówki. Viola odczuwała satysfakcję. Wiktor też.

Byli tak zaaferowani swoimi sprawami, że nie zauważyli nawet krępego mężczyzny skrytego za ośnieżoną choinką.

HORRORY

W tej części zebrałem luźne opowiadania pochodzące w większości z lat dziewięćdziesiątych. Część z nich opublikowałem w „Fantastyce”, jedno w „Życiu”. „Alternatywa” ukazała się w r. 2003 w pierwszym numerze „Faktu”.

Wszystkie mają pochodzenie radiowe. Dłuższe były słuchowiskami, krótsze opowiadaniem. W wyborze książkowym ukazują się po raz pierwszy.

ALTERNATYWA

Ojciec Łukasz był dobrym księdzem, surowym kiedy trzeba i wyrozumiałym, gdy można. Grosza nadmiernie z parafian nie wyciskał, w piłkę z młodzieżą grał, a gospodynię miał tak starą i brzydką, że nikomu nie przyszłoby do głowy posądzać proboszcza o cokolwiek.

Owego letniego dnia, kiedy nad ziemią wisiały burzowe chmury jak nieuchronny koniec lata, a kapłan odbywał w konfesjonale przedobiednią drzemkę, jakiś zgrzyt zakłócił ciszę panującą w świątyni.

— Czy można...? — zabrzmiał głos dziwny, ni młody ni stary, w którym ton skruchy mieszał się z zagadkowo chępliwą intonacją. Ksiądz poprawił się w fotelu i skłonił ucho do kratki.

— Chcesz wyznać swe grzechy, synu?

Obcy chciał jednak na początek pogadać. Nieformalnie. Zaskoczony Ojciec Łukasz chciał wychylić się z konfesjonału, ale niedoszły penitent przytrzymał drzwiczki, twierdząc, że jego widok może być dla duchownego szokujący.

— Jestem, co tu ukrywać, przedstawicielem konkurencji — mruknął.

— Adwentysta, może Żyd? Albo... — zawahał się przed użyciem określenia — socjaldemokrata?

— Dużo gorzej. Diabeł.

— O mój Boże! — jęknął proboszcz, ale przybysz upomniął go, aby nie wzywać imienia Szefa swego nadaremno. Ksiądz jeszcze przez chwilę żywił nadzieję, że to jakiś kawał,

jednak zapach siarki i koniuszek ogona, który prześlizgnąwszy się przez kratkę, musnął podbródek kapłana, pozbawił go złudzeń. Westchnął zatem tylko: „A zatem nadszedł czas próby”. I głośno rzekł:

— Chcesz zwieść mnie na manowce?

— Wręcz przeciwnie — padła riposta. — Chcę się nawrócić.

— Niewiarygodne!

— Ale czy ksiądz myśli, że niemożliwe. Od pewnego czasu usiłuję zdobyć książkę profesora Kołakowskiego „Czy diabeł może być zbawiony”, ponieważ ostatni egzemplarz w piekielnej bibliotece został wyczytany do cna.

— Dlaczego jednak zwracasz się z tym do mnie, syn... kolego!?

— A do kogo miałbym się zwrócić? Kardynał Ratzinger to dla mnie zbyt wysoki szczebel, ksiądz Życiński jest zbyt uczony, ojciec Rydzik aż nadto fundamentalny, a pan, prosty, uczciwy, praktycznie bezgrzeszny duszpasterz...

Tu Ojciec Łukasz zdziwił się tą oceną, ale diabeł szybko wytłumaczył, że zarejestrowane w „Księdze Uczynków” te parę chwil gniewu na parafian, przypadki drobnego łakomstwa czy oglądanie (jeden raz) „Playboya o północy” mieści się w granicach dopuszczalnych przewin. Oszołomiony ksiądz usiłował się pomodlić, ale z wrażenia napomniął nawet, jak zaczyna się „paternoster”, spytał więc o motywy kierujące gościem.

— Jestem zmęczony — padła odpowiedź. — Tysiące lat minęły od chwili, gdy przez przypadek dołączyłem do zbuntowanych aniołów. Właściwie była to słabość koniunkturalisty. Wydawało mi się, że spisek Lucyfera powiedzie się i lepiej będzie mieć legitymację z niższym numerem. Muszę dodać, że przez całą swoją karierę w służbie Złu niczym się nie wyróżniałem. Nie awansowałem, nie otrzymałem wyróżnień. Nie stałem się bohaterem dzieł Goethego czy Bułhakowa, nie malował mnie Memmling ani Bosh, słowem byłem czartem szarakiem, który nie wykonywał zbyt nadgorliwie rozkazów Góry, znaczy w tym wypadku — Dołu.

Ksiądz cmoknął z niedowierzaniem. Diabeł zauważył to i szybko dorzucił:

— Proszę mi wierzyć! Nigdy nikogo nie namawiałem do grzechu, w życiu nie sporządziłem ani jednego cyrografu. Zresztą jak? Pracowałem jedynie w dziale piekielnej rachuby, rozliczającym koszty delegacji, wydatki na cele reprezentacyjne, ekwiwalenty dla tajnych i jawnych współpracowników. Ale mam już tego dość. Chciałbym zmienić swoje życie. Porzucić złe towarzystwo. Wrócić na stronę światłości.

Ojciec Łukasz poczuł suchość w gardle. Ostatnim razem czuł coś takiego, kiedy pewien parafianin wyznał mu, wykorzystując tajemnicę spowiedzi, że jest poszukiwanym od

miesiące seryjnym gwałtciem i aczkolwiek żałuje swych czynów, będzie je kontynuował. Cóż miał począć z dzisiejszym penitentem? Czy kapłańska władza odpuszczania grzechów sięgała tak daleko? Czart przejrzał jego rozterki.

— Czy odmówiłbyś wielebny rozgrzeszenia ludzkiemu klonowi, o którym nawet nie wiadomo, czy ma duszę? — spytał podchwytliwie, a nie słysząc zaprzeczenia, ciągnął dalej: — A zmutowany szympan, jeśliby posiadał zdolność rozróżniania Dobra i Zła, a żył w celibacie i pościł w piątki? Czy zostałby odtrącony? — w sapnięciu kapłana wyczuł wahanie. — A komputer? — tu ksiądz zaprotestował, ale czart nie przerwał wywodu — Komputer przyszłości, obdarzony wolną wolą, samoświadomością, wrażliwością społeczną, a w dodatku o prawicowych przekonaniach?

Tym razem zabrzmiała odmowna odpowiedź. Szatan powstał z klęczek, otrzepał ogonem spodnie i chciał odejść. Proboszcz zatrzymał go jednak.

— Proszę zaczekać. Mówisz, że naprawdę żałujesz?

— Szczerze i gorąco.

— A znasz katechizm?

— Kto jak kto, ale każdy z nas zna go na pamięć. Jednocześnie, biorąc pod uwagę moje wielowiekowe doświadczenie, musi być jasne, iż jestem wierzącym. A praktykującym będę... podczas każdej sumy sztuka złota zasili tacę.

Ksiądz wpadł w panikę, naraz wyobraził sobie szatana na niedzielnej mszy, jak ze stukotem kopytek sunie główną nawą... Wolał nawet nie myśleć o możliwych reakcjach parafian, którzy wzdrygali się przekazać znak pokoju nawet jednemu Wietnamczykowi w gminie. Delikatnie więc zapytał, czy — przynajmniej z początku — nie mógłby pozostać podczas nabożeństwa niewidzialnym?

— Oczywiście, mógłbym — zachichotał czart. — Ale czy ksiądz nie uważa, że jego parafianom przydałaby się praktyczna lekcja tolerancji... Przecież dopiero kiedy wraz z ich dziećmi przystąpię do pierwszej komunii, będą mogli śmiało powiedzieć: „weszliśmy do Europy”.

Po upewnieniu się, że święcona woda nie działa żrąco na przedstawiciela piekieł, a znak krzyża przyjmowany jest z czcią i pokorą, kapłan zdecydował się. Ochrzci diabła! Zaprosi gospodynię i organistę na rodziców chrestnych i zobaczy, co z tego wyniknie. Podniósł się z miejsca, ale w tym momencie gość sam go powstrzymał:

— Chwileczkę. A jeśli kłamie? W końcu my, diabły, jesteśmy specjalistami od fałszu i prowokacji. Przecież mogę być na przykład współpracownikiem pisma „NIE”, które tylko czeka, żeby zrobić reportaż z ukrytej kamery, jak to Ojciec Łukasz diabła pobłogosławił.

— Istnieje takie ryzyko — westchnął ksiądz. — Ale czy mam inne wyjście?

I ochrzcił dobry kapłan czarta. A niedawnemu funkcjonariuszowi Zła odpadły rogi, kopyta i ogon, i stał się wiernym i hojnym parafianinem, pod lasem pobudował niewielki zakład utylizacji odpadów siarkowych, pojął za żonę bratanicę gospodyni, a po kolejnych wyborach nawet został sołtysem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby pewnego dnia Ojciec Łukasz nie otrzymał dziwnego telefonu.

— Dzwonię do księdza w bardzo nietypowej sprawie — powiedział ciepły alt. — Zamierzam albowiem niestety upaść.

— Ależ córko! — zachnął się proboszcz. — Jeśli spodziewasz się mej aprobaty, to jesteś w błędzie. Owszem, wysłuchuję kobiet upadłych, czasem je rozgrzeszam, ale wtedy kiedy już upadną, nigdy przed.

Telefonujący(a) przerwał wywód kapłana, uprzejmie wyjaśniając, że jest... a właściwie był, aniołem. Co prawda, dotąd udawało mu się okiełznywać nietypowe dla anielskiej kondycji preferencje, ale teraz skorzysta z okazji, jaką daje mu umowa transferowa zawarta na najwyższym szczeblu i dołączy do synów ciemności.

— Jaka umowa? — spytał proboszcz.

— Stara jak świat, która przewiduje, że jeśli jeden diabeł się nawróci, to niestety dla równowagi jeden anioł powinien... Bilans musi wyjść na zero!

Fala smutku, która zalała księdza, przybrała jeszcze na sile, gdy dowiedział się, że anioł konwertyta był jego osobistym aniołem stróżem. Co gorsza, popadł on w grzeszne skłonności z nudów, albowiem mając tak zacnego podopiecznego od lat praktycznie był bezrobotnym. Zapłakał wtedy dobry ksiądz. I pomyślał nawet, że może by powstrzymał anioła przed karygodnym odstępstwem, popełniając jakiś grzech drobny, no może średni, który wstrząsnąłby zawodową etyką rozmówcy. Puścił nieudolną wiązką przekleństw, strzelił setkę koniaku, zagroził wizytą w gminnej agencji towarzyskiej, atoli głos anioła w słuchawce był coraz cichszy, a dochodzący z zakrystii chichot diabła coraz głośniejszy...

Za minutę dwunasta wszyscy na pokładzie Transpacyfika „Adventure Explorer” gotowi byli na powitanie Nowego Roku i Nowego Tysiąclecia, pół setki kelnerów z butelkami szampana, uśmiechnięty kapitan na podium, dyżurujący nawigatorzy na mostku, orkiestra... Cały ogromny ekran telebimu wypełniała tarcza zegara, na którym sekundowa wskazówka nieubłaganie postępowała naprzód. Za panoramicznymi taflami szkła widać było mroczne morze i rozświetlone plaże atolu Kiribati, na których setki mieszkańców i turystów czekały na wielki moment nadejścia Nowego Tysiąclecia. Właśnie tu, w miejscu, gdzie przebiega niewidzialna granica zmiany daty.

Zabrzmiały uderzenia perkusji i talerzy. Tłum gości poczęł odliczać. Dziesięć, dziewięć, osiem...

Stuletnia pasażerka — Diana Leyton — jedyna, która urodziła się jeszcze w XIX wieku, przymknęła oczy: „Kto by pomyślał — zaczynam trzeci wiek?” W jednej chwili ujrzała tysiąc obrazów — dziecięce zabawy w Hyde Parku, ochotniczą służbę w szpitalu u schyłku Wielkiej Wojny, rozkoszne lata trzydzieste, kiedy tańczyła w rewii, naloty na Londyn. Kolejne małżeństwa, podróże, porody. Miała czwórkę dzieci, jedenastu wnuków, dwudziestkę prawnuków... Dziś była sama i gdyby nie pieniądze, służba, pielęgniarki i ten komputerowy rozrusznik... Ech!

— Trzy, dwa, jeden, zero... — Naraz zapadła ciemność, zgasł telebim, ucichła muzyka... Ludzie zaczęli bić brawo. Minęło jednak pół minuty i zaniepokojony szmer wypełnił mroczną restaurację. Kapitan Hart zmarszczył brwi. Płonące lody zaplanowano na później.

— Proszę zachować spokój — zawołał głośno. — Wszystko znajduje się pod kontrolą! — sam nie był o tym przekonany. Światła i owszem, miały przygasnąć, ale tylko na pięć sekund. I na pewno nie lampki na topie ani awaryjne podświetlacze schodów...

— Do cholery, dlaczego jeszcze nie włączyło się oświetlenie awaryjne?

Po omacku dotarł na mostek.

— Co tu się dzieje? — rzucił

— Nie mamy pojęcia — odparł Pierwszy, którego twarz w słabym płomyku zapalniczki przypominała oblicze Draculi. — Nagle wszystko zgasło. Matt sprawdza, dlaczego nie włączyło się zasilanie awaryjne. Zresztą, nie my jedni mamy kłopoty. Niech pan spojrzy — wskazał w kierunku atolu. Na wybrzeżu nie paliło się ani światełka. Zgasła nawet latarnia morska usytuowana na cyplu.

— Co podaje radio?

— Przecież nic nie działa.

— Mamy chyba odbiorniki na baterie w szalupach ratunkowych.

Około kwadransa zajęło im wstępne opanowywanie sytuacji. Trzeba było przełączyć sterowanie automatyczne na ręczne — udało się też uruchomić zasilenie awaryjne i w końcu w sterowni pojawiła się słaba poświata.

— Wygląda na to, że siadły wszystkie komputery — stwierdził Główny Mechanik Matt Stone. — Niepojęte! Przed wyjściem z portu w Honolulu wszystko było sprawdzone.

— Co z silnikami? Głównymi generatorami?

— To dłuższa robota.

— Nie możemy czekać, aż prąd zniesie nas na rafy...

— Rzućmy kotwice...

— Kabestany też są uruchamiane przez komputer. Ten statek to pieprzone arcydzieło elektroniki.

— A szalupy ratunkowe?

— Można spróbować ręcznie odblokować wyciągi. Jest taka opcja.

— Wezwijcie wszystkich członków załogi. Niech zajmą się kotwicami i szalupami... Żadnej paniki. A przy okazji, nie macie pojęcia, co stało się na lądzie?

— Nie działają radiostacje ani telefony komórkowe, umilkło radio...

— A gdzie indziej?

Drugi oficer wrócił ze starym tranzystorem. Na wszystkich zakresach rozbrzmiewały radosne dźwięki muzyki. I naraz, w pół taktu, zamilkło Radio Auckland w Nowej Zelandii, dwadzieścia pięć minut potem cisza spowiła wyspy Fidzi, wkrótce po nich Nową Kaledonię.

— Co się dzieje? — wołał kapitan, gdy nawet laptopy wyposażone w akumulatory nie dały się uruchomić.

— Wygląda, że nastąpił koniec świata elektroniki — powiedział Matt Stone. — Przed chwilą umilkł środkowo-pacyficzny satelita komunikacyjny.

— Czyżby to ta cholerna pluskwa milenijna? Wszyscy zdążyli o niej zapomnieć, a ona przyszła z rocznym opóźnieniem?

— To świństwo jest gorsze od pluskwy — niszczy pamięć operacyjną, panele sterowania. Wszystkie bez wyjątku komputery, nawet te w zegarkach, równo ze zmianą daty na pierwszego stycznia 2001 roku zmieniły się w kupę złomu.

— Czyżby totalny sabotaż hakerów?

— Jeśli tak, to wyjątkowo perfidny, jeśli bez ostrzeżenia sięgnął satelity i fabrycznie nowe notebooki. Nie potrafię powiedzieć, czy możliwe jest obciążanie winą jakiegokolwiek człowieka.

— A kogo... — kapitan mimowolnie uniósł głowę ku rozgwieżdzonemu niebu, na którym lśnił Krzyż Południa — nie myślisz chyba...?

— Może ktoś tam na górze doszedł do wniosku, że posunęliśmy się zbyt daleko w konsumpcji owoców z Drzewa Wiadomości.

— Jeśli w ciągu pięciu minut nie rzucimy kotwicy, wejdziemy na rafy! — zawołał Pierwszy Oficer, wracając na mostek. Jakby na poparcie słów dobiegł ich rozdzierający zgrzyt kadłuba.

Diana Leyton umierała. Krew nie pobudzana przez elektroniczny rozrusznik serca stężała w jej żyłach. Narastał chłód i ciemność... Podobna ciemność od wschodu nakrywała coraz większym cieniem ziemski glob. Ten jednak, nie wiedząc jeszcze o zagrożeniu, bawił się i przygotowywał do zabawy. Na Times Square, na Placu Czerwonym, na Placu Defilad. Wszędzie szykowano się świętować śmierć dwudziestego wieku. Wieku, który może kiedyś kronikarze skrobiący na glinianych tabliczkach nazwą Wiekiem Elektroniki.

OPERACJA HEROD

Kiedy zobaczył łódkę, była tylko małą kreseczką na czystej tafli jeziora. Zmarszczył brwi. Któż zamierzał składać mu wizytę na odludziu? Dusza policjanta, która niezupełnie dała się przenieść na emeryturę, podpowiadała mu, że nieproszony gość zawsze oznacza kłopoty. Ronald Baxter odłożył wędkę i poszukał wzrokiem sztucera, z którym nie rozstawał się od czasu, kiedy przed paru miesiącami przeszedł mu przez ścieżkę dorodny grizzly. Przez celownik optyczny popatrzył na wiosłującego, te płomiennie rude włosy... Brian? Czego może chcieć od niego Brian Murphy, że pofatygował się aż dwa tysiące mil od Chicago? Ostatnim razem widzieli się na pogrzebie Marka, później Brian odezwał się tylko raz, z życzeniami noworocznymi. Co przygnało go teraz? Baxter zszedł na pomost i czekał. Umilkły żaby, a niebo przybrało kolor dekoracji do „Studium w szkarłacie”.

Murphy zmienił się bardzo przez te kilka lat. Schudł, a z workami pod oczyma i bladą, niegoloną od paru dni twarzą, wyglądał na starszego o dobrą dychę, niż by to wynikało z jego metryki. Uścisnął Ronalda i ruszył za nim w stronę chaty z bali, rozglądając się, jakby obawiał się, że ktoś może ich śledzić. Wyglądał jak ktoś pilnie potrzebujący pomocy.

— Tylko nie mów chłopcze, że wpakowałeś się w jakieś tarapaty? — odezwał się Baxter, gdy już znaleźli się w środku chałupy.

Murphy potrząsnął ramionami, niczym człowiek pragnący zrzucić niewidzialny ciężar.

— Nie wiem dokładnie, w co się wpakowałem — odrzekł. — Ale to dłuższa historia.

— Mów, chociaż nie bardzo wiem, w czym może ci pomoc emerytowany gliniarz ze sztywnym kolanem — powiedział stary policjant, wyciągając puszki piwa z lodówki.

— Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, że śmierć Marka mogła nie być przypadkowa? — zaczął po przełknięciu pierwszego łyka.

Ronald zamyślił się. Ongiś sam głowił się nad tym miesiącami. Nigdy nie znaleziono kierowcy, który potracił jego syna. Jednak poza tym incydent wyglądał na normalny wypadek. Mark nie miał wrogów, był dobrym studentem i typowym molem książkowym. Nie dorobił się nawet stałej dziewczyny. Oczywiście Baxter rozważał możliwość zemsty któregoś z wielu kryminalistów, jakich sam posłał za kraty. Ale nie miał na to najmniejszych dowodów.

— Masz jakieś podejrzenia? — spytał chrapliwie Briana. — Mark wyznał ci coś przed śmiercią?

— Nie, nie. Jak pan wie, po pierwszym roku studiów przenieśliśmy się z biologii na medycynę w Michigan i nasze kontakty osłabły. Moje podejrzenia wynikają z innych powodów. Dwa lata temu, w czerwcu, przebywaliśmy z Markiem na zjeździe młodych biologów w Vancouver. Kilkudziesięciu wybijających się studentów ze Stanów, Meksyku i Kanady. Razem z Markiem zaprzyjaźniliśmy się szczególnie z trójką z nich. Zapamiętałem ich nazwiska — Dolores Mendoza z Meksyku, Tom Hill z Toronto i Bob Shimanski z Coloumbia Universtity... Po wypadku Marka pomyślałem sobie, że wypadałoby ich zawiadomić. Ale wysłane listy wróciły do mnie bez odpowiedzi. Próbowałem więc skontaktować się z nimi telefonicznie. Na próżno. Cała trójka nie żyła.

— Co powiedziałaś?! — Ronald omal nie wypuścił puszki z rąk.

— Wszystko rozegrało się ciągu trzech miesięcy. Dolores utonęła podczas wakacji w Acapulco, Tom rozbił się swoim samochodem pod Ottawą, a Bob Shimansky popełnił samobójstwo, wyskakując z tarasu widokowego Trade World Center. Początkowo uznałem to tylko za dość niezwykły zbieg okoliczności. Jednak coś nie dawało mi spać. Gdzieś pół roku

później, przy pomocy Internetu zacząłem sprawdzać, czy nie zdarzyło się więcej podobnych nieszczęśliwych wypadków?

— No i?

— Rezultat przerósł moje najgorsze oczekiwania — w ciągu ostatniego roku tylko w USA straciło życie pięćdziesięciu ośmiu obiecujących studentów biologii. Wypadki, samobójstwa, czasem zabłąkana kula podczas ulicznej strzelaniny, raz ukąszenie węża, parę razy przedawkowanie narkotyków, przez ludzi, którzy nigdy się nie narkotyzowali. A dwójka młodych biologów z Bostonu w ogóle zaginęła bez wieści.

Ronald zapalił papierosa, widać było, że opowiadanie zrobiło na nim wrażenie, Brian zaś kontynuował swą relację.

— Szukałem dalej, zauważając z osłupieniem, że zjawisko przypadkowych zgonów wśród studentów ma zasięg światowy. Znalazłem kilkanaście podobnych tragedii zarejestrowanych w Europie Zachodniej, dwa w Polsce, cztery w Moskwie. Sami biolodzy! Czyżby przeklęty fakultet? Dla porównania, w tym samym czasie wśród studentów literatury angielskiej zdarzyło się jedynie pięć zgonów i żaden nie był aż tak tajemniczy.

— Podzieliłeś się z kimś tymi refleksjami?

— Nie. Najpierw nie chciałem narazić się na śmieszność, a od pewnego momentu zacząłem się bać. O siebie. Moje obawy wzrosły, kiedy dokonałem pewnej operacji komputerowej. Zebrałem maksimum informacji o każdym denacie i próbowałem ustalić ich cechy wspólne. — Tu na moment zawiesił głos i popatrzył na Baxtera. — Poza studiowaną biologią wszystko ich różniło: rasa, płeć, pochodzenie, nawet wiek, najmłodszy był szesnastoletnim geniuszem, najstarszy, liczącym trzydzieści jeden lat „wiecznym studentem”. W końcu jednak znalazłem coś, co ich łączyło. Hobby! Wszyscy ze zmarłych byli namiętymi fanami science fiction! Członkami klubów, częstymi gośćmi bibliotek, bywalcami konwentów... — Na bladej twarzy Briana pojawiły się rumieńce, coraz bardziej ponosiła go opowiadana historia.

Ronald nie komentował, ale w głębi serca odczuwał smutek. Biedny chłopak, najwyraźniej stracił kontakt z rzeczywistością. Murphy musiał wyczuć obawy Baxtera.

— Wiem, wiem, że moje hipotezy przypominają rojenia wariata — rzekł. — Jednak postanowiłem sprawdzić też ten trop. I znalazłem coś jeszcze dziwniejszego. Otóż, Mark w dniu swej śmierci czytał książkę „Nadchodzą” Herberta Queena. Tę samą powieść zabrała ze sobą do Acapulco Dolores Mendoza. I nie ona jedna! Udało mi się też ustalić, że pierwsze „wypadki” wśród studentów amerykańskich zaczęły się w kwietniu, bezpośrednio po pojawieniu się tej powieści na rynku. W pozostałych krajach również żaden zgon nie zdarzył

się przed wydaniem powieści. Postanowiłem ją przeczytać. I wówczas okazało się, że dzieło to zostało kompletnie wykupione i nie mają go w żadnej bibliotece. Uwierzy pan, wszystkie egzemplarze poginęły. Zdobyłem ją dopiero u prywatnego kolekcjonera.

— Mam nadzieję, że na ciebie żadna klątwa nie działała — w głosie Ronalda zabrzmiała delikatna ironia.

— Na razie chyba nie. Powiem więcej, pierwsze dwieście stron zabójczego arcydzieła bardzo mnie rozczarowało. Pomysł jest mniej więcej taki: W stronę Ziemi nadciąga inwazja z kosmosu. W szeregach ludzkości działa od lat potężna, tajna armia Obcych, przygotowujących teren. Flotylla inwazyjna ma przybyć za parę lat...

— Wydano całe setki podobnych bzdur — skrzywił się Baxter.

— Toteż czytałem rzecz z rosnącym znużeniem. Aż do momentu, kiedy nasze satelity zwiadowcze wykrywają flotyllę i na Ziemi wybucha panika. Potęgują ją akty dywersji uniemożliwiające skutecznie obronę. Dla ludzi staje się jasne, że Obcy są wśród nas, ale nie można ich rozpoznać ani zwalczyć. I wtedy grupa młodych biologów przypadkiem odkrywa, że pewien ogólnodostępny preparat, nieszkodliwy dla Ziemian, może być zabójczy dla Obcych. Następuje zwrot w akcji, dekonspiracja agentów, wreszcie rezygnacja z inwazji.

— Nie powiesz chyba, że uwierzyłeś w taką bajeczkę?

— Długo nie wierzyłem, dla świętego spokoju postanowiłem jednak porozumieć się z autorem książki. W tym celu zadzwoniłem do agentki literackiej Herberta Queena, niejkiej Lizy Stein. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby, nie zdradzając swojego nazwiska, przedstawić się jej jako Burt Conolly, dość znany krytyk literacki z redakcji „Chicago Globe”. Prawdopodobnie podświadomie chciałem zostać poważniej potraktowany przez pannę Lizę. Już pierwsza informacja, której mi udzieliła, była porażająca: Herbert Queen nie żył od paru dni. „Wypadek?” — domyśliłem się. „Nie, atak serca, wspomniano o tym w wiadomościach, a więcej napisały dzienniki Zachodniego Wybrzeża. Oczywiście, jeśli idzie o twórczość pan Queena, służę pełną informacją, panie redaktorze”. Mimo zaskoczenia udało mi się jeszcze dowiedzieć od niej, że amerykańska edycja „Nadchodzą” pojawiła się w marcu. W Kanadzie zainaugurowano sprzedaż w kwietniu, przekład na hiszpański pojawił się w czerwcu, podobnie było z niemieckim i polskim. W Moskwie zaczęto rozprowadzanie nakładu w lipcu. Szło rewelacyjnie. Tymczasem w sierpniu Queen nieoczekiwanie wstrzymał dalsze dodruki, twierdząc, że musi przeredagować dzieło. Miał zabrać się za to późną jesienią. Nie zdążył...

Ronald nie wyglądał na przekonanego. Historia była nazbyt nieprawdopodobna, hipotezy naciągane. Brian miał jednak argument dla starego sceptyka, wyciągnął wczorajszą gazetę.

Czarne litery nekrologu były wręcz w oczy „Znakomity krytyk „Chicago Globe” Burt Conolly ginie porażony prądem podczas kąpieli...”

* * *

W wieloletniej karierze policjanta Baxter spotkał się z najróżniejszymi sprawami. Ta była absolutnie nieprawdopodobna. Jednak stary policjant nie zwykł lekceważyć żadnych dowodów. A te, które przedstawiał Brian, układały się w logiczną całość. W dodatku, jeśli hipoteza była prawdziwa... Do diabła! Kimkolwiek byli mordercy, mogli znajdować się wszędzie. Bez trudu wykupili książki na paru kontynentach. Bezlitośnie likwidowali wszystkich, którzy w momencie prawdziwej inwazji mogliby znaleźć sposób obrony. Młodych, zapalonych naukowców, pozbawionych uprzedzeń, jakie mają do fantastyki ich starsi koledzy. Murphy uważał, że mogło to być prewencyjne działanie przeciwnika, coś na wzór akcji Heroda przeciwko Niewiniątkom. Jeśli miał rację — cały gatunek ludzki znalazł się w śmiertelnym zagrożeniu. Dlatego też, kiedy Brian skończył opowieść i pytająco spojrzął na Ronalda, ten mruknął tylko:

— Pojadę z tobą, chłopcze. Jeśli nawet w tej historii kryje się promil prawdy, nie odpuszczę skubańcom, którzy zabili mi syna.

Skoro świt ruszyli w drogę, kierując się w stronę odległego o tysiące mil San Diego, gdzie mieściła się rezydencja Herberta Queena. Baxter wykluczył możliwość zwrócenia się o pomoc do władz. Po pierwsze, nikt by im nie uwierzył, a po drugie Obcy (jeśli w istocie to oni kryli się za aferą) zdusiliby śledztwo w zarodku.

— Gdy zdobędziemy jakieś mocniejsze dowody, spróbujemy zainteresować sprawą media — stwierdził.

— Uważa pan, że w pojedynkę, kiedy nie wiemy nic o przeciwniku, mamy szansę dowiedzieć się czegokolwiek? — pytał Brian

— Nawet mimo braku świadków i dowodów można wyciągać pewne wnioski. Po pierwsze wiemy, że Obcy (zakładając ich istnienie) skądkolwiek by pochodzili, nie są wszechmocni i wszechwiedzący...

— Fakt, my jeszcze żyjemy. Poza tym dość łatwo kupili wersję, że jestem Burtem Conolly i zlikwidowali jego zamiast mnie.

— Można ich unicestwić, ponieważ gdyby byli nieśmiertelni, nie zareagowaliby tak historycznie na możliwość dekonspiracji. Nie są również bezcieleśni ani niewidzialni. Nie

potrafią wnikać parapsychologicznie w nasze ciała. Bo przecież gdyby to potrafili, po prostu przejmowaliby kontrolę nad ciałami Ziemi zamiast ich likwidować...

— Ale dlaczego zakłada pan, że muszą przybierać ludzkie kształty?

— Kiedy spałeś, przejrzałem pliki z twego laptopa. Przy żadnym z zarejestrowanych zgonów nie ma nawet wzmianki o obecności w pobliżu ofiar jakichś dziwnych istot, cyborgów czy choćby zwierząt... Owszem świadkami katastrof czy samobójstw bywali niekiedy przechodnie, dzieci... — tu urwał. Prowadzący pickupa Brian popatrzył na Baxtera z zaskoczeniem.

— O co mu chodzi?

— Cholera! Zupełnie o tym zapomniałem... — mrucał były glina.

— O czym?

— Kiedy szukałem sprawcy śmierci Marka, zupełnie zlekceważyłem jedno z zeznań. Jakiś pijacek upierał się, że kwadrans przed wypadkiem widział stojący w bocznej ulicznej chevrolet, za którego kierownicą siedziało mniej więcej dziewięcioletnie dziecko.

Brian hamuje gwałtownie. I jemu przypomina się, że jedynymi świadkami śmierci Dolores w Meksyku była gromadka dzieci. Również jakiś księgarz oskarżał kilkoro niedorostków o kradzież ostatnich egzemplarzy „Nadchodzą”. Murphy opowiada o tym Baxterowi, a ten prosi o zatrzymanie się przy najbliższym aparacie telefonicznym. Wykręca kierunkowy do Chicago. Ma szczęście, dyżur ma akurat jego stary kumpel, Jim Gross. Ronald, sprytnie zmieniając głos, przedstawia mu się jako Larry Glenn, gliniarz z Phoenix, stary towarzysz broni jeszcze z Wietnamu. Wprawdzie Gross ma już nieco przytępiony słuch, ale pamięć doskonałą.

— Słuchaj stary? — pyta Ronald charakterystycznym, skrzekliwym głosem Glenna. — Chodzi mi o szczegóły śmierci tego waszego dziennikarzyni, Conolly’ego. Podobno utonął we własnej łazience. Mieliśmy u nas w Arizonie podobny przypadek, żona pomogła mężowi przejść na tamten świat przy pomocy prądu podłączonego do wanny. Czy i u was istniała taka możliwość?

— Nic z tych rzeczy! — zaprzecza Jim. — W mieszkaniu nie było nikogo. Po prostu Conolly siedząc w wannie, jak idiota postanowił się ogolić, nie zauważając, że przetaił się kabel jego elektrycznej golarki.

— A może ktoś jeszcze miał klucze do jego apartamentu?

— Odpada! Wszystko było zaryglowane od wewnątrz, do tego kraty w oknach i zamurowane okienka piwniczne.

— Słowem mysz by się nie prześlizgnęła?

— Mysz może tak, na strychu znalazłem maleńki świetlik, ale z trudem precyzyjnie się przez niego bardzo szczupłe dziecko:

* * *

Tego wieczoru w Chicago, gdy panna Liza Stein po powrocie z zebrania feministek nalewała sobie wieczornego drinka, zabrzączał dzwonek do jej drzwi. Musiał przybyć ktoś z sąsiadów, bo portier z dołu nie anonsował żadnej wizyty. Otworzyła. Na progu stała parka na oko trzynastoletnich dzieciaków. Schludnie ubrani, wyglądali sympatycznie i reżolutnie.

— Chcieliśmy porozmawiać z panią, pani Stein — powiedział Chłopiec.

— To bardzo ważne. Dla pani — dodała Dziewczynka.

— Nie mam czasu — odparła opryskliwie Liza, myśląc o drinku i usiłowała zamknąć drzwi.

Chłopiec odepchnął ją z siłą Mike'a Tysona.

— Co robisz? — krzyknęła.

— Zamknij się, suko! — padło w odpowiedzi. — I siadaj na tyłku, jeśli nie chcesz, żeby cię naprawdę zabolalo.

Oszupiała. Co gorsza, chwycił ją jakiś niespodziewany paraliż, nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą. Łudziła się, że to tylko koszmarny sen. Kim były te okropne szczeniaki? Zmaterializowanymi płodami wyobraźni Queena?

— Jesteśmy dziećmi — powiedziała Dziewczynka z wyraźnym obrzydzeniem wylewając nienapoczętego drinka do zlewu. — Dziećmi! — powtórzyła. — Tylko troszkę mądrzejszymi niż inne w naszym wieku. Jeśli będziesz z nami współpracować, nic ci się nie stanie.

— Chodzi nam o drobiazg — dorzucił Chłopak, niedbałym tonem zawodowego gangstera. — Musisz ogłosić, że przygotowujesz nową, pośmiertną wersję powieści „Nadchodzą”, według ostatnich zapisków Herberta Queena, pod tytułem „Już nadeszli”.

— O mój Boże! — jęknęła Liza, czując, że zsiakała się w majtki.

* * *

Po trzech dniach jazdy non stop zatrzymali pickupa dwie przecznice od domu Herberta Queena, fantazyjnej krzyżowce średniowiecznego zamczyska z przeszklonym punktem sprzedaży hot-dogów. Zmierzchało i na malowniczym zboczku opadającym w stronę oceanu i

mostu Coronado rozbłyskały tysiące światła. Ronald zalecił Brianowi pozostanie w samochodzie. Sam zamierzał wybrać się na rekonesans. Murphy niechętnie pogodził się z rolą, ale na wszelki wypadek wyciągnął strzelbę z bagażnika.

Rezydencja pisarza sprawiała wrażenie niezamieszkałej. Wygaszone światła, spuszczone żaluzje, uschnięte kwiaty w ogrodzie. Wszędzie szalały cykady. Baxter obszedł całą posesję i naraz doleciał go plusk wody od strony willi przylegającej do posiadłości pisarza. Otworzył furtkę. Dwójka małolatów pluskająca się w basenie skierowała ku niemu swój wzrok. W ich kąpeli nie byłoby nic podejrzanego, gdyby nie brak światła w całym domu i wywieszka „na sprzedaż” wisząca przed budynkiem. Każdy jednak może się kąpać, korzystając z nieobecności gospodarzy.

— Cześć, dzieciaki! — zagadnął Baxter, podchodząc bliżej.

— Dobry wieczór... — odparł grzecznie Chłopiec, pomagając wygramolić się z wody Dziewczynce.

Kąpali się nago i można było zauważyć, że proces dojrzewania jeszcze się u nich nie zaczął. Wyglądali zdrowo, normalnie, a mimo to Ronald poczuł, że jego puls gwałtownie przyśpiesza.

— Nie wiecie przypadkiem, czy ktoś teraz mieszka w domu Herberta Queena? — spytał, siląc się na maksymalnie swobodny ton.

— Chyba nikt... A kogo pan szuka? — spojrzenie chłopaka było czujne, świdrujące.

— Jego morderców — rzucił i natarł na nich ostro. — Czy to wasz dom? Możecie poprosić tu swoich rodziców? Myślał, że przestraszy szczeniaków. Bardzo się pomylił. Naraz przeniknął go ból, ostry jak trafienie porażającą pałąką. Zdumiony zarejestrował bezwład swych mięśni. Zachwiał się. Widział rozszerzone źrenice dzieciaków, utkwione w nim niczym wyloty luf i przysięgłby, że słyszy gdzieś w głębi mózgu komendę: „Idź do basenu, do basenu...” Usłuchał, nie miał żadnej kontroli nad swym ciałem.

— A może najpierw go przesłuchamy? — zaproponowała półgłosem Dziewczynka.

— Przesłuchamy tego drugiego. Czuję, że jest tu gdzieś drugi — odparł Chłopiec. Impulsy atakujące mózg Ronalda wzmogły się — „Idź do basenu, do basenu...”

— A więc tak działają... — przemknęło przez głowę staremu policjantowi. Krawędź zbiornika była tuż tuż. — Zaraz mnie utopią! Cholera, czemu nie wziąłem ze sobą Briana?

Naraz gruchnął strzał. Z drzew posypało się listowie. Dzieciaki odwróciły głowy. Na skraju tarasu pojawił się Murphy, ściskając dubeltówkę. Idiota, strzelał na postrach!

— Celuj w nich! — wrzasnął Ronald. Atoli pod ciężarem skoncentrowanego spojrzenia bachorów młody mężczyzna upuścił broń. Jednak ten moment odwrócenia uwagi wystarczył Baxterowi, odzyskawszy władzę w rękach, wydobył spluwę...

— Nie! — wrzasnęły Dzieciaki, próbując sparaliżować go powtórnie. Za późno. Uderzenie pocisku cisnęło Chłopca do basenu, w którym woda niezwłocznie zabarwiła się jego krwią, trafiona w udo dziewczyna osunęła się obok trampoliny jak szmaciana lalka.

— O Boże, ty naprawdę zabiłeś tego szczeniaka! — jęknął Brian i zgięty w pół poszedł wymiotować w krzaki. Tymczasem Baxter klęknął przy dziewczynie, usiłując zatamować krwotok. Przeklinała go niskim głosem dobywającym się gdzieś z trzewi.

— Pieprzeni durnie! Nie macie z nami żadnych szans! Żadnych szans.

Znów próbowała go spętać spojrzeniem. Brakowało jej jednak sił, a kiedy narzucił jej ręcznik na twarz, cała moc się ulotniła. Była tylko ranną, bezradnie szlochającą dziesięciolatką. Ronald załadował ją do wozu. Wyłowione zwłoki Chłopaka umieścił w bagażniku. Zastanawiał się, czy Dziewczyna może telepatycznie ściągnąć im na kark pościg? Miał nadzieję, że nie. Gdyby łączyli się telepatycznie, czemu miałyby służyć leżące na stole telefony komórkowe? Tymczasem od strony głównej ulicy doleciało wycie syreny. Ktoś z sąsiadów wezwał policję. Trzeba było szybko się zmywać.

* * *

Nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli na opuszczone rancho na pograniczu Nevady, które Ronald najwyraźniej znał z jakichś wcześniejszych eskapad. Mieli szczęście. Nikt ich nie ściągał. A przynajmniej nikt ich nie zatrzymał. Gdy rozwidniło się nieco, Brian przystąpił na stole w obszernym salonie do sekcji Chłopaka. Wyniki nie były obiecujące.

— Jak to, nic nie znalazłeś? — złościł się Ronald. — Kompletnie nic?

— Nie jestem biegłym patologiem, tylko studentem o niewielkiej praktyce, jednak w ciele denata nie znalazłem śladu żadnej pozaziemskiej istoty. To był normalny, dobrze odżywiony dziesięciolatek. Szczepiony na ospę. W dzieciństwie operowany na kolano. Krew zwyczajna, grupy 0, RH+. W żołądku niestrawiona pizza.

— A jego mózg?

— Również w normie. Może odrobinę większe podwzgórze odpowiadające za nerw wzroku. Poza tym nie znalazłem żadnych guzów, zmian tkanki, obecności obcej substancji. Jeśli jest w nim coś kosmicznego, to musi być równie nieuchwytnie jak dusza.

Ronaldowi zrobiło się nieprzyjemnie. Czyżby uległ złudzeniu i w amoku zabił normalne dziecko? Postanowił zajrzeć do umieszczonej w sąsiedniej izbie Dziewczynki i spróbować z nią porozmawiać.

— Niech mnie pan uwolni — pisnęła spod szmaty, którą zawiązał jej oczy. — Jestem ranna, powinnam już dawno znaleźć się w szpitalu.

— Wiesz dobrze, że to niemożliwe, póki nam wszystkiego nie powiesz.

— Kiedy ja nic nie wiem, to Alex był jakiś inny... Ja jestem tylko jego małą, bezbronną siostrzyczką.

— Nie kłam — przerwał jej — wiem, do czego jesteś zdolna. Od kiedy Obcy jest w tobie?

— Nie wiem, o czym pan mówi, zawsze byłam taka, jaka jestem.

— Z nadzwyczajnymi zdolnościami do telepatii i z umysłem dojrzałego człowieka?

— Jestem po prostu troszkę zdolniejsza od innych — szepnęła rozbijając. — Pomyliliście się.

— Z kim w takim razie kontaktowaliście się przez telefony komórkowe?

— Rodzice nam dali.

— I to jest głos waszych rodziców? — Baxter włączył pocztę głosową. Zabrzmiął dziwny mechaniczny bas: „CA-211, CA-212, zgłóście się...”

— Nic więcej ci nie powiem! — Dziewczynka odwróciła się do niego plecami.

* * *

Wnioski nasuwały się wielce niepokojące. Jeśli 211 i 212 były numerami porządkowymi Obcych, to w samej Kalifornii musiało być ich parę setek. A w całych Stanach? A na świecie? Baxter przejrzał pamięć komórek. Ostatnie trzy rozmowy Dzieciaki odbyły z panną Stein. Do diabła! Czyżby agentka Herberta Queena też była kosmitką?! A może ktoś przejął kontrolę nad jej telefonem. Było to o tyle prawdopodobne, że na stronie internetowej Agencji Lizy Stein pojawił się tej nocy obszerny anons o kontynuacji powieści „Nadchodzą”. Porządkując papiery nieodżałowanego Queena natrafiła ponoć na prawie kompletną, drugą część bestsellera pod roboczym tytułem „Oni już tu są”.

— Co mamy o tym myśleć? — spytał Brian RONALDA, a ten odrzekł, iż jego zdaniem jest to dość fachowa przynęta, na którą ktoś chce ich złapać.

* * *

Biedna Liza Stein, mimo spełnienia żądań Dzieciaków nie odzyskała wolności. Daremnie próbowała wydostać się z domu. Za każdym razem zaraz za drzwiami napotykała któreś z tych okropnych dzieci. A samo wejrzenie ich przeraźliwie błękitnych oczu cofało ją do środka. Próbowala ich prosić, starała się być przymilną, na próżno. Jedyna odpowiedź, którą słyszała, brzmiała: „Proszę z nami współpracować, a będzie pani żyć”.

— A jeśli nie zechcę?

Wlepili w nią swoje ślepie. Ubezważniona powlokła się do kuchni. Jej ręka pozbawiona autokontroli sama powędrowała do kurków z gazem. Dzieciaki odwróciły wzrok i parsknęły śmiechem.

— Po co ma ci się przydarzyć jakieś nieszczęście? Prawda?

* * *

Mimo braku porozumienia z Dziewczynką, samotni „obrońcy naszej planety” nie próżnowali. Baxterowi udało się porozmawiać z pewnym emerytowanym policjantem z Los Angeles, kolegą jeszcze z Akademii Policijnej. Hugh Murdock o nic nie pytał i zgodził się pomóc. Efektem jego paru rozmów było ustalenie imion Dzieciaczek. Dwunastoletnie bliźniaki nazywały się Alex i Eva Graham. Urodzili się w słynnej klinice w San Fernando w wyniku zapłodnienia in vitro. Zabiegu dokonała doktor Amy La Foret. Hugh zdołał jeszcze ustalić, że w ciągu roku pani doktor przyjęła około dwustu porodów będących efektem sztucznego zapłodnienia. Wnioski nasuwały się same.

— Chyba powinniśmy jak najszybciej porozmawiać z panią doktor — zawołał ożywiony nagłą nadzieją Brian.

— To będzie trudne — Ronald westchnął. — Amy La Foret nie żyje. Dziesięć lat temu popełniła samobójstwo. Przedawkowała środki nasenne. Ale dowiedziałem się jeszcze, że zanim dotarła do Kalifornii, pracowała w Nowym Yorku, wcześniej rok w Chicago, a zaczęła praktykę w Waszyngtonie...

— Rozumiem. Powinniśmy zatem szukać niebezpiecznych jedenastolatków w Nowym Jorku, dwunastolatków w Illinois, a trzynastolatków w Dystrykcie Columbia.

— Przede wszystkim Hugh musi zdobyć dla nas listę wszystkich dzieci, jakie ujrzały świat w Szpitalu San Fernando przed dziesięciu laty.

Uzyskane informacje napełniły ich otuchą. Zobaczyli przynajmniej cień wroga. Ronald postanowił jeszcze raz przesłuchać Evę. Nie zamierzał jej torturować. Chciał tylko podać jej odrobinę burbona... Na rozluźnienie.

Dziewczynka nie spała. Słyszając kroki Baxtera, zażądała rozwiązania i odsłonięcia oczu.

— Wszystko zależy od ciebie. Ale najpierw wypij to. — Podsunął jej kubek. Wzdrygnęła się.

— Czuję alkohol. A mnie nie wolno pić alkoholu...

— To tylko kropelka na wzmocnienie. No pij!

Podniosła wrzask, dziko pluła i kopała. Mimo to Ronald czuł wręcz sadystyczną przyjemność, wlewając burbona przez jej zaciśnięte zęby. Naraz maleństwo ryknęło basem:

— Zabiliście mnie, zabiliście! — drobnym ciałem wstrząsnęły konwulsje, jeszcze chwila i znieruchomiało. Ronald zawołał Briana i obaj spróbowali reanimacji. Na próżno! Zanikł oddech, a serce nie biło. Nie pomógł masaż ani sztuczne oddychanie. Murphy był w wstrząśnięty. Baxter za to promieniał.

— Chłopcze! To przełomowy moment. Być może przypadkiem odkryliśmy to, czego tak się obawiali. Prosty środek, który specjalnie nie szkodzi ludziom, zabija klony obcych.

— Alkohol? — zaśmiał się Brian. — Od razu widać, że to musi być cywilizacja pozaziemska.

— Jednak to tłumaczy, dlaczego na swych agentów wybrali dzieci. Te raczej rzadko znajdują się w sytuacjach, w których muszą wypić...

— Zatem inwazja musi nastąpić, zanim dorosną!

— Bez wątplenia. Dlatego bierzmy się zaraz do roboty, Brian. Musimy szybko pochować ciała i pędzić do Kalifornii. Hugh dostarczy nam nazwiska pozostałych nastolatków, my poddamy paru z nich testowi alkoholowemu. Jeśli metoda się sprawdzi, ostrzeżemy społeczeństwo za pomocą mass mediów i oddamy się do dyspozycji władz.

Szybko uwinęli się ze wszystkim. Może za szybko! Brian zaniedbał sekcji zwłok, a gdy w półmroku zapadającego zmierzchu przysypywał piaskiem zimne ciało Ewy, nie zwrócił uwagi na zaskakujące przebarwienie skóry. Nie wyczuł także powolnego, ale z każdą chwilą mocniejszego bicia serca.

* * *

Tym razem mieli pecha. Nie ujechali nawet trzydziestu mil od farmy, gdy zatrzymał ich patrol policji. Pech okazał się podwójny. Dowódca patrolu, sierżant Crebs, był niewątpliwie

najgłupszym policjantem na zachód od Gór Skalistych. W ogóle nie dał im dojść do głosu. Wyrecytował formułkę o przysługujących im prawach.

— Znam swoje prawa. Sam byłem gliniarzem, kolego — zawołał Baxter.

— Wiem! — z miejsca ściał go Crebs. — Ale to nie zmienia waszej sytuacji. Jesteście podejrzani o uprowadzenie i przetrzymywanie rodzeństwa, Alexa i Evy Graham.

Mimo protestów skuto im ręce, wrzucono do samochodu policyjnego i skierowano się wprost na miejscowy posterunek. Ronald próbował jeszcze uzyskać zgodę na zatelefonowanie do Murdocka, ale sierżant skonfiskował im oba komórkowe aparaty. Należały wszak do porwanych.

— Sierzancie, proszę nas wysłuchać, tu chodzi o czas — gorączkował się Murphy, nie zważając na gesty mitygującego go Baxtera. — Nie ma pan pojęcia, jakie to ważne. Czy pan wie, o co idzie gra? Kim jest przeciwnik? Nie uwierzy pan, ale te śliczne dzieciątka to w istocie osobniki o niebywałych możliwościach telepatycznych. Potrafią zmusić człowieka do samobójstwa, do składania fałszywych zeznań. Stanowią zagrożenie dla całej naszej cywilizacji jako forpoczta przyszłej inwazji...

— Aha. Małe, zielone ludziki? — zaśmiał się Crebs. — Bardziej ciekawi mnie coście z nimi zrobili, chłopaki? Naturalnie możecie milczeć. Wkrótce i tak się dowiemy, nasz drugi patrol odnalazł już farmę, na której się dekowaliście.

* * *

Areszt był mały, ciasny i smrodliwy. Do skontaktowania się z Hughsem Murdockiem nie doszło. W osadzie przestały tego dnia działać zamiejscowe telefony. Komórki też ogłuchły. Brian czuł coraz większy niepokój. Strach wzmógł się jeszcze bardziej, gdy ujrzał na ulicy anielsko wyglądającego chłopczyka, gapiącego się w stronę ich celi. Zagadnięty strażnik wyjaśnił, że jest to Mike, syn tutejszej starej panny Ann Greenway. Ann urodziła go, gdy miała pięćdziesiąt pięć lat. Bez ojca! To była sensacja. Ronald spojrział wymownie na Briana. Ten zagryzł usta. Po pół godzinie mogli zobaczyć, jak do Mike'a dołączył sympatyczny Murzynek, po następnych dwóch kwadransach zjawił się jeszcze jeden ich rówieśnik. Indagowany na ich temat sierżant stwierdził, że to nietutejsi.

— A czy mógłby pan sprawdzić, czy ich nazwiska znajdują się na liście porucznika Murdocka? Czy urodzili się w San Fernando? — prosił Ronald.

— Niczego nie będę sprawdzać, panie Baxter!

— Niech pan posłucha, sierzancie, a przynajmniej skojarzy fakty — nalegał były glina. — Czy to nie jest podejrzane? Głuchną telefony, milkną komórki, nietutejsze dzieci okrążają areszt.

Ale Crebs nie chciał ich słuchać. Promieniał. Właśnie otrzymał meldunek, że na farmie znaleziono ciała dwojga nieletnich ofiar. Posterunkowy Greg Henderson relacjonował mu na bieżąco przebieg akcji przez krótkofalówkę (ta jakoś działała), podczas gdy drugi z funkcjonariuszy, Matt Slump, zajmował się odgrzebywaniem ciał. Nie była to pierwsza ekshumacja w życiu Matta, toteż od razu zaskoczył go dziwny zapach. Nie przypominał woni rozkładu, raczej odór jakiegoś zwierzęcia.

— Chyba mamy tę dziewczynę — meldował Henderson. Naraz jego głos się zmienił. — O Boże, szefie, to się rusza... Nie!!! Dobiegający z drugiego planu krzyk Slumpa był przerażający. Policjant spodziewał się trafić na zwłoki Ewy Graham, ale to, co ukazało się jego oczom... Ciało na znacznej powierzchni pokrywała łuska, a twarz, mimo że pozostały jeszcze dwa dziewczęce warkoczyki, wydłużyła się już w zębaty pysk gada...

— Przerwałeś mój sen, człowieku — zaryczał potwór ludzkim głosem.

Henderson rzucił się do ucieczki. Gonił go rozpaczliwy wrzask Slumpa i jakieś przerażające mlaśnięcia. Kryjąc się za samochodem, otworzył ogień. Ale kule najwyraźniej nie mogły zaszkodzić bestii. Zbliżała się. Policjant skoczył do wozu. Desperacko piłował rozrusznik. Motor krztusił się i gasł. W ostatniej chwili ruszył. Kiedy Greg odważył się wreszcie spojrzeć w lusterko, zobaczył za sobą jedynie tuman kurzu.

Na posterunku Murphy i Baxter obserwowali przez kraty miotającego się sierżanta. Najpierw wściekłego, potem coraz bardziej przerażonego, próbującego wezwać pomoc, ściągnąć posiłki.

— Cholera! — wrzasnął wreszcie do aresztantów. — Kogo wyście tam zakopali? Greg mówił, że to pół człowiek, pół potwór, i w dodatku rosnący w oczach. Pożarł mojego najlepszego funkcjonariusza, zagraża drugiemu. Co to znaczy? Mówcie! — ciężko dysząc, oparł się o kratę.

— Nie mam pojęcia — odparł Ronald. — Kiedy odjeżdżaliśmy, Eva nie żyła.

— Widocznie tylko nam się wydawało — nagła myśl wpadła do głowy Brianowi. — A jeśli alkohol wcale ich nie zabija? Tylko usypia. I uruchamia mechanizm przemiany. Uaktywnia uspione chromosomy. Przyspiesza metabolizm. W efekcie ludzki nosiciel Obcych przeobraża się we właściwą, dorosłą postać.

— O czym wy mówicie? O inwazji jaszczurów? — przerywa Crebs.

— Być może odkryliśmy ich plan na „godzinę zero” — tłumaczy Murphy. — W odpowiednim momencie każdy z Dzieciaków miał chlapnąć lufę i ujawnić się jako kosmiczny gad. A my niechcący przyśpieszyliśmy ten proces.

— Nic nie rozumiem! — bełkocze sierżant. — Mówcie lepiej, czym się zwalczą takie cholerstwo, gazem, ogniem? Tam są moi ludzie. Potwornie przerażeni... A wam co?

Nagła fala lęku dotarła i do aresztowanych. Poczuli ją równocześnie. Nie zwiastowała jednak zbliżania się potwora. To nadchodziły Dzieciaki. Na zewnątrz zgromadziła się już ich co najmniej dziesiątka. Mimo grubych murów, Brian i Ronald czuli hipnotyczny pierścień zaciskający się wokół ich głów.

— Sierzancie, proszę odsunąć się od okna, otworzyć celę i dać nam broń! — wrzasnął Ronald. — Albo wszyscy zginiemy!

Ale Crebs, niezdolny do jakiegokolwiek działania, zachowywał się jak pijany. Zataczając się, zrobił dwa kroki i nieprzytomny runął na podłogę. Z oczu, uszu i nosa płynęła mu krew. Ronald nie tracił czasu, przypadł do ziemi wysunął rękę przez kratę i dotarł do kluczy. Po chwili cela stała otworem i miał broń. Wręczył strzelbę Murphy’emu. Ten drżał cały. Ronald odbezpieczył broń, zaraz szczęknął też zamek dubeltówki. Naraz uświadomił sobie, że obaj z Murphym mierzą do siebie. Próbował odchylić rękę. Choć o cal. Nic. Palce same zacisnęły się na spustach...

Naraz z zewnątrz rozległo się wycie wozu policyjnego. To wracał Henderson. Może z posiłkami? Krąg hipnotyczny raptownie osłabł. Dziesiątka dzieciaków rozglądała się niepewnie po ulicy. Brian i Ronald dopadli okien. Musieli działać natychmiast. Otworzyli ogień! Coś krzyczało w Brianie:

— A jeśli to wszystko złudzenie, pomyłka, błąd? Jeśli te małolaty są niewinne?

* * *

W masakrze zginęło dziesięcioro dzieci i jeden z policjantów, usiłujący przeciwstawić się strzelaninie. Potem Brian i Ronald złożyli broń. Policjanci i przybyli wkrótce funkcjonariusze

FBI z trudem zapobiegli ich linczowi przez wzburzonych mieszkańców. Prasę poinformowano o grupce szaleńców, którzy po dokonaniu rzezi zniknęli. Co naprawdę stało się z Barterem, Murphym i Hughiem Murdockiem, trudno dociec. Ich rodziny do tej pory nie otrzymały z Waszyngtonu żadnych wiadomości. Tymczasem w ciągu następnego roku na całym świecie zmarło na tajemniczą dziecięcą tężyczkę około siedmiu tysięcy dzieci.

Dziwnym trafem wszystkie urodziły się wskutek zapłodnienia in vitro. Światowa Organizacja

Zdrowia nadzorowała zabieranie ich ciał do badań na pewną bezludną wyspę u wybrzeży Brazylii. Później szerzyły się pogłoski o pojawieniu się na niej ogromnej ilości martwych jaszczurów. Ale jaka jest prawda i czy ma ona związek z gwałtownym wzrostem spożycia alkoholu, nawet w świecie wojującego islamu? Kto to wie? Może tylko autorzy science fiction należący do Agencji Lizy Stein. Ale i oni w tej sprawie trzymają gębę na kłódkę.

ŁAPISZCZE

Igranie z lękiem. Któż przyzna się otwarcie do czerpania przyjemności z tego rodzaju proceduru? A przecież jest coś podniecającego w obserwowaniu strachu innych. Wie to każdy, komu zdarzyło się wsadzić małego psiaka na stojący zegar, zamknąć kota w wirującym bębnie pralki czy przysuwać do twarzy schwytanego ptaszka, czując jak jego małe serduszko łomocze w naszych paluchach. Strach innych, to jakby powiększenie obszaru własnego bezpieczeństwa, to obawa sprzedana bliźnim, to ucieczka przed tym, co nas samych w sobie przeraża.

Łapa, a właściwie gipsowa piastka ukruszona na wysokości przegubu, znakomicie nadawała się na rolę straszaka, była niewielka, jak u kilkuletniego dziecka, a jednak w jakiś sposób niesamowita. Jacek po raz pierwszy zobaczył ją na trawniku przed domem. Najwyraźniej ktoś przerzucił przez płot ukruszony detal jakiejś rzeźby. Czy był to fragment cementarnego aniołka, czy odłamany kawałek amorka, zdobiącego któryś z nowobogackich ogródków? Na użytek wścibskiej i płochliwej siostry natychmiast zaimprovizował przerażającą historyjkę...

— To wcale nie jest rzeźba sporządzona przez artystę, tylko fragment dziecka — oznajmił.

— Dziecko z kamienia? — oczy Zosi zrobiły się wielkie jak spodeczki.

— Fragment bardzo niedobrego dziecka, które dwieście lat temu skamieniało.

— Dlaczego skamieniało? — dopytywała się ciekawa jedenastolatka.

— Dlaczego... Dlaczego? Zamordowało swoich rodziców i zostało ukarane.

W paru zdaniach, dość sugestywnie zrelacjonował przebieg wydarzeń. Złe dziecko znalazło w domowej apteczce truciznę i wyspało do zupy domownikom — babci, dziadkowi, rodzicom i rodzeństwu.

— I wszyscy umarli? To kto o tym opowiedział? — spytała przytomnie Zosia.

— Wszyscy umarli z wyjątkiem najmłodszego brata, którego akurat bolał brzusek i nie zjadł zatrutej zupki.

— Aha. A co było potem? Ten braciszek opowiedział o wszystkim na policji?

— Na razie nie mógł nic powiedzieć, bo ze strachu odebrało mu mowę. Ale w noc po pogrzebie, kiedy mały morderca udał się na cmentarz, uderzył w niego piorun, zmieniając w nagrobny posąg. Równocześnie w domu jego młodszy braciszek odzyskał głos. Oczywiście, to wszystko zdarzyło się dwieście lat temu, potem cmentarz porósł lasem, zapomniano o nim, a współcześnie podzielono teren na działki i pobudowano domy.

— To my mieszkamy na cmentarzu? — zaniepokoiła się Zosia.

— Mniej więcej. A złe dziecko tylko czeka, żeby się znowu obudzić.

— To już nie mów dalej. Idę spać! — Zosia nakryła się kołderką.

Przez następnych parę dni zabawa z łapą dostarczyła Jackowi mnóstwo satysfakcji. A to ukradkiem wsunął ją siostrze do tornistra, a to nocą położył na parapecie na zewnątrz okna i kijem zastukał od ogrodu. Trzeciego dnia tych zabaw Zosia dostała wysokiej gorączki. A zdenerwowani rodzice ukrócili igraszki, oddając gipsowy gadżet śmieciarzom. Można powiedzieć — koniec sprawy, niestety, następnego popołudnia gipsowa dłoń znów znalazła się u Zosi pod poduszką.

— Znowu wygrzebałeś to świństwo ze śmietnika, mały sadysto?! — krzyczał ojciec, wywijając pasem.

— Ależ tato... — tłumaczył Jacek. — Ja tego nie zrobiłem. Zresztą, to nie jest ta sama łapa. Tamta ograniczała się tylko do pięści, a tu jest cały przegub.

— Pewnie znalazłeś gdzieś drugą i podrzuciłeś siostrze.

— Kiedy? Dopiero wróciłem ze szkoły i nie byłem jeszcze w pokoju Zośki.

— Nie powiecie mi chyba, że łapa znalazła się tam sama?! — zawołała matka.

Jacek nie skomentował jej słów. Sam czuł się niewyraźnie. Nie żeby się bał. Przecież historia o „złym chłopcu” była wytworem jego wyobraźni. Jednak gipsowy detal przestał go bawić. Wyniósł go do śmietnika, a przed snem sprawdził, czy nadal tam jest i dla pewności przywalił klapę ciężkim kamulcem. Zasnął szybko. Obudził się jednak tuż po północy, kiedy sypialnię zalały potoki księżycowego światła. Do jego uszu doleciał nieprzyjemny chrobot. Mysz?

— Kto tam? — spytał półgłosem.

Chrobot, a właściwie delikatne pukanie, nasiliło się. Dźwięk dochodził z wnętrza staromodnej szafy. Co to za kawały!? Chłopak zerwał się na równe nogi i szarpnął drzwiczki bieliźniarki!

— O cholera!

Łapa leżała bezczelnie na stosie ręczników. Wydawała się jeszcze większa, urosła już do łokcia. Czyżby rzeźba odrastała? Niedoczekanie! Starając się nie budzić domowników, Jacek wziął młotek, łapę pod pachę i wybiegł na ogródka. Dzięki pełni było jasno jak w dzień. Roztłukł łapsko na kilkanaście kawałków, rozsypał po grządkach, przekopał. Z emocji nie zauważył nawet, że się skaleczył i dopiero w pokoju dostrzegł ślady krwi na dłoniach. Ale spał dobrze.

Inaczej Zosia. Całą noc dziewczynce śniły się koszmary. Przy śniadaniu, cała rozdygotana opowiadała o cmentarzu, o rozgrzebanych grobach i wypęzających z nich trupach, które wołały: „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca”.

Temat powrócił również przy kolacji, wywołując dłuższą rodzinną dyskusję, na temat nawiedzonych miejsc, wędrowki dusz i tym podobnych bzdur. Matka opowiadała o kobiecie pokazywanej w jakimś programie telewizyjnym, która przypominała sobie, jak w poprzednim wcieleniu, przed trzystu laty zakopała skarb. Wskazała miejsce i zaraz znaleziono tam garnek pełen złotych monet. Ojciec uznał opowieść za kompletną bzdurę, wciskaną przez telewizyjnych manipulatorów ciemniakom, gotowym uwierzyć we wszystko.

Jacek nie zajął stanowiska, ale zasypiając, dużo myślał o tych sprawach. Analizował, skąd przyszła mu do głowy historyjka o „złym chłopcu”? Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś podobnym. Naraz zawieszonemu w półśnie wydało się, że widzi tamtą rodzinę zgromadzoną w staromodnej jadalni, że słyszy pokasywania dziadka i głos babci: „Jasiu, nie bądź złym chłopcem, bo Bozia cię pokarze...”

Gdzieś w pobliżu złowróźnie zawył pies. Chłopak poderwał się z tapczanu. Jakaś siła skłoniła go, by podszedł do okna. Wiedział, co może zobaczyć, zagrabione grządki, śmietnik, garaż... Zaraz. Czyżby już zaczęły kiełkować tulipany? Na tle czarnej ziemi widać było białe kiełki, rosnące szybko jak na filmie przyrodniczym. Ale to nie były pędy. To były palce! Patrzył jak urzeczony, nie mogąc wykszusić słowa. Tymczasem za palcami wyłoniły się ręce. Potem głowy i dobiegł go szept: „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!”

Koniecznien trzeba się obudzić! To sen, oczywiście, tylko głupi sen! Uszczypnął się. Nic! Chciał zapalić lampkę nocną, potem żyrandol. Ale pojawiło się jedynie niewielkie czerwone światełko, jak w fotograficznej ciemni. Szepty narastały. „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!” Usiłował krzyknąć, nie miał siły, próbował otworzyć drzwi do sypialni rodziców, daremnie. Mógł jedynie patrzeć na to kiełkowanie, rozpoznawać wynurzające się postaci — Babcie w starodawnej mantyli i Dziadka w kontuszu... „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!” — powtarzali mrukliwie. Strach stawał się coraz bardziej dojmujący, ściany zdawały się zacieśniać wokół niego, sufit zaś tak się zniżył, że przypominał do złudzenia

wieko trumny. Na schodach zabębniły kroki nieproszonych gości. Czyjeś chichoty. I naraz w kulminacji lęku zdał sobie sprawę z najgorszego: Zły chłopiec to on!

Rankiem rodzina nie zastała Jacka w pokoju. Gdzie się podział? Łóżko było rozgrzebane, ubranie leżało na krześle, a okulary na nocnej szafce. Jeszcze trudniej było pojąć, w jaki sposób, w ciągu nocy na klombie przed domem wyrosła rzeźba bezskrzydłego amorka.

O złym grymasie ust i wykrzywionych palcach. I dlaczego na lewym policzku miała taką samą charakterystyczną myszkę jak Jacek?

WIRUS

Pierwszą ofiarą epidemii był w czwartek Janusz T., maturzysta z niewielkiego nadmorskiego miasteczka. Drugi wypadek odnotowano nazajutrz w stolicy — piękna sekretarka dyrektora poważnej spółki. W wypadku trzeciego i czwartego denata trudno mówić o kolejności, symptomy bowiem pojawiły się prawie równocześnie w powiatowym C. (na skraju gór) i wojewódzkim B. we wschodniej części kraju. Do poniedziałku odnotowano dwadzieścia jeden przypadków, do wtorku sześćdziesiąt trzy.

— Mamy epidemię! — powiedział Naczelnny Lekarz Kraju. Władza, jak to władza, natychmiast utajniła tę informację.

— Panika tylko może zaszkodzić sprawie — stwierdził wicepremier powołany na szefa sztabu kryzysowego, obradującego permanentnie metodą telekonferencji.

— Chwalić Boga, choroba nie kończy się śmiercią! — rzekł Minister Wyznań.

— Na razie! — lakonicznie uzupełnił Minister Zdrowia.

— Ale może nas zdrowo kosztować — dodał Minister Finansów.

— Zwłaszcza, gdy dowie się o tym świat — westchnął Minister Spraw Zagranicznych.

— A czy musi? — zapytał Premier.

Choroba miała przebieg gwałtowny, a równocześnie dziwny — zrazu objawiała się wysypką na twarzy, potem wysoką gorączką, wreszcie wywoływała stany euforyczne, prowadzące niekiedy do zakłócania porządku publicznego, przechodząc po trzech dniach w głęboką apatię. Podobne reakcje wywoływał dotąd tylko alkohol wspólnie z narkotykami. Żaden jednak z chorych nie znajdował się pod wpływem wspomnianych używek. Niektórzy nawet mieli opinię abstynentów. Najdziwniejsze było jednak, że żaden z chorych nie kontaktował się przedtem z innym zarażonym. Ba, trudno by znaleźć jakiegoś wspólnego nosiciela. Naukowcy z Centrum Epidemiologicznego zgadzali się, że zarazę powoduje jakiś wirus dotąd nieznanym medycynie i tak mikroskopijny, że nie sposób było go zauważyć. Tylko, jak dochodziło do infekcji?

Szybko wykluczono możliwość zatrucia pokarmowego, kropelkowego, choroby nie mogły roznieść insekty ani gryzonie. Nie przenosiła się metodą płciową (wśród zarażonych był jeden pop i jedna zakonnica). Może więc wirus był wszechobecny, a aktywizował się tylko u wybranych?

Niestety, po przeanalizowaniu stu podstawowych cech — okazało się, że nie ma żadnej prawidłowości, wśród chorych reprezentowani byli przedstawiciele wszystkich grup krwi, kolorów włosów i skóry (zachorował jeden Murzyn), ras (wśród chorych nie zabrakło Cygana ani Żyda). Chorowali mężczyźni i kobiety, młodzież i emeryci, humaniści i technicy, urzędnicy i artyści. Chociaż, co skwapliwie odnotowano, przewagę mieli ludzie z wyższym wykształceniem.

— I to jest jakaś wskazówka! — zauważył Minister Oświaty.

— Może należy gruntownie zbadać ich hobby? — podpowiedział Minister Kultury.

— Sprawdziliśmy — ripostował Minister Spraw Wewnętrznych. — Są tam reprezentowani zarówno filateliści, numizmatycy, bibliofile, wędkarze, myśliwi, krzyżówkowicze jak i działkowicze.

— A komputerowcy? — zapytał z głupia frant Minister Łączności.

— O kurczę — zawołał Premier, podrywając się znad klawiatury. — O tym nie pomyśleliśmy, wszyscy zarażeni mieli komputery podłączone do sieci.

W tym momencie na ekranie domowego monitora każdego z członków gabinetu uczestniczących w telekonferencji pojawiła się pulsująca ikonka: „Masz wiadomość”.

— Nie otwierać — wrzasnął szef Urzędu Ochrony Państwa.

— To od hakera!

Ale było za późno.

W następnych dniach doszło do wielu zaskakujących zdarzeń.

— Minister Spraw Wewnętrznych uciekał przed kontrolą drogową, Minister Spraw Zagranicznych poprosił o azyl na Białorusi, Minister Finansów goły jak święty turecki stanął zebrać pod kościołem, zaś Minister Kultury wtargnął z szablą do Muzeum Narodowego i porąbał dwa Picassy. Wkrótce jednak euforia minęła i cały gabinet pogrążył się w apatii, aż do przedterminowych wyborów. Hakera nigdy nie znaleziono. Ciekawe jednak, dlaczego prominenci czołowej partii opozycyjnej jeszcze przed wybuchem epidemii wyposażyli swe komputery w nowe programy antywirusowe?

DOM SPECYFICZNEJ TROSKI

Na początek zobaczył jej nogi, gdy schodziła po betonowych schodach wiodących na molo. Mocne łydki, wyrastające z wełnianych skarpet. Wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał, wysportowana blondynka o silnych ramionach i płaskiej klatce piersiowej. Był pewien, że jej biogram nie mija się z prawdą — pełna subordynacja i nieskomplikowany charakter gwarantowały, że będzie idealną osobą do wyznaczonych zadań. Oczy miała osobiście niebieskie, a na policzkach rumieńce, jakie zapewnić może tylko czyste sumienie i regularny tryb życia, aczkolwiek nie można było wykluczyć istotnego wpływu doskonałego kosmetyku o nazwie Lavandina.

Zielonozółta karetka służby psychiatrycznej zakręciła na pustym placyku i zniknęła w głębi platanowej alei. Joanna zeskoczyła do motorówki. Herbert podał jej rękę. Uścisk miał mocny, pewny.

— Rewelacyjna punktualność — pogratulował. Odpowiedział mu szczery uśmiech nieskazitelnie białych zębów.

Zapucił silnik. Czekał ich kawał drogi. Dom leżał na wyspie w północnej, niegościnniej części jeziora, gdzie dostępu do brzegów broniły dzikie góry, a wypływająca rzeka tworzyła groźną kaskadę. Herbert nie zadawał wielu pytań. Posiadał pełne dossier pielęgniarki: pięć lat pracy w szpitalu w stolicy, trzy ostatnie lata w Zakładzie dla Kobiet o Zaostrzonym Progu Ryzyka, stanowiły doskonałą rekomendację.

— Praca nie będzie trudna, siostrzo Joanno — tłumaczył. — To maleńki ośrodek, można powiedzieć prawie domek jednorodzinny, czterech strażników, kucharka, pielęgniarz i my, to wszystko.

— A pensjonariusze?

— Przeważnie starzy, zmęczeni ludzie, o nieco śmiesznych choć niezbyt groźnych dewiacjach, żyjący w wymyślnym świecie o dość skomplikowanej hierarchii. Naszym celem jest zapewnienie im maksimum spokoju, stąd troska o jak najmniej zmian i ta klauzula w umowie, która mogła panią nieco zdziwić.

— Jaka klauzula, doktorze? — błękitne oczy popatrzyły na niego z zaciekawieniem.

— Zgoda na zerwanie na najbliższe trzy lata wszystkich kontaktów ze światem zewnętrznym.

— Ach, nawet nie zwróciłam na to uwagi!

Max, potężny, ponad dwumetrowy pielęgniarz — niemowa o twarzy dziecka, zaniósł jej walizeczkę do pokoiku na poddaszu. Joanna umyła ręce w mikroskopijnej umywalce, a następnie krętymi schodami zeszła do stołówki. Pensjonariusze jedli zupę podaną przez kucharkę, która wyglądała jak idealna krzyżówka rodziców, z których jedno cechował zespół Downa, drugie zaś nękane było przez Basedowa. A, i tak uchodzić mogła za przystojniaczkę w porównaniu z pacjentami. Joanna różne już monstra w życiu widziała, ale czwórka mężczyzn przy stole przypominała potwory z filmowego horroru. Twarze pensjonariuszy pokrywały przerażające wypryski, bąble i czyraki, które całkowicie zniekształcały im rysy, a postronnego obserwatora musiały napawać odruchowym wstrętem. Odrażający karmin świeżych blizn przechodził w zadziwiający fiolet zrogowaciałych tkanek... Herbert uprzedził ją wprawdzie, że w poprzednim miejscu pobytu pensjonariusze ulegli zatruciu szerzącym się tam grzybką *fungus miraculus*, a zastosowana terapia zablokowała jedynie przerzuty na dalsze partie ciała, ale mimo to przeżyła szok.

— Przywyknie pani. I proszę się nie bać, w obecnym stadium grzybek nie jest zaraźliwy.

Jej wejście powitano pochrząkiwaniami i pełnymi uznania sapnięciami.

— Chłopcy, to wasza nowa opiekunka, siostra Joanna — powiedział doktor. — A to, jeśli siostra pozwoli, są: Naczelnik, Generał, Profesor i Patriarcha.

Witali się z nią kolejno, każdy na swój sposób. Generał najpierw dziarsko stuknął obcasami i zsalutował, ale potem, gdy odwróciła się do Profesora, uszczyptała ją w pośladek, szepcząc: „Zdrowa dupa!” Profesor ucałował koniuszki palców pielęgniarki tak delikatnie, że

nawet kropla ropy z jego nosa nie padła na jej dłoń. Patriarcha przywitał się, podając rękę po kobiecemu. Jak do ucałowania. A potem pobłogosławił znakiem krzyża. Naczelnik zaś uścisnął Joannę, jakby była jego kumplem z drużyny piłkarskiej. Przy okazji dowiedziała się, że do Generała najlepiej mówić: „Tak jest, panie Generale!”, do Profesora: „Ekscelencjo”, a do Patriarchy: „Ojczy”.
— A ja jestem Henryk — zakończył mężczyzna tytułowany Naczelnikiem.

Po obiedzie, w trakcie którego z dużym wysiłkiem zmusiła się do przełknięcia paru łyków zupy, przeszli razem z doktorem Herbertem do niewielkiego ambulatorium. Joanna poprosiła o karty historii choroby pacjentów.

— Nie prowadzimy — zaskoczył ją Herbert. — Nie ma takiej potrzeby. Stan pacjentów można określić jako stabilny, objawy cechuje constans, ot łagodne niekonfliktowe urojenia, zabawne nawyki. Podajemy im standardowe środki uspokajające. I pozwalamy się bawić.

— Bawić?

— Patriarcha uroił sobie, że naprawdę jest księdzem. Rzeczywiście rewelacyjnie zna Biblię, żywoty świętych, lubi monologować o moralności. Generał uwielbia gry komputerowe, czasem też rozstawia na planszach armie ołowianych żołnierzyków. Profesor natomiast przepada za literaturą. Sam też pisuje wiersze. Aha, i bardzo dba o swoje zdrowie i tężyznę. Trzeba więc codziennie pobiegać z nim po alejce wokół wyspy.

— Nie może biegać sam?

— Zdarzyło mu się już raz wpaść do wody. Ledwo go wyciągnęliśmy.

— A ten, jak mu tam...? Naczelnik?

— Henryk? To ponury, nieobliczalny typ. Trzeba na niego uważać.

— W jakim sensie? Seksualnym?

— W ogóle nie należy przebywać z nim sam na sam.

* * *

Mimo ogromnego zmęczenia Joanna spała krótko. Obudził ją jakiś szmer. Ogromna twarz księżycy w pełni zajmowała przestrzeń między framugami okna. Zegarek wskazywał dziesięć po pierwszej. Gdzieś w pobliżu rozległ się szept:

— Sostro Mario, siostro Mario...

Poznała głos Henryka. Jak się tu dostał? Przecież drzwi zamknęła od wewnątrz? Wskoczyła z łóżka i dopadła drzwi. Zamknięte. Tymczasem spory cień przysłonił otwarte okno. Naczelnik musiał wspiąć się po bluszczu.

— Siostró Mario...

Otworzyła drzwi, chciała wyskoczyć na korytarz, krzyknąć. Przybysz okazał się szybszy. Dopadł jej dwoma susami i zatkał dłonią usta. Joanna była silna, ale w jego rękach czuła się jak szmaciana lalka.

— Spokojnie! — szepnął prosto do ucha. — Nic ci nie zrobię, ten bezpieczniak musiał ci naopowiadać na mój temat koszmarnych bzdur. Zaraz, ty nie jesteś siostrą Marią, ty jesteś ta nowa... Biedactwo.

— Co tu się dzieje? — z korytarza dobiegł głos Herberta. Drzwi otworzone uniwersalnym kluczem stanęły otworem. Za doktorem postępował olbrzymi sanitariusz. Naczelnik puścił Joannę, skulił się na podłodze jak psiak oczekujący na skarcenie.

— Henryk do pokoju! Znowu wariujesz podczas pełni?! Max cię zaprowadzi.

Pacjent pokornie pokiwał głową i pochlipując jak dziecko, dał się odprowadzić gigantowi.

— Nie wolno spać przy otwartych oknach — pouczał Herbert. — A jeśli zauważy się coś podejrzanego, należy wzywać pomocy. Nie chciałem siostry straszyć, ale prawda jest taka, że nasz samozwańczy Naczelnik tydzień temu gołymi rękami udusił siostrę Marię, pani poprzedniczkę.

* * *

Przez następne kilka dni nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Pacjenci dopiero oswajali się z nową pielęgniarką, czasami tylko wyrwało im się jakieś zdanie nie dotyczące pogody, diety, korzonków czy hemoroidów. Na przykład Patriarcha, gdy masowała mu pokręcone przez reumatyzm nogi, zapytał znienacka:

— A powiedz, dziecinko, czy odbudowano już stołeczną katedrę spaloną podczas zajęć kwietniowych?

Ponieważ milczała, powtórzył pytanie na poły lękliwie, na poły błagalnie.

— Odbudowano, pięć lat temu — odrzekła. — Ale bardzo proszę nie zadawać mi więcej takich pytań.

— Nie będę. Niech cię Bóg zachowa w swojej opiece, moje dziecko.

Innym razem Generał zaprosił ją do planszy zastawionej ołowianymi żołnierzami, sporo mówił o walorach działań oskrzydających, a zakończył rzuconym półgłosem zwierzeniem:

— Szkoda, że swego czasu zabroniłem przyjmowania kobiet do szkół oficerskich, posiada pani niewątpliwie coś, co zwie się „gruczołem Bellony”.

— A wie pani, że zawsze lubiłem takie zdecydowane blondynki — wyznał jej parę godzin później Profesor. — Szkoda, że nie zdecydowałem się uczynić kogoś podobnego do pani swoim rzecznikiem. Tak, tak, popełniłem poważny błąd, lekceważąc opinię publiczną. Wydawało mi się, że program radykalnych reform wystarczy. A propos, nie wie pani przypadkiem, jaki jest aktualny kurs naszej waluty do dolara?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zabrzączał pager przy jej pasku, Herbert wzywał ją do siebie. Czyżby przekaznik był równocześnie mikrofonem podsłuchowym?

— Pomyślałem sobie, że może mieć pani do mnie parę pytań. — Brzydki uśmiech igrał na wąskich, zaciętych wargach doktora.

— Nie mam. Pacjenci jak na razie nie nastroczają mi szczególnych trudności.

— A nie zastanawiają pani ich urojenia? Nie sposób przy pani inteligencji nie zauważyć, że ci biedacy mniej lub bardziej udanie usiłują odgrywać przed panią postaci z ostatniego dziesięciolecia naszej historii. Generał podaje się za przywódcę junty, która uciskała naród aż do rewolucji wrześniowej. A przecież musiała pani widzieć, jak pluton egzekucyjny rozstrzeliwuje tę kreaturę przed kamerami telewizji.

— Oczywiście.

— Profesor uroił sobie, że jest owym gapowatym intelektualistą, premierem pierwszego demokratycznego rządu, który po roku reform zmiotł strajk generalny.

— Doskonale wiem, że tamten premier popełnił samobójstwo.

— Właśnie. Natomiast nasz następny pacjent, pseudonim Naczelnik, podaje się za przywódcę owego strajku generalnego, późniejszego Naczelnika Państwa, którego obalił kolejny przewrót. Powstanie kwietniowe. Naczelnik dzielnie poległ na schodach swego pałacu. Potem, jak wiadomo, powstała u nas republika teokratyczna na czele z patriarchą Zjednoczonego Kościoła. Pamięta pani, państwo wyznaniowe, celibat urzędników, kara chłosty w szkołach i fabrykach. Gdyby pożył dłużej, wystrzegając się trucizny, pewnie mielibyśmy tu drugi Iran...

— Rozumiem już, za kogo uważa się Patriarcha! — powiedziała Joanna.

— Zgodzi się pani, że jest to bardzo interesujący przypadek dopełniających się dewiacji — Herbert uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Normalnie chorzy żyją własnymi, pojedynczymi urojeniami. W naszym domu mamy rzadki przykład paranoi zbiorowej. Jest to ewenement na skalę światową i dlatego dostałem subwencję rządową na prowadzenie tego eksperymentu. Sądzę, że teraz wszystko jest jasne?

— Tak jest — odparła.

— No to proszę wracać do pracy. A jeśli zechcą się pani zwierzać, proszę udawać, że ufa pani każdemu ich słowu.

* * *

Nazajutrz przy podwieczorku wybuchnął konflikt. Patriarcha skrytykował jakość ciastek.

— To kwestia mąki — zauważył Profesor. — Jej jakość ostatnio się pogorszyła.

— Bo kto swoimi poronionymi reformami zrujnował wieś — wtrącił Naczelnik.

— Wielowiekowe zaniedbania — nie dawał się zbić z tropu Profesor.

— Niska kultura agrarna i spuścizna po rządach junty.

— O przepraszam, moje wojska zawsze pomagały w żniwach — obruszył się Generał.

— Jeżdżąc czołgami po czarnoziemach!

Poczerwieniały na twarzy Generał walnął pięścią w stół, na co Naczelnik porwał za kremówkę. Aliści Generał najwidoczniej należał do dowódców, którzy kulom kłaniać się nie zwykli, więc uchylił się i pocisk trafił prosto w Patriarchę...

Bitwę przerwał dopiero Max ze szlauchem i Herbert ze strzykawką...

— Co tu się dzieje, czyżby nie zaaplikowała im siostra codziennej dawki środków uspokajających? — pieklił się lekarz.

— Dałam, jak pan zalecił, dawka 0,05.

— Za słaba. Należy dawać 0,5! Na przyszłość, siostro, będzie pani potwierdzać moje polecenia pisemnie. A teraz proszę zająć się Profesorem, widelec Generała rozharatał mu udo, a potem Henrykiem. Kiedy upadł nań Patriarcha, chyba zwichnął sobie rękę...

Upał był nieznośny, więc pensjonariusze przebywali w cienistych altanach. Joanna opatrzyła Profesora i nastawiła nadgarstek Naczelnika. Mężczyzna cicho jęczał z bólu.

— Zrobimy usztywnienie, dostanie pan zaraz coś przeciwbólowego i na sen — powiedziała. Podała mu pastylkę, a następnie opróżniła strzykawkę w watkę, którą przytknęła do ręki. Nie musiała nawet mrugać porozumiewawczo. I tak zrozumiał. Wzrokiem wskazał swój zegarek, na stałe wrzynający się w przegub, i jej służbowy pas z pagerem. Podsluchy! Poradziła sobie z jednym i drugim. Zdjęła pasek wraz z kitlem i położyła go na skraju pobliskiego basenu. Następnie dość ściśle i grubo obandażowała nadgarstek pacjenta, skrywając pod grubą warstwą podsluchowy zegarek. Henryk był zaskoczony jej działaniami. Dłuższy czas milczał, ale w końcu szepnął:

— Pani nie dała nam dzisiaj leków, dlaczego?

— Muszę poznać prawdę? Dowiedzieć się, co tu się dzieje?

— To bardzo niebezpieczne.

— Ja się nie boję. Kim jesteście naprawdę?

— Czy zna pani życiorys Naczelnika Henryka?

— Któż go nie zna?

— Czytała więc pani o wybuchu pary w hucie, gdy omal nie zginął i o postrzale podczas demonstracji.

— W lewą nogę...

— Proszę zatem obejrzeć moje plecy i lewe udo. Tego nie mogli zmienić nawet aplikując nam tego upiornego grzyba... No, śmiało. — Ściągnął spodnie. — Poznaje pani?

— O mój Boże? — krzyknęła. — A ci pozostali?

— Też są najprawdziwsi.

— Przecież powinni nie żyć.

— Powinni, ale żyją. To nasz oryginalny wkład do światowej kultury politycznej. Wszystko rozpoczął Profesor, gdy zamiast zlikwidować Generała zainscenizował egzekucję i zesłał go tutaj. Ja zrobiłem to samo z Profesorem, Patriarcha ze mną, a kolejny szef państwa, Namiestnik wydelegowany przez wywiad ościennego mocarstwa, który jak sądzę, rychło tu do nas dołączy, wypróbował analogiczny patent na Patriarsze. Da się tu żyć, a problemem jest tylko nasz doktor Herbert. Jedyne prawdziwy wariat na tej wyspie.

— Wariat? — w głosie Joanny zabrzmiał niepokój.

— Pełny schizol! Jak pani myśli, kto zabił te wszystkie dziewczyny. Ja?

— Jak to wszystkie? Wiem tylko o śmierci siostry Marii.

— A Klarusia, Dorotka, Regina? Zginęły wszystkie, które zaczęły domyślać się prawdy.

— Czy są na to jakieś dowody?

— Sądzę, że w jego biurku znalazłaby siostra i sztylet z krwią Doroty i pończochę, którą udusił naszą małą Reginę. Ale nie radzę szukać! Kończmy tę rozmowę. I nigdy do niej nie wracajmy.

* * *

Było dobrze po północy, kiedy Joanna wślizgnęła się do gabinetu doktora. Z korytarza niesło się pochrapywanie Maxa, a światło w oknie przylegającej do gabinetu sypialni Herberta zgasło dobrą godzinę wcześniej. Drzwi nie były zamknięte, któż mógłby tu wtargnąć? Pojawienie się pacjentów na pierwszym piętrze automatycznie uruchomiłoby

alarm. Księżyc oświetlał wnętrze tak jasno, że nie musiała zapalać latarki. Dotarła do biurka, podważyła szufladę... Poświata odbiła się od chłodnej stali sztyletu. Równocześnie jednak rozbrzmiał przenikliwy dźwięk telefonu. W korytarzu zaszurały ciężkie buty sanitariusza. Przerażona, zdążyła wsunąć się pod biurko.

— Ja odbiorę! — w drzwiach sypialni pojawił się Herbert. Chwycił słuchawkę.

— Tak, to ja. Melduję panie prefekcie, że wszystko gotowe na przyjęcie Namiestnika. Co? Oczywiście, że tu jest. Bardzo dobrze się spisuje. Jak to nie żyje? — chwilę słuchał bez przerywania. — Rozumiem. Oczywiście, poradzimy sobie. Nie ma problemu. Nowa za tydzień? Tak jest. A Namiestnik? Rozumiem, jak tylko skończy kurację grzybkową. Tak. Ku chwale Ojczyzny!

Położył słuchawkę i nabrał więcej powietrza w płuca: — Max! Pielęgniarsz stanął w drzwiach.

— Natychmiast sprowadzisz tu siostrę Joannę. Uważaj, to niebezpieczna wariatka. W swoim zakładzie zabiła prawdziwą pielęgniarkę i przybyła do nas podając się za nią. Dopiero dziś znaleziono zwłoki tamtej biedaczki i odkryto, że stan więźniarek się nie zgadza. Ciekawe tylko, dlaczego to zrobiła?

Max odszedł, a Herbert dopiero teraz zauważył wysuniętą szufladę.

— O cholera! Dlaczego?..

Nóż dziewczyny wyprysnął spod biurka jak jadowita żmija. Chłód przeszył trzewia doktora. Cofnął się, krzycząc i bluzgając krwią, a Joanna postępowała za nim, zadając kolejne ciosy.

— Dlaczego? — wołała. — Dlatego, że zabiłeś siostrę Marię, którą kochałam i która mnie kochała jak męża! Dlatego, że jestem aniołem śmierci, zesłanym na tę grzeszną ziemię, aby odmienić jej oblicze!

Więcej dyrektor placówki nie mógł słyszeć, pochłonęła go czarna mgła. Max zginął porażony elektryczną pałąką, a potem zepchnięty w fale jeziora. Nikt z pacjentów nie dowiedział się nigdy, co stało się z pozostałymi strażnikami. Rano, kiedy Joanna zadzwoniła na pobudkę, na posterunku nie było żadnego.

— Jesteście wolni, panowie — oznajmiła pacjentom, stojąc w paradnym mundurze straży. Jej głowa była ogolona na zero. — W ciągu tygodnia dzięki maści antygrzybiczej wasze oblicza wrócą do dawnego wyglądu, a po tygodniu wsiądziemy w łódź i odmienimy bieg historii.

Milczeli zaszokowani.

— Na Boga — wyksztusił wreszcie Generał. — Kim pani jest?

— Joanną. Joanną Orleańską — zawołała z ogniem. — U mego boku wkroczycie do stolicy. Każdy świadom popełnionych wcześniej błędów, przekonany do wspólnego działania. Wspólnie uszczęśliwimy ten kraj...

— Ależ Joanno — głos premiera intelektualisty nagle się załamał. — To przecież niemożliwe.

— Bierzesz nas dziecko za kogoś innego — dorzucił Generał.

— Bóg odjął ci rozum, gdzie jest pan doktor? — zakwilił Patriarcha.

— My jesteśmy tylko biedni wariaci — zakończył Henryk.

— Biedni wariaci!

Nad górami pojawiło się słońce. Na wysepce rozpoczynał się kolejny piękny dzień.

AKTYWACJA

To miał być wielki dzień dla całego Instytutu Inżynierii Genetycznej. A już szczególnie dla pawilonu X, realizującego programy tajne. Co gorsza — zakazane.

Oficjalnie bowiem zajmowano się tam udoskonalaniem zwierząt domowych, a że po godzinach profesor S. eksperymentował troszkę na ludziach. Komu to przeszkadzało?

Zaczęło się od realizacji zamówienia na sportowców doskonałych. — Odpowiednie gry i zabawy z chromosomami pozwoliły na wyhodowanie jednoręcznego tyczkarza, pływaka ze skrzelami i szachisty składającego się wyłącznie z głowy i małych rączek. Wkrótce potem, z pewnego kraju, w którym prawa człowieka nie należały do pierwszych potrzeb, przyszło zamówienie na idealnego obywatela. Jak zwykle zadanie podzielono między zespoły robocze.

Grupa A miała wyhodować osobniki odżywiające się powietrzem, gazetową papką i promieniowaniem telewizyjnym.

Grupa B zajęła się uszlachetnianiem skóry, by ta stała się gruba i szczeciniasta, tak by z łatwością mogła zastąpić kosztowne i skomplikowane w użyciu ubrania.

Grupa C, dzięki domieszanemu do DNA kwasu mrówkowego wyhodowała „ludzi stadnych”, pracowitych, reagujących na odpowiednie bodźce grupowo, tworzących ochoczo ze swych ciał żywe mosty i konstrukcje przestrzenne, a w miarę potrzeby zasypujących sobą rowy i fosy w imię lepszego jutra.

Osiągnięciem zespołu D był imbecylyssimus — człowiek roboczy o muskulaturze Herkulesa, za to prawie pozbawiony mózgu — niestety nie potrafił on rzetelnie wykonywać nawet najprostszych czynności, a co gorsza, zanieczyszczał swoje miejsce pracy. Tę grupę wywalono na pysk!

Kolejne zespoły pracowały nad genetycznym uwarunkowaniem takich cech jak ślepa lojalność, bezkrytycyzm, odwaga i operatywność. Długo nie udawało się połączyć tych właściwości w jednym osobniku i otrzymać istotę bezkrytyczną, a równocześnie inteligentną, lojalną i zarazem pomyslową. Jednak dzięki skomplikowanej miksturze mieszanki hormonów lisa i węża, wołu i tygrysa, pawia i papugi, a przy okazji tchórza, osła, barana, małpy i świni — udało się stworzyć superosobnika dysponującego wszystkimi cechami w stopniu maksymalnym. I co najważniejsze, wykorzystującego w danym momencie tylko te, których zażyczy sobie zwierzchnik.

Prototypową serię umieszczono w dojrzewalni, tak by w tydzień z osesków wyrosły osobniki dorosłe — nieśmiertelne, samowystarczalne, inteligentne...

— Ale co zagwarantuje, że będą wobec nas lojalne? — dopytywał się zamawiający superludzi ambasador Q.

— System aktywacji — tłumaczył profesor. — Jutro rano, gdy ich pan obudzi, jak małe psiaki przywiążą się do pana i na całe życie będą panu posłuszne...

— O której mam się zjawić?

— Powiedzmy o dziewiątej.

Niestety, o ósmej wybuchła rewolucja, dziesiątka superinteligentnych niezniszczalnych osobników opanowała miasto, głosząc hasła równości i nowego porządku, śmierci jajogłowcom i dyktatury uciśnionych.

Oczekując na egzekucję, profesor S. i ambasador Q. zdołali się dowiedzieć, że do nieszczęścia doprowadziła stara, skretyniała sprzątaczką, która włączając odkurzacz, uruchomiła przedwcześnie system aktywacji, a obudzeni, dojrzały superludzie podporządkowali się jej, jako pierwszej napotkanej istocie — przejmując jej poglądy, wyobrażenia, uprzedzenia i fobie za własne.

ZA NIC

Kiedy zaproponowano mi tę robotę wydawało mi się, że wszystko mam już za sobą. Skończyłem sześćdziesiąt lat i nie miałem przed sobą dalszych perspektyw. Żona nie żyła, a dzieci, dawno samodzielne, nie paliły się do rodzinnych kontaktów. A pętla ograniczeń zaciskała się. Facet, niejaki Łubud, ryży, piegowaty drągał, który do mnie przyszedł, był doskonale zorientowany w kondycji finansowej Rafała Frączaka.

— Dziesięć tauzenów przed, dwadzieścia po sprawie — zaproponował. — To dla rencisty chyba niezła stawka za nic.

— A na czym to „nic” ma polegać?

— Na spędzeniu tygodnia w wytwornej rezydencji. Udając właściciela... Musi się pan tylko podstrzyc i zapuścić brodę. Tu Łubud wręczył mi zdjęcie obywatela niezwykle do mnie podobnego.

— Kto to jest?

— Polking. Słyszał pan chyba o Polkingu?

Któż nie słyszał o tym legendarnym przywódcy półświatka, który po powrocie z oceanu wbił się klinem w mafijne struktury w naszym mieście, osiągając pozycję prawdziwego Ojca Chrzestnego.

— Na jakiś czas szef musi zniknąć, a dobrze by było, gdyby gliny sądziły, że nadal przebywa w rezydencji. Oczywiście drinki i dziewczyny będą gratis.

— Ale ja nie nadaję się na przestępcę.

— O żadnym przestępstwie nie ma mowy. Prosta sprawa. Czysty zarobek... A jak nie...
— Pomacał się po kaburze.

Co było robić. Zgodziłem się. Dwa dni przeżyłem w atmosferze luksusu i wykwintnej erotyki. Podobało mi się. Jednak trzeciej nocy coś wybiło mnie ze snu. Dziewczyna, która zasnęła u mego boku, zniknęła. Nie było też pod drzwiami Ćwiary — mego ochroniarza. Pusty był też pokój Łubuda. Kiepsko to wyglądało.

Na szczęście w pokoju myśliwskim znalazłem sztucer i dubeltówkę. Nabite. Kiedy przyszli, byłem przygotowany. Przypomniały mi się moje młodzińcze doświadczenia ze służby w oddziale specjalnym. Pierwszego załatwiłem sznurem od rolety, drugiemu wygarnąłem w twarz kaczym śrutem. Trzeci spadł z balkonu do pustego basenu i chyba coś sobie uszkodził, bo skowyczał cicho.

— Brawo — powiedział nagle Łubud, wychodząc ze schowka pod schodami. — Sprawdził się pan.

— Miałem być celem zabójców? — wycodziłem, biorąc go na muszkę. — Polking chciał upozorować swoją śmierć i wykorzystać w tym celu mego trupa. O nie!

— Polking nie żyje — zawołał pośpiesznie ryży — a ja jestem z Komendy Głównej. Mam ci pokazać legitymację?

— Więc co tu jest grane?

— Od paru lat pracowałem pod przykrywką dla tego drania, oczywiście nigdy nie podejrzewał, że jestem tajniakiem. Byłem z nim w Baden–Baden, kiedy trafił go zawał. Trudno o gorszy moment. Przewidywaliśmy, że po tej śmierci nastąpi dekompozycja mafii, wyłonią się nowi przywódcy. Jeden z moich szefów znał cię z wojska z czerwonych beretów. Wiedział, że dasz radę. Zaproponował mistyfikację...

— Miałem zginąć?

— Bynajmniej. Znaliśmy twoje możliwości. Chodziło o wyeliminowanie trójki najbliższych niebezpiecznych współpracowników Polkinga. Tych, którzy mogliby cię zdemaskować. Powiedziałem im, że to pomysł szefa. Napad, śmierć sobowtóra, po której on sam, czasowo przebywający w ukryciu, wypłynie ze zmienioną twarzą i tożsamością...

— Czyli odegrałem swoją rolę i dostanę resztę wynagrodzenia?

— Zaraz, zaraz. Twoja rola dopiero się zaczyna. Będziesz „naszym” Polkingiem. Zdominujesz krajowe przestępcze podziemie. Wyeliminujesz konkurencję z rynku. Wejdiesz do struktur światowych. Oczywiście pomożemy ci. Nie muszę dodawać, że co zarobisz, będzie twoje. Nam wystarczą informacje. Więc jak? Zresztą, biorąc pod uwagę te trzy trupy, nie masz specjalnego wyboru.

Skinąłem głową z udaną rezygnacją. Duszę przepelniała mi radość. Udało się.

Wysyłając Rafała Frączaka z moimi dokumentami do Baden–Baden, wiedziałem, że tak będzie. W jego lekach nasercowych znalazła się pewna kapsułka. Reszty mogłem się domyślać. Mój człowiek w Komendzie doskonale wiedział, jak na widok zgonu rzekomego Polkinga zachowa się komisarz Łubud. Że zgłosi się do mnie, udającego nieszkodliwego Frączaka. Cholera. Przy pomocy naszej dzielnej policji naprawdę mogę w krótkim czasie z Polkinga zostać „Eurokingiem”. A potem się zobaczy.